

KAROL MAY

NURWAN PASZA

SYN KOWALA

Szerokim wiejskim gościńcem, prowadzącym do Fürstenbergu, stolicy Norlandii, podążał młody człowiek.

Chociaż liczył nie więcej niż dwadzieścia lat, wyglądał na dojrzałego i pełnego siły charakteru mężczyznę. Jego wysoka, silna postać, pewność ruchu i męskie rysy tryskającej zdrowiem twarzy, wzbudzały sympatię. Nawet mała, starannie wypielęgnowana bródka, która innej twarzy mogłaby nadać fircykowaty wygląd, w przypadku naszego wędrowca, wydawała się być czymś nad wyraz odpowiednim. Porządne ubranie, które nosił, jeszcze bardziej podkreślały gibkość i sprężystość jego sylwetki.

Po obu stronach drogi ciągnęły się rzędami, na wpół ukryte w cieniu ogrodów, bądź odważnie podchodzące aż do samego traktu, wiejskie domki. Pośród nich stał zdawałoby się, że odtrącony ze względu na swój tak odmienny styl, piętrowy, poczerniały budynek; jego wysoki komin i okap nad drzwiami nie pozostawiały wątpliwości, że była to kuźnia. Przed wejściem do niej zatrzymał się właśnie lekki powóz. Jego tylna oś była pęknięta, zaś stojący u czoła zaprzęgu i odziany w wytworną liberię służący, starał się uspokoić zgrzane galopem konie. Pasażerowie powozu wysiedli. Byli to mężczyzna i kobieta.

On mógł mieć jakieś dwadzieścia trzy lata, a jego powierzchowność nosiła charakterystyczne dla arystokratycznego pochodzenia rysy. Można było w nim rozpoznać człowieka dumnego i pełnego wyniosłości.

Towarzyszająca mu dama nosiła się niezwykle modnie i bogato. Liczyła ledwie siedemnaście lat, ale zachowywała się niczym w pełni dojrzała kobieta. Jej jeszcze dziecinne, łagodne i ujmujące rysy, pozwoliły się domyślać, że rozkwitający dopiero pączek, zmieni się w niedługim czasie we wspaniałej piękności kwiat, po który sięgnąć zechce niejedna ręka. Twarz miała bladą jakby przeżyła niedawno coś strasznego. Choć w jej wielkich, niebieskich oczach dostrzec można było jeszcze lęk i obawę, jej głos zabrzmiał łagodnie i cicho:

— Spokojnie, panie hrabio! Wiedziałam przecież, że w razie niebezpieczeństwa, będę mogła liczyć na niezawodną obronę, ze strony rycerza, którego sam tytuł wystarcza, aby obdarzyć go największym zaufaniem.

Młody arystokrata skłonił się w podziękowaniu, spoglądając niepewnie i badawczo na jej oblicze. Mówiła prawdę, czy też mimo swojego młodego wieku, potrafiła sobie już przyswoić tę niezwykłą ostrość widzenia rzeczy, dzięki której zwyczajna nagana przybiera postać

niewinnie brzmiącego napomnieniu. Niejeden raz w przeszłości widział igrający na jej ustach szyderczy uśmiezek. Spróbował nieśmiało powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie:

— Prawdziwy rycerz bez trwogi i skazy to ten, który polega wyłącznie na sobie samym. Gdy przyjdzie mu liczyć na tak nierozsądne i źle wychowane istoty jak owe karosze, to nie może wykluczyć, że znajdzie się w jakimś przykrym położeniu i wtedy nie pozostanie mu nic innego jak tylko prosić o wybaczenie.

— Kochany hrabio, słyszał pan przecież opinię koniuszego, który stwierdził, że karosze przeszły znakomitą szkołę. Poza tym prosił on tylko, aby wziąć inny powóz i jemu pozwolić usiąść na koźle. Zresztą cały ten wypadek był bardziej śmieszny niż niebezpieczny, a jedyna strata to ta, że nie zastaliśmy kowala. Zdarzenie przyniosło również pewne miłe następstwa, gdyż dłużej będę mogła pozostawać pod opieką mojego rycerza.

Znów w jego oczach pojawiło się to samo badawcze spojrzenie. Czyżby jej słowa zmierzały do tego, aby jasno mu dać do zrozumienia, że to koniuszy miał rację? Jeżeli tak, to ta krucha istota była kimś bardziej dojrzałym niż mu się wydawało. W kącikach jego oczu pokazało się trochę zmarszczek, gdy odpowiadał swej towarzysze:

— Chciałoby się, aby ta opieka mogła trwać dłużej niż cała wieczność, moja droga księżniczko. Wszakże wszyscy będą pełni obaw o waszą wysokość. Muszę więc zostawić ten powóz i wynająć jakiś inny.

Zwrócił się do żony nieobecnego kowala, stojącej przez ten cały czas pod chroniącym wejście okapem.

— Czy nie ma tu kogoś, kto mógłby natychmiast podjąć się naprawy?

— Nie, terminator nie umie tego zrobić.

— Czy gdzieś w pobliżu znajduje się powóz, który mógłbym pożyczyć?

— Zapewne. Ale... niech będzie pochwalony, panie doktorze! — przerwała sama sobie. — Wspaniała pogoda na spacer, czyż nie?

Słowa te były skierowane do zbliżającego się właśnie człowieka, który przechodząc obok, zamierzał się pokłonić, teraz jednak trzymając kapelusz w ręce, podszedł bliżej. Żona kowala wyciągnęła swą dłoń.

— Nie zamierzałeś w ogóle do nas wstąpić, chrześniaku?

— Nie chciałem przeszkadzać.

— Przeszkadzać? Przeciwnie! W powozie tych państwa pękła oś. Męża nie ma w domu, zaś do kuźni pańskiego ojca jest zbyt daleko. Po tamtej stronie letnik, Anglik nic pożycza powozu nikomu z wyjątkiem pana doktora. Może byłby pan tak dobry, chrześniaku i zechciał pomóc?

— Mój przyjaciel, lord Halingbrook pojechał do miasta. Ale przecież, panie hrabio — skłonił się uprzejmie, choć powściągliwie przed młodym człowiekiem, — pozwoli pan, że naprawię pański pojazd. Jest ogień w palenisku?

— Tak, terminator korzysta z niego przy robieniu gwoździ.

— Zatem, niech pani, matko chrzestna zajmie się tym czasem jaśnie państwem, a ja biorę się do roboty.

Wszedł do kuźni i zdjął surdut, podwinął rękawy i przepasał się wiszącym na haku skórzanym fartuchem majstra. Kiedy rozpałił już porządnie ogień, wziął się za oglądanie uszkodzonej części powozu.

— Za jakieś pół godziny, będą mogli państwo ruszać dalej — zabrzmiała odpowiedź.

Młody arystokrata i towarzysząca mu dama śledzili całe to zdarzenie niepomiernie zdziwieni. Czy rzeczywiście ten, tak wytwornie wyglądający mężczyzna, noszący tytuł doktora był w stanie naprawić pękniętą oś. Żona kowala nazwała go chrześniakiem. Równie dobrze mógł być kimś wysokiego pochodzenia, powiedział przecież, że jest przyjacielem lorda Halingbrooka, dumnego, stroniącego od ludzi Anglika, który jako poseł swojej królowej miał wstęp na książęcy dwór. To wszystko było zagadką, której rozwiązaniem wydawała się być zajęta młoda dama.

Przyglądała się z uwagą każdemu jego ruchowi, zauważając przy tym, że ów zagadkowy człowiek musi być kimś niezwykle silnym. Konie zostały wyprzęgnięte, a on podniósł i przesunął powóz jak jakąś dziecinną zabawkę. Potem dały słyszeć się z kuźni odgłosy potężnych uderzeń młota i iskry posypały się aż przez próg.

Żona nieobecnego majstra wystawiła przed dom stół i dwa krzesła, na których usiedli.

— Jak nazywa się ten jegomość, dziwnym trafem lekarz i kowal jednocześnie? — spytała młoda dama.

— Lekarz? To nie lekarz lecz doktor nauk prawnych — odpowiedziała spytana z widoczną dumą.

— A jaką piastuje godność?

— Żadną. Mówi, że to niepotrzebne i przeszkadzałoby mu w pobieraniu dalszej nauki. Jest synem dworskiego kowala Brandauera; ja i książę zostaliśmy jego chrzestnymi.

— Aha, to ta pospolita zebranina, kryjąca się za listem zapraszającym w kumy, z czym niestety tak często można się spotkać — stwierdził młody człowiek lekceważąco.

Twarz żony kowala poczerwieniała nieco.

— Czy mogę spytać, kim pan jest?

— Jestem hrabia Hohenegg, a to księżniczka Asta von Süderland. Sądził, że ta prezentacja wywrze odpowiednie wrażenie, ale omylił się, gdyż kobieta, w najmniejszym stopniu niczym się nie przejęła, lecz zwróciła się z wesołą miną do księżniczki.

— To wspaniale, że udało mi się w końcu ujrzeć jej wysokość! Pan doktor wiele dobrego opowiadał o pani ojcu, księciu. Mój chrześniak dobrze zna się na polityce i z pewnością znalazłby dla siebie miejsce nawet na dworze. Nasz książę często zachodzi do kuźni dworskiej i namawiał doktora, aby wstąpił do jego służby, ale on nigdy nie chciał na to przystać.

— Czy zatem mnie też zna pan doktor?

— Nie, on nigdy nie widział waszej wysokości, ale zna za to pana hrabiego.

— A czy mówił o mnie? — spytał ten niemal z szyderstwem w głosie.

— Bardzo często.

— I jak się spodziewam same dobre rzeczy.

Żona kowala ociągała się z odpowiedzią, po czym rzekła:

— Owszem, dobre. Powiada bowiem, że stary hrabia Hohenegg, pana ojciec zostanie księciem, jeśli umrze obecnie nam panujący. Ale muszę panu powiedzieć i to, że list zapraszający w kumy nie był wtedy żadnym zebraniem o względy. Książę sam zaofiarował się, a gdy obstawał przy tym, ja też się zgodziłam, a zresztą czy można było wobec księcia pana postąpić inaczej? Nasz pan jest bardzo zacnym człowiekiem, który pragnie wyłącznie dobra swych poddanych i traktuje nas niczym własne dzieci. Boże spraw, aby później nie było inaczej.

Hrabia już miał powiedzieć jakieś ostre słówko, ale powstrzymał się, gdyż w stronę kuźni zbliżała się jakaś niezwykła postać.

Była to kobieta. Szła boso, odziana w jaskrawoczerwoną spódnicę i okrywającą ramiona żółtą narzutą. Na głowie nosiła owiniętą niczym turban, chustę. Jej twarz z ostro zarysowanym nosem, była koloru ciemnobrązowego. Wyglądała na ponad pięćdziesiąt lat, ale ponieważ była, co nie ulegało wątpliwości Cyganką, zapewne była dużo młodsza.

Widok hrabiego nie speszył jej. — Obrzuciła wszystkich uważnym spojrzeniem, po czym pozdrowiła nie pozbawionym dumy skinieniem ręki i spytała:

— Czy piękny pan ma jakiś mały podarunek dla Lilgi, Cyganki?

Zapytany odrzucił gniewnie głowę do tyłu.

— Idź precz! W tym kraju zebranina jest zabroniona!

Podeszła bliżej i niemal przeszyla go spojrzeniem wielkich, czarnych oczu.

— Co? Każecie mi iść precz? A czy nie było tak kiedyś, że sam hrabia zapraszał do siebie Lilgę, *vajdzinę* cygańskiego rodu? Znam jego oblicze i jego zimne oczy, którym życie

przywraca jedynie pycha. Jesteście panie synem hrabiego i ubiegacie się o berło i koronę. Ale przepędziliście Lilgę, cygańską wieszczkę i to co spotka was na początku będzie niczym stąpanie słońca, który wszystko miażdży, zaś koniec jaki was czeka, przypominać będzie śmierć ściganego zwierzęcia, które brocząc krwią, opuszczone i samotne umiera w ciemnej gęstwinie.

Mówiąc to wyprostowała się na ile tylko mogła, trzymała uniesioną do góry prawicę. Jej oczy płonęły, zaś słowa cedzone przez zaciśnięte zęby, dźwięczały złowrogo. Przy całej jej obecnej szpetocie, dało się zauważyć, jaką piękną dziewczyną musiała być w młodości.

Hrabia zerwał się jak oparzony. Jego oczy błyszczały. Pełen wściekłości złapał Cygankę za ramię.

— Kobieto, czarownico, czy mam cię rozdeptać?

Księżniczka również się podniosła. Jej zdziwione spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem młodego Hohenegga. Ten chwycił teraz rękę Lilgi i zwrócił się do żony kowala:

— Niech pani wyśle natychmiast terminatora po policję! Tę wólcę należy zamknąć!

W tej chwili wyszedł z kuźni, z ogromnym kowalskim młotem w ręce doktor Brandauer. Cyganka go zobaczyła. Zdawało się, że jej wzrok nabrał większej ostrości, a na rozpromienionym obliczu pojawił się przez chwilę wyraz zaskoczenia. Uczyniła dwa kroki i stanęła naprzeciw niego.

— Czy to pan jest Maks, syn dworskiego kowala?

— Tak — odparł zaskoczony.

— Jestem Lilga, cygańska wieszczka.

— Lilga? Czy to możliwe? — krzyknął radośnie. — A jednak, w końcu spełniło się nasze pragnienie. Pani musi udać się ze mną do mego ojca!

— Lilga nie będzie mogła panu towarzyszyć.

— Ale dlaczego?

— Zostanie uwięziona.

— Dlaczego?

— Gdyż temu tam jaśnie panu ośmieliła się przepowiedzieć przyszłość.

— Hrabia nie pozwoli pani uwięzić. Zabieram panią ze sobą!

Te słowa zostały wypowiedziane z taką pewnością, że hrabia musiał się poczuć nimi urażony.

— Oho! — odezwał się. — Nakazałem zatrzymać ją i potrafię wymusić posłuch.

Wywijając ciężkim żelaznym młotem niby piórkiem, Brandauer spojrział na niego z uśmiechem na twarzy.

— Panie hrabio, uniżenie proszę aby zechciał pan zwrócić wolność tej kobiecie.

— Nie widzę powodu dla, którego miałbym cofnąć mój rozkaz.

— Czynię to z uprzejmości, nie ma bowiem potrzeby abym o to prosił, gdyż nikt tutaj nie podlega pańskim rozkazom. Nie należymy ani do policji, ani do pańskiej służby, zaś Lilga pozostaje pod moją szczególną opieką. Przyrzekłem jej bowiem swą pomoc. Czy chce pan mnie zmusić do tego, abym ją uwolnił z pańskich rak, nie kończąc naprawy?

— Skorzystamy z jakiegoś innego powozu.

W tym momencie do Brandauera podeszła księżniczka.

— Panie doktorze, niech pan skończy naprawę! Asta von Süderland prosi pana o to.

Spojrzał na nią, a jego oczy zabłyśły.

— To życzenie jest dla mnie rozkazem! Nie pozwalam sobie rozkazywać, wystarczy wszakże, by z twych ust padło choć jedno jedyne słowo, aby uczynić mnie uległym. Lilgo, wejdź proszę do izby i zaczekaj, aż będę gotów.

Cyganka potrząsnęła wolno głową i spojrzała nań, a w jej oczach zabłyśły życzliwość i sympatia.

— Lud Boinjarów i Lombardów opuścił Indie, gdyż tak rozkazała mu jego bogini Bhowannie. Teraz plemię to błąka się po obcym kraju i nie zazna spokoju ani wytchnienia póki nie znajdzie owej cudownej budowli, wokół której zgromadzi się, aby panować na ziemi. Lilga jest córką swego ludu i nie może spocząć kiedy słyszy wołanie ducha. Musi więc iść, ale ujrzycie ja znowu, nim słońce trzy razy zajdzie za horyzontem Niech mi pan poda swą rękę! — zwróciła się do doktora Brandauera.

Ujęła jego prawicę i przyjrzała się jej, choć nie trwało to nawet chwili. Następnie odwróciła głowę, spoglądając gdzieś daleko przed siebie, a jej oczy zaczęły nabierać blasku, jakby otwarły się przed nimi bramy przyszłości. Teraz przeniosła wzrok na pełną oczekiwania, uśmiechniętą twarz Brandauera.

— Duch jest wszechwiedzący, zaś oko człowieka słabe i omylne, wszakże jeśli duch wzmocni je swoją siłą, wtedy może ono ujrzeć rzeczy, których wcześniej wcale nie widziało. Nie uwierzycie w to co Lilga wam teraz powie, chociaż wszystko to spełni się. Twoja ręka jest mocna i potrafi unieść młot. Potrzeba jej jednak tej mocy, po to aby później mogła trzymać berło. Przeznaczeniem bowiem twego życia będą berło i młot. Będiesz panie siłą miłość, a zbierał nienawiść; ale twoja pięść panie, spadać będzie niczym młot na karki twych wrogów, a u twego boku...

Przerwała nagle, jakby pod wrażeniem nieoczekiwanej wewnętrznej wizji, po czym złapała szybkim ruchem rękę stojącej tuż obok księżniczki. Zaczęła mówić dalej, tym samym co poprzednio tonem:

— Widzę u pańskiego boku tego tu anioła, spotkał go pan trzymając w swojej ręce młot, anioł pozostanie panu wierny, także i wtedy gdy w pańskiej ręce znajdzie się berło. Przekonacie się kiedyś, że Lilga mówiła prawdę!

Uwolniła obie dłonie, odwróciła się i podążając szybkim krokiem zniknęła gdzieś na wąskiej dróżce między kuźnią, a jakimś wiejskim domkiem.

* * *

Był wieczór, tego samego dnia. Maks Brandauer siedział w przeznaczonym mu przez rodziców i służącym do nauki pokoju nad dworską kuźnią i próbował skupić swoją uwagę na czytaniu uczonego traktatu z dziedziny wojskowości. Nie udało mu się to, gdyż myślami ciągle wracał ku dzisiejszemu spotkaniu.

Najbardziej frapowało go pojawienie się Cyganki. Z jej imieniem łączą się wspomnienia z jego wczesnych lat dzieciństwa. Widział ją jedyny raz, jako pięcioletni brzdąc. Zjawiała się wtedy z końcem lata i była wielce frapującą osobą.

Przepadła równie szybko i nieoczekiwanie jak się pojawiła, a jego rodzice czekali na nią przez wiele lat. I dopiero dzisiaj ujrzał ją ponownie. Czy przybyła tu z jakichś błahych powodów, czy też po to, aby rozwiązać zagadkę łączącą się z jej wcześniejszą tu obecnością. Kto mógł to wiedzieć?

Opowiedział o tym spotkaniu rodzicom i nie odbyło się bez łagodnej reprimendy z ust matki, za to, iż stracił Lilgę z oczu. Ojciec natomiast zachował spokój, stwierdzając ze stanowczością:

— Jeśli to rzeczywiście była ona, to wróci tu na pewno.

Prócz postaci wieszczki Maks Brandauer miał przed oczyma również pełen blasku obraz księżniczki. On sam nie doświadczył jeszcze słodkiego, uszczęśliwiającego uczucia miłości, wszelako nic nie mogło o niej lepiej świadczyć, niż ów cudowny nastrój w jakim się od niedawna znajdował.

W warsztacie na dole już dawno ucichły uderzenia młotków i teraz, po spożytej kolacji trójka czeladników siedziała przed drzwiami gawędząc o tym i o owym, kurząc przy tym fajki. W pobliżu na przewróconych kołach wozów, przycupnęła dwójka terminatorów, starając się w

pełnym nabożeństwa skupieniu nie uronić ani słowa z prowadzonej przez wspomnianą trójkę rozmowy, a przy okazji poniuchać trochę fajkowego tytoniu, który jednak nie potrafiłby wprawić w zachwyt jakiegoś delikatnego nosa.

— No, tak — zauważył Tomasz, starszy czeladnik, — młody pan jest z powrotem w domu i mamy teraz czasem okazję, py razem z nim trochę się zapawić. Całymi dniami ćwiczenia szermiercze, z rapierem, floretem; cięcia i młynki szpada, a wieczorem przejażdżki po rzece, albo wychodne, o którym Tomasz nic nie powinien wiedzieć. Prócz rozmowy zawsze można liczyć na szklankę piwa, kromkę chlepa z masłem i szynką albo...

— Albo podwójną jałowcówką i do tego Ampalemę — wpadł mu w słowo drugi z czeladników.

— Tak, właśnie tak — przytaknął trzeci z nich.

Wszyscy trzej czeladnicy byli niezłymi dziwakami. Cała trójka służyła w wojsku, Tomasz w kawalerii, Kazimierz u grenadierów, a Henryk w artylerii. Każdy z nich doczekał się stopnia podoficera i każdy też uważał swą specjalność za najważniejszą. Byli kawalerami mocno zdecydowanymi na to, aby trzymać się swych obecnych dobrych posad jak najdłużej, aczkolwiek każdy w najgłębszym zakątku swego serca nosił skarb kojarzący się z najwytworniejszą kobietą i tak Tomasz niezwykle wysoko cenił wdowę Barbarę Seidenmüller, Kazimierz śnił najczęściej o przesłicznej młodej wdowie, handlarce ziemniakami Barbarze Seidenmüller, wreszcie Henryk najchętniej wypijał swój wieczorny kufel piwa u uczciwej i cnotliwej wdowy, właścicielki gospody nijakiej Barbary Seidenmüller.

Prócz tego każdy z nich miał jak się to mówi swojego „małego bzika”. Tomasz Schubert, kawalerzysta nigdy w życiu nie wymówił jeszcze „b”, stąd w jego ustach własne nazwisko brzmiało nie inaczej jak Schupert. Kazimierz, grenadier słynął ze swej małomówności; jego udział w dowcipach i zabawnych rozmowach ograniczał się przeważnie do słów: „tak, właśnie tak”, albo „właściwie to nie tak”. Henryk artylerzysta, był utrapieniem dla obydwu pozostałych; stale miał pod ręką albo sprzeciw, albo jakąś drwinę. Prócz tego posiadał jeszcze taką właściwość, by w niezwykle przesadny sposób — i gdyby to jeszcze było prawdą — wątpić we własną zacność.

Tomasz wyglądał na niezadowolonego z tego, że mu przerwano. Wypuścił z ust kółeczko dymu i rzekł:

— Chłopaki, zamknijcie wasze gępy! Co was może opchodzić moja podwójna jałowcówką, albo moje ulubione cygara. Nie da się przecież zaprzeczyć, że Ampalemy są najlepsze. A Hawany, Capalleros, Londeros, Patavia, Puros wszystkie one nie mają się nawet co równać z prawdziwymi Ampalemami. A oprócz tego macie mi nie przeszkadzać, kiedy opowiadam wam

o młodym panu! Dzisiaj wieczorem powiosłuję z nim dopry kawałek w dół rzeki. Nie potrafilipyście nawet uwierzyć jak łupię to ropić. Kiedy płyniemy łódką młody pan leży sobie spokojnie z zamkniętymi oczami, nic nie mówiąc; ale ja wiem, że on w tym czasie rozmyśla i duma w najlepsze. A po powrocie, gdy podaje mi dłoń zwracając się przy tym ze słowami: — dzisiaj znów pyło pięknie, wielkie dzięki, mój drogi Tomaszu! — to aż chciałyby się go wyściskać, gdyby nie to, że jest tak uczonym i wytwornym człowiekiem. Ma w sobie coś, na co nie potrafię znaleźć odpowiedniego określenia, coś ujmującego, a zarazem pudzającego respekt. Pewnego razu widziałem taką sztukę teatralną, która miała tytuł „Zamazany książę” i...

— „Zaczarowany książę” — odważył się poprawić Tomasza jeden z uczniów, Fritz.

— Cicho żółtodziopie! Kiedy mówi starszy czeladnik to czeladnicy mają milczeć, że nie wspomnę już o chłopcach do nauki! Czy to pył książę zamazany czy zaczarowany, to wszystko jedno. No więc, w tej sztuce występuje pewien książę, który pył szewcem i gdy widzę młodego pana, to...

— ...wydaje ci się zawsze, jakby to on był szewcem, a ty księciem — przerwał mu Henryk.

— Nie powinienes przerywać mojej pięknej mowy, nie wiem potem nigdy, od którego miejsca mam zaczynać.

— Tak, właśnie tak! — wtrącił się Kazimierz.

— No więc ten książę, który pył szewcem...

— Tomaszu! — krzyknął właśnie w tej chwili przez otwarte okno Maks. Były podoficer wyprężył sieja struna.

— Na rozkaz panie doktorze!

— Czy jesteś gotowy?

— Zawsze jestem gotowy!

Przeczesał włosy, nałożył porządnie czapkę i zapiął kurtkę. Następnie podał swą fajkę jednemu z uczniów.

— No, Fritz, zanieś ją na górę do mojego pokoju! Wiesz już, na którym gwoździu ma wisieć! Na służbie, palenie tytoniu jest zapronione.

Po kilku minutach doktor zszedł na dół.

— Pójdziemy przez ogród, Tomaszu, tak będzie bliżej.

Maks ruszył pierwszy, a za nim w odległości sześciu kroków postępował czeladnik. I kiedy tak szli po cichu, miękkim trawnikiem, Tomasz spostrzegł w kącie ogrodu obu uczniów, którzy tam przycupnęli i miło pociągali sobie, raz jeden, raz drugi z jego fajki. Zdradził ich kaszel wywołany zbyt gwałtownym zaciąganiem się przez któregoś z nich.

— Panie doktorze!

— Słucham?

— Pozwoli mi pan odskoczyć na moment w pok! Tam siedzą opa te łotry i ogryzają mi fajkę.

Zakradł się w ich stronę i już po chwili dopadł winowajców.

— Co ropicie tu z moją fajką hultaje? Czy to nipy ma pyć mój pokój, hm? Macie tu... raz, raz... po gępie jako zaliczkę, a wypłatę dostaniecie gdy wrócę do domu. Teraz prak mi powiem czasu; zresztą za coś takiego należy mi się jakaś nagroda.

Zabrał fajkę i pospieszył za doktorem.

Ten doszedł nad rzekę, przepływającą niedaleko ogrodu. Przy brzegu kołysała się należąca do kowala gondola. Wsiedli do niej i popłynęli zgodnie z prądem, w dół rzeki. Tomasz nie musiał więc wiosłować, zaś doktor siedział przy sterze pilnując by łódź zanadto nie zboczyła. Zapadła noc i na niebie ukazały się tysiące gwiazd, by oświetlać swym tajemniczym światłem gotującą się do snu ziemię. Minęli pałac hrabiego Hohenegg, który już od lat zajmował stanowisko premiera, i dotarli do dalszej części pałacowego kompleksu, zbudowanego z myślą o przyjmowaniu w nim wysoce postawionych gości. Obecnie zamieszkiwał go następca tronu sąsiedniego księstwa Süderlandii; towarzyszyły mu małżonka i siostra. Panowało przypuszczenie, iż przybyli oni do stolicy Norlandii z jakąś tajemniczą, dyplomatyczną misją. Z tyłu za tą wspaniałą budowlą znajdował się, dochodzący aż do samej rzeki Oller, park. Naprzeciw wiodącej doń bramy leżał, pozostawiony poza obrębem posiadłości, kawałek nadbrzeża. Nieco dalej od tego miejsca Maks zatrzymał gondolę.

— Zaczekaj tutaj, Tomaszu dopóki nie wrócę!

— Ależ wstęp tam jest wzbroniony, panie doktorze!

— Wiem o tym.

Mimo tej odpowiedzi wysiadł i przeskoczywszy szybko przez żelazne ogrodzenie, znalazł się w parku. Nie przywiódł go w to miejsce jakiś dający się jasno określić powód i gdyby został o to spytany, nie potrafiłby podać żadnego wytłumaczenia dla swojej tu obecności. Serce człowieka bowiem jest niezrozumiałą i nie dającą się pojąć siłą kierującą jego działaniami.

Zbliżył się do budynku, w którym świeciło się tylko w kilku oknach. Długo przyglądał się każdemu z nich, ale żaden z pojawiających się w nich cieni nie przypominał mu postaci tej, której obraz kazał mu się zjawić w tym miejscu. Wtem posłyszał czyjeś kroki na wysypanej żwirem parkowej alejce, odskoczył i ukrył się za krzakiem. Zbliżyły się dwie damy, zajęte ożywioną rozmową. Ubrane były na jasno, dlatego też ich sylwetki wyróżniały się na tle panującej w parku ciemności.

— Trzeba zatem abyśmy się sprzysięgli przeciwko takiej polityce, moja droga, Asto! — stwierdziła jedna z nich. — Nie możesz przecież paść jej ofiarą, tym bardziej, że ten hrabia także i we mnie budzi wstręt.

Więcej nie zdołał usłyszeć, niemniej wiedział już teraz, nie musząc dowiadywać się niczego więcej, z jakiego to powodu przybyli tu książęcy goście. Pozostał w ukryciu, dopóki nie stracił z oczu obu dam. Potem wrócił do łodzi, tą samą drogą, którą przyszedł.

— Dalej, w dół rzeki? — spytał Tomasz.

— Tak.

Popłynęli więc dalej. Maks siedział w milczeniu i marzył. Patrzył niewidzącym wzrokiem na przesuujące się wolno w łagodnym świetle gwiazd brzegi rzeki; wszystko przesłaniała mu jasna postać, która towarzysząc małżonce następcy tronu ościennego księstwa, jeszcze nie tak dawno, przechodziła tuż obok niego. Ale co mogło go z nią łączyć? Ona była przecież córką księcia, on zaś jedynie synem zwyczajnego kowala. Nie, takie rozważania nie mogły się na nic przydać. Był przecież w nią tak zapatrzony jak w gwiazdę, od której nie sposób oderwać oczu, choćby nawet dzieliły ją od ziemi biliony mil.

Upłynęli całkiem spory kawałek, nim Maks zarządził, iż trzeba wziąć się za wiosła i wracać. Wiosłowanie przyniosło mu ulgę, tak jakby ten wewnętrzny wysiłek mógł pomóc w wyjaśnieniu tego wszystkiego co się z nim teraz działo. Łódź poruszana siłą czterech ramion, płynęła szybko w górę rzeki.

Byli właśnie na wysokości pałacu hrabiego Hohenegg, kiedy natchnęli się na jakieś niewielkie czółno, czy coś doń podobnego. Maks prawdopodobnie niczego by nie zauważył, gdyby Tomasz nie zwrócił mu na to uwagi.

— Ktoś nadpływa z tamtej strony, panie doktorze. To zapewne ktoś z kłupu wiosłarskiego wyruszył gdzieś w tej swojej łupinie. Gdzie też to może się on wypierać?

Była to jedna z tych małych łódeczek, poruszanych przy pomocy krótkich wiosel, która jeśli siedzi w niej człowiek, wynurzona jest ledwie jakieś dwa cale nad wodą. Płynęła z przeciwległego brzegu, dzięki czemu obaj mężczyźni wiosłujący w cieniu gęstych drzew mogli pozostać niezauważeni.

— Jakaś dziwna osopa — stwierdził Tomasz, gdy przypadkowy promień światła padł na małą łódeczkę. — Ten, kogo widzę wygląda mi na Turka; żółty kaftan i biały turpan.

Teraz i Maksowi udało się dostrzec ową tajemniczą postać. Jego przypuszczenia potwierdziły się. To była Cyganka, która znalazłszy się w posiadaniu jednej z łódek klubu wiosłarskiego udawała się w jakąś tajemniczą podróż.

— Zaczekaj, niech ona nas minie!

— Na rozkaz, panie doktorze! — odrzekł Tomasz zdziwiony nieco słowem „ona”

— W porządku, a teraz musimy popłynąć za nią, tylko tak, żeby nas nie zauważyła. Zawracajmy!

Ścigana przez nich łódka minęła pałac i kawałek dalej przybiła do brzegu, kryjąc się w graniczących z ogrodem nabrzeżnych krzakach. Kiedy gondola znalazła się nieco dalej od hrabiowskiej posiadłości, Maks przełożył ster na lewo i po chwili również oni wylądowali w ogrodowych zaroślach.

— Tomaszu, czy chcesz zaznać przygody?

— Przygody? O niczym innym nie marzę!

— Ta osoba, która siedziała w łódce była kobietą.

— Kopietą? Do stu piorunów, a czego ona tu szuka? Przecież jest chypa po jedenastej.

— To pewna Cyganka. Ma zamiar dostać się potajemnie do pałacu hrabiego, dlatego przybiła do brzegu właśnie w tym miejscu.

— Czyli najpierw pędzie musiała przejść przez ogród.

— Właśnie. My jednak musimy ją wyprzedzić.

— Na rozkaz, panie doktorze. Przywiążę więc łódkę tu do drzewa. O, tak, teraz jest doprze.

— Chodźmy zatem, ale prędko!

Przyspieszyli kroku chcąc dostać się na tył pałacu, następnie poszli w dół w stronę ogrodu, otoczonego niedużym murem, którego sforsowanie nie nastroczało żadnych trudności. Bez wysiłku znaleźli się więc po drugiej stronie. Ta część pałacu posiadała podwyższony nieco parter, z holu którego prowadziły idące w dół ogrodu schody. Jeśli istotnie domysły Maksa były słuszne, Cyganka musiała pojawić się właśnie tutaj. Ukryli się więc z Tomaszem za gęstym krzakiem i czekali.

Po pewnym czasie ujrzeli kogoś ostrożnie idącego wzdłuż okrytego ciemnością i ciągnącego się w stronę pałacu trawnika. Kiedy postać zbliżyła się ku nim, zatrzymała się nasłuchując przez dobrą chwilę, po czym przemknęła na schody. Nie weszła jednak na górę, lecz schyliła się kierując gdzieś w bok i zniknęła. Schody jak można było sądzić tworzyły rodzaj pewnej ściany czy sufitu jakiejś piwnicy bądź wnęki, dla oświetlenia której służyć miały dwa okrągłe okna, po jednym w każdej ze wzmacniających całą konstrukcję ściennych podpór. Prawie natychmiast błysnęło tam światło.

— Pójdę za nią. Ty wracaj i miej oczy otwarte na wszystko.

— Podniosła ramę i zeszła na dół. Nie mam panu nic do rozkazywania panie doktorze, ale może pędzie lepiej, jeżeli pan tu zostanie. Ta Cyganka ma konszachty z diablami i zna się na czarach, dlatego też spotkanie z nią nikomu nie może wyjść na dobre. A jeśli na dodatek chce

się tu włamać i... no to pięknie, doktor też już tam jest, niech jeszcze tylko ta czarownica go zauważy, to dopiero pędzie historia.

Kiedy Maks dotarł do otwartego okna, zdążył akurat zauważyć jak Lilga mocnym pchnięciem wprawiła w ruch część ściany i zniknęła następnie w powstałym dzięki przesunięciu muru, otworze. Ruszył szybko za nią. Przed nim zamigotało światło. Cyganka poruszała się tak wolno, że dogonił ją bez trudu. Już wkrótce znalazł się tak blisko niej, że niemal oświetlały go promienie niesionego przez nią światła. Prawie słyszał jej oddech, gdy tymczasem ona nie miała najmniejszego pojęcia, iż ktoś śledzi jej tajemnicze poczynania. To dziwne pomieszczenie, którym przedostała się aż tutaj, nie było jak się okazało, żadną piwnicą, lecz wąskim i niskim korytarzem wiodącym wprost do środka pałacu, gdzie łączył się z prowadzonymi w górę schodami. Lilga weszła teraz na nie; widoczne było, że drogę tę przebywała już nieraz. Schody omijając parter i pierwsze piętro, dochodziły od razu do drugiego, gdzie Cyganka zatrzymała się, nasłuchując pod wąskimi drzwiami zaopatrzonymi w zwykłą klamkę. Po krótkiej chwili chwyciła za nią i nacisnęła. Drzwi otwały się bezszelestnie do środka i na korytarz wydostał się promień jasnego światła, ukazując stojącą w nich, niczym w ramach obrazu, Cygankę.

Nie zamykając ich za sobą wśliznęła się wolno do wnętrza pokoju. Maks podszedł bliżej. Miał przed sobą wysoką, zapelnioną książkami bibliotekę, oddzieloną od sąsiedniego pomieszczenia ciężką, zieloną zasłoną. Tajemne przejście zasłaniała półka na książki, którą jakimś sposobem można było przesuwac. Z sufitu zwisał sześcioramienny lichtarz oświetlający cały pokój. Środek biblioteki zajmował długi stół, cały zasłany książkami i najróżniejszymi papierami.

Lilga zbliżyła się do zasłony i ostrożnie rozchyliła obie części, aby móc zajrzeć do znajdującego się za nią pokoju, po czym weszła tam. Maks odczekał jeszcze chwilę, a następnie także znalazł się w bibliotece. Niedostrzegalnym ruchem odsunął nieco kotarę i zerknął przez niewielki otwór do środka.

Ujrzał elegancko urządzone i oświetlony kosztowną lampą, gabinet. Cyganka siedziała wygodnie na aksamitnym krześle i napełniała tytoniem małą glinianą fajkę. Następnie przyłożyła ogień i zaciągnęła się. Palila zadowolona, jak gdyby była u siebie w domu, sprawiając wrażenie, iż nie ma zamiaru w najbliższym czasie ruszyć się z miejsca.

Co to wszystko miało znaczyć? W jaki sposób pogardzana żebraczka mogła poznać i odszukać tajemne hrabiowskie przejścia i pomieszczenia? Maks nie miał teraz czasu by zadawać sobie takie pytania; przede wszystkim musiał wykorzystać sytuację, w której się znalazł. Wymknął się z powrotem chcąc poznać mechanizm ukrytego wejścia; poczuł ulgę, gdy

zauważył iż od środka posiadało ono przymocowaną za książkami i połączoną ze znajdującą się na zewnątrz zasuwą, umożliwiającą wydostanie się z biblioteki.

Teraz skierował swą uwagę na stojący na środku stół. Na wprost niego, tuż obok kilku wąsko wypełnionych cyframi arkuszy papieru leżała koperta z napisem „klucz”. Czyżby zawierała klucz do tajnej, dyplomatycznej korespondencji hrabiego? Chociaż od wielu lat był on premierem, to uchodził za cichego przeciwnika księcia i panowało przekonanie, że prowadził podwójną grę w stosunku do różnych zagranicznych dworów.

Rozeszły się nawet pogłoski, iż po kryjomu czynił usilne starania, chcąc doprowadzić do abdykacji obecnie panującego władcy. Setki myśli naraz przebiegały doktorowi przez głowę; podszedł znowu do zasłony: Cyganka siedziała nadal beztrąsko na swym poprzednim miejscu i paliła fajkę. Szybko usiadł na jednym z krzeseł i zaczął przepisywać do swojego notesu rzędy cyfr i liter jakie kryła w sobie owa koperta.

Właśnie skończył, gdy od strony gabinetu doszedł go jakiś przytłumiony okrzyk. Błyskawicznie znalazł się przy zasłonie i spojrzał przez niewielki otwór. To stary hrabia wszedł do gabinetu i spostrzegł nieoczekiwane, nocnego gościa.

Odkąd Katombo wyjawiał mu tajemnicę Czarnego Kapitana postarzał się bardzo, ale tylko cieleśnie, nic bowiem nie wskazywało, że stracił cokolwiek ze swej wcześniejszej aktywności. Spoglądał teraz błyszczącymi oczami na siedzącą Cyganke.

— Do pioruna! Kto tu jest?

Było widać, że Cyganka nie ma najmniejszego zamiaru podnieść się z krzesła. Pociągnęła jeszcze raz mocno z fajki po czym rzekła:

— Do pioruna! Co to, nie poznaje on już swojej narzeczonej, Lilgi?

— Lilga! — krzyknął przestraszony nie na żarty, ryglując jednocześnie drzwi do gabinetu. — Ty jeszcze żyjesz? Czego chcesz? Czyżbyś zapomniała, że zabroniłem ci pod groźbą kary przychodzić do mego domu?

— Ciało cygańskiej wieszczki zestarzało się, ale duch jej jest silny. Ona niczego nie zapomniała. Chodzi o to, że się wcale ciebie nie boi. Żyje nadal, a umrze, gdy zechce tego Bhowannie. Gdzie jest mój syn?

— U mnie go nie ma, przepadł gdzieś.

Podniosła się teraz.

— Kłamco! Zaśmiał się wyniośle.

— Kobieto, licz się ze słowami!

— Człowieku miej się na baczności przed Lilgą, Cyganke! Gdy była najpiękniejszą spośród córek Boinjarów uwiodłeś ją. Opuściła swój lud aby zamieszkać u ciebie. Jednak twoje

zapewnienia okazały się krzywoprzysięstwem, twoje pocałunki trucizną, a twoja miłość oszustwem. Potem wyгнаłeś mnie precz w świat, aby móc ożenić się z kobietą ze szlchetnego rodu. Do tego wszystkiego porwałeś mi nawet syna, naszego syna. Ale ja odnalazłam go i powiedziałam mu, kto jest jego ojcem i katem. I wtedy ty znów odebrałeś mi go, a mnie kazałeś wypędzić z kraju. Mimo wszystko wróciłam. Gdzie jest nasze dziecko?

— Nie żyje.

— Nie żyje? No tak, umarł, a nawet więcej niż umarł. Jego ciało żyje, za to od trzech lat mordujesz jego duszę, tak silną, że nic nie może jej pokonać. Gdzie jest nasze dziecko, mój syn? W domu dla obłąkanych, osadzony tam przez ciebie i uznany za szaleńca. A wszystko to dlatego, iż wie, że pewien hrabia jest jego ojcem. Zabierz go stamtąd!

— Ty sama jesteś szalona!

Cofnęła się i spojrzała z osłupieniem na jego ponure oblicze, a potem osunęła się z wolna na kolana.

— Poznałeś serce dziewczyny, która gdy tego chciałeś poświęciła dla ciebie wszystko: swój lud, swe wierzenia, rodzinę i rodzeństwo; ale nie znasz serca matki. Ono jest jak serce lwicy, która rozszarpie lego kto chciałby porwać jej małe. Wspomnij o naszym szczęściu i spójrz na Lilgę, która klęczy teraz przed tobą. Klęczy i błaga cię...

— Dość tego! — przerwał jej surowo. — Żadnych przedstawień! Twój syn nie żyje. Nie zobaczysz go już nigdy więcej.

Podniosła się z ziemi.

— Skoro tak, to cygańska wieszczka opowiadać będzie wszędzie i wszystkim o tym, że to ty jesteś ojcem jej dziecka.

— Nie pozwolę ci na to.

— Tak sądzisz?

Na jej twarzy pojawił się wyraz takiej nienawiści i stanowczości, że bląkający się na jej wargach szyderyczy uśmieszek zniknął jeszcze prędzej niż się pojawił.

— Sądzisz hrabio Hohenegg, że Lilga obawia się ciebie albo twojej władzy? Jesteś w jej rękach niczym lis, który wpadł w łapy lwicy, a jedno jedyne jej słowo sprawi, że czekać cię będzie zguba i śmierć.

— Ach tak! Wypowiedz je! — rozkazał, uśmiechając się z przymusem. Podeszła ku niemu i szepnęła:

— Porwanie księcia!

Cofnął się do tyłu.

— Włóczęgo, tyś naprawdę postradała zmysły!

— Słuchaj dalej!

Zbliżyła się doń ponownie i zaczęła coś mówić cedząc słowa, których Maks nie mógł zrozumieć, gdyż były wymawiane zbyt cicho. Hrabia rozbił się coraz bledszy, nie potrafił nawet otworzyć ust.

— A więc? Ubiegasz się o tron i o koronę; ręka włóczęgi może ci je zapewnić, ale może cię też ich pozbawić. Czy odzyskam zatem swojego syna?

Hohenegg podszedł do okna i długo przez nie wyglądał. W końcu odwrócił się do niej.

— Czy mówiłaś o tym już komuś?

— Nie, przysięgam na Bhowannie.

— Jeśli tak, to odzyskasz swego syna.

— Kiedy?

— Kiedy zechcesz.

— W takim razie jutro! Wiem gdzie się znajduje.

— Dobrze. Napiszę ci teraz upoważnienie, z którym zwrócisz się do dyrektora zakładu.

Usiadł, po czym wypełnił, zaopatrzone już w podpis i pieczęć blankiet.

— Masz! Okazując ten papier zostaniesz tam wpuszczona.

— Żegnaj więc! Nie przyjdę już tu więcej.

Odpowiedzi hrabiego Maks nie mógł już słyszeć ponieważ musiał się wycofać. Tylko dokąd? Tajemne przejście odpadało, Cyganka przecież tamtędy wyszła. Nie pozostało mu nic innego jak ukryć się pod stołem, który przykryty zwisającym do podłogi obrusem stanowił dlań bezpieczne schronienie.

Zaledwie zdążył się tam wcisnąć, gdy Lilga i Hohenegg weszli do biblioteki.

— Żegnaj na zawsze! — powiedział hrabia. — I pamiętaj, że moja władza sięga dalej niż tam gdzie mogą zanieść cię twoje nogi!

Cyganka opuściła bibliotekę, hrabia wrócił do gabinetu, po którym spacerował nerwowo. Trwało to dość długo, wreszcie kroki ustały i rozległo się ciche skrzypienie pióra. Już doktor zaczął się zastanawiać czy nie powinien się wymknąć, gdy hrabia wstał i wszedł do biblioteki. Postąpił ku otwartym drzwiom, otworzył je i ruszył schodami w dół.

Zapewne chciał sprawdzić, czy Cyganka zamknęła za sobą drzwi. Maks domyślał się co hrabia pisał przed chwilą. Teraz wszakże nadarzyła mu się okazja, aby upewnić się, czy przecucie go nie zawiodło. Podążył szybko do gabinetu, podszedł do biurka i spojrzał na zapisaną kartkę. Było to polecenie dla dyrektora Państwowego Zakładu dla Psychiczenie Chorych, zgodnie z którym należało Cygankę Lilgę, niezwłocznie, gdy tylko się tam pojawi, umieścić jako nieuleczalnie chorą. Wszelkie badania miały zostać pominięte, a gdyby

próbowała oporu, dozwolone było użycie środków przymusu. Dalej następowała szczegółowa instrukcja postępowania.

— Łajdak! — mruknął doktor i pospiesznie wrócił do swej kryjówki.

Chwilę później hrabia wrócił prosto do swego gabinetu. Wkrótce doktor poczuł rozchodzącą się woń laku do pieczęci, szurnęło odsunięte krzesło i Maks usłyszał, że hrabia wychodzi. Pewnie, poszedł wręczyć posłańcowi list, aby ten bezzwłocznie udał się do szpitala.

Teraz doktor mógł już opuścić swoje niewygodne miejsce. Udało mu się wyjść cało z tej niezwyklej przygody i gdy zatrzymał się na końcu tajnego korytarza, odetchnął głęboko.

Przejście było zamknięte. Maksowi udało się jakoś skrzesać ogień i dostrzegł w zagradzającym mu drogę murze, żelazny pierścień. Jedno mocne pociągnięcie wprawilo ciężkie drzwi w ruch i młody doktor wszedł do pomieszczenia pod zewnętrznymi schodami. Teraz przyjrzał się bacznie całej konstrukcji, zauważył, iż ziemia w tym miejscu jest nieco wydrapana i wystarczy tylko lekkie pchnięcie, aby ów ruchomy kawałek muru wrócił na swoje miejsce. Maks zamknął przejście. Wydostanie się na zewnątrz było już drobnostką.

Gdy zeskoczył z okna podszedł do niego Tomasz:

— Podziękujmy wszechmogącemu, panie doktorze, że nic się panu nie stało, i że wrócił pan szczęśliwie! Ta czarownica wyszła już stąd dawno temu. Cóż takiego się tam wydarzyło?

— Tego dowiesz się później. Póki co nie śmiesz nikomu mówić co tu widziałeś!

— Nikomu bez wyjątku; przysięgam, że nie powiem nikomu. A szczególnie naszej doprej Parparze Seidenmüller, szynkarce z „Płękitnego Orła”, która zawsze chciałaby wszystko wiedzieć.

W DOMU DLA PSYCHICZNIE CHORYCH

Kiedy wrócili do domu, wszędzie panowała głęboka cisza. Maks udał się do swego pokoju i położył, ale mimo wielu starań nie potrafił zasnąć. Jego myśli obracały się wokół wydarzeń minionego wieczoru, przez wiele godzin spędzając mu sen z powiek.

Było jeszcze bardzo wcześnie gdy zerwał się ze swego posłania, ubrał i ruszył na samotną przechadzkę, zamierzając przemyśleć wszystko jeszcze raz i znaleźć najlepsze rozwiązanie z tej sytuacji.

Gdy wracał do domu, wiedział już co uczyni. Uznał, że nie należy zwracać się z tą sprawą do sądu. Nie dano by wiary jego słowom, a takie oskarżenie byłoby tylko na rękę hrabiemu, który przy swych rozległych koneksjach i znajomościach bez trudu potrafiłby tak pokierować procesem, aby pozbyć się Cyganki ostatecznie. W związku z tym Maks postanowił zwrócić się osobiście do swego ojca chrzestnego, którym był książę i przedstawić mu całą sprawę.

Przybywszy w pobliże kuźni od razu posłyszał dobiegające zeń odgłosy potężnych uderzeń młota. Przed jej drzwiami znajdowała się pokaźna liczba koni, trzymanyh przez odzianą w liberię służbę księcia. Ścigany ich wzrokiem, przyspieszył kroku i wkrótce znalazł się w środku.

Odwrócony do ognia plecami stał tam nadworny kowal i rusznikarz Artur Brandauer, trzymając na kowadle uchwycony obcęgami kawałek rozpalonego do czerwoności żelaza.

Towarzyszył natomiast Brandauerowi mężczyzna, który uderzał wielkim młotem w gorące żelazo, krzesząc za każdym razem rój rozsypujących się wkoło iskier, zupełnie nie przypominał kowala. Wprawdzie miał na sobie skórzany fartuch i zakasane wysoko zgodnie z kowalskim zwyczajem rękawy koszuli, wszakże ta, uszyta z cienkiego francuskiego płótna, nosiła wyraźny ślad ręki, znajdującego się na rzeczy kamerdynera.

Człowiekiem, o którym mowa był książę.

Wysoko urodzeni także posiadają najróżniejsze upodobania. Historia pamięta słynnych władców, którzy byli zupełnie dobrymi złotnikami, tokarzami czy kucharzami; Piotr Wielki został nawet cieślą okrętowym. W Norlandii każdy znał zamiłowania swego władcy do sztuki kowalskiej i każdy też w stolicy wiedział z jaką pilnością i zręcznością jaśnie pan im się oddawał.

Kiedy miłościwie panujący miał już dość rządzenia, albo doskwierały mu jakieś inne troski, szedł do kuźni i tam brał się za młot i obcęgi. Wszyscy dostojnicy byli temu razi, ponieważ zawsze po takiej wizycie książę odzyskiwał pogodny nastrój. Także lud mówił z zadowoleniem

o tej nie szkodzącej nic krajowi słabostce swego pana, mając na uwadze niektórych innych władców, potrafiących dla spełnienia swych wymyślnych zachcianek, wycisnąć z poddanych ostatnią kroplę krwi. Zdarzało się nawet, że książę w trakcie swej podejmowanej od czasu do czasu podróży przez kraj, kazał zatrzymać się przed jakąś napotkaną właśnie kuźnią, aby powywiąć trochę młotem, a później śmiejąc się i okazując zadowolenie ruszać w dalszą drogę.

Stąd też mała i niepozorna kuźnia na przedmieściu, znana była w takim samym stopniu jak teatr czy inne sławne budowle stolicy. Rzadko kiedy zdarzało się, aby jakiś zacny prowincjusz, opuszczając Fürstenberg nie wstąpił obejrzeć kuźni Brandauera.

Także dzisiaj, już wczesnym rankiem, książę pojawił się w kuźni, aby własnoręcznie podkuć kilka koni ze swej wspaniałej stadniny. Czeladnikom i terminatorom kazano odejść i teraz rozbrzmiewała prowadzona w takt rytmicznych uderzeń młota rozmowa dwóch, tak różnych zewnętrznie i tak podobnych wewnętrznie mężczyzn.

— Powiadasz więc Brandauer, że ze zwolennikami oświecenia nie powinienem się zadawać? — dopytywał się książę.

— W żadnym wypadku wasza książęca mość! Przynoszą tyle samo pożytku co polna mysz i zjadająca liście drzew gąsienica.

— Masz rację Brandauer — rozległ się głos władcy Norlandii, pomiędzy dwoma kolejnymi uderzeniami młota. — Hrabia chciałby się nimi otaczać, mnie podobnie jak i tobie nie są om do niczego potrzebni. Włóż żelazo jeszcze raz do ognia!

Kowal uczynił to, a następnie dmuchnął kilka razy w miechy.

— A co to jeszcze chciałeś mi oprócz tego powiedzieć? — spytał książę, opierając się o rękojeść młota.

— Znowu zaczyna się mówić o rewolucji!

— Hm! Wiadomo, że to za sprawą tej pustej gadaniny francuskich próżniaków Wypełniam swe obowiązki należycie i mój lud jest ze mnie zadowolony. Spójrz na ten młot! Nim miazdę żelazo. A istnieje też i taki młot, który potrafi zgnieść rebelię. Wspomniałeś zdaje się również o kłótniach z Süderlandią na temat ceł?

— No tak, ile te cła rocznie przynoszą zysku?

— Niewiele, około pięćdziesięciu tysięcy talarów.

— A ile kosztuje ciągłe pilnowanie granicy?

— Jakieś dziesięć tysięcy więcej.

— Każ więc, jaśnie panie, znieść cła.

— Z tego punktu widzenia zapewne masz rację, ale trzeba przecież spojrzeć na to także z innej strony, a wtedy dojdzie się do zupełnie odmiennych wniosków niż twoje.

— Myślę podobnie jak mój chłopak i rozumiem o co mu chodzi — odparł krótko kowal, tonem pełnym ojcowskiej dumy.

— A co on sądzi o granicach celnych?

— Mówi, że należy je zlikwidować!

— Dobrze, muszę go kiedyś wysłuchać. Wyciągnij żelazo mój stary! Znowu zadźwięczał młot i dokoła posypały się iskry. Właśnie wtedy wszedł Maks składając głęboki, pełen szacunku ukłon dostojnemu asystentowi swego ojca.

— Dzień dobry, doktorze! A więc wrócił pan do ojczyzny — mówiąc to książę dalej kuł żelazo, aż znowu trzeba było je włożyć do ognia, a wtedy nie kryjąc radości podał Maksowi rękę. — Witam serdecznie! Czy masz czas, mój chłopcze?

— Dla pana zawsze, wasza książęca mość!

— No to ściągaj kurtkę, tu jest fartuch i bierz młot do ręki! Popracujemy teraz w trójkę, tak jak dawniej.

* * *

W ogrodzie tymczasem siedzieli czeladnicy i gawędzili, zaś w ich pobliżu zgodnie ze zwyczajem przycupnęli uczniowie. Za każdym razem, gdy książę przebywał w kuźni, oni mieli wolny czas.

— Gdyby tak teraz ktoś mógł słyszeć o czym się tam mówi? — rzekł Henryk, artylerzysta. — Będą się zajmować polityką i rozstrzyganiem takich spraw, o których nawet sam premier niczego się nie dowie.

— Tak, właśnie tak — zgodził się Kazimierz.

— Stary to praktyczna głowa, ale książę znacznie bardziej się liczy z tym co powie młody pan, chociaż nie daje tego po sobie poznać. Pan Maks na pewno zostanie jeszcze kimś wielkim.

Kazimierz znowu przytaknął, tym razem kiwając tylko skwapliwie głową.

— Być może wachmistrzem kawalerii — ciągnął dając Henryk, zezując przy tym w stronę Tomasza

— To możliwe — odparł ten ostatni spokojnie — ponieważ nigdy za nic w świecie nie poszedłby do artylerii; za mało tam finezji, a za dużo grupiaństwa.

— Ale czy to właściwie tak? — spytał Kazimierz, któremu sprawiało zawsze uciechę napuszczanie na siebie obu kolegów.

— Oczywiście! A kto nie wierzy, niech spojrzy tylko na Henryka, od razu zaraz pojmie, że mam rację. My, jazda w przeciwieństwie do artylerzystów jesteśmy zawsze delikatnymi ludźmi; dlatego też młody pan najczęściej przestaje ze mną, co może nie? I kto dostaje najlepsze Ampalemy? A komu trafiła się dzisiaj nawet Kupa? Tomaszowi, kawalerzyście!

— Tylko nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego, na temat tej swojej kawalerii — odezwał się Henryk lekceważąco. — Cóż w tym wielkiego rąbać i ciąć tym waszym nożem prosto w serce. Ale umieć dobrze obchodzić się z działem, to wymaga już umiejętności; często od jednego jedynego strzału, zależy los całej bitwy.

— Ty chypa nie jesteś przy zdrowych zmysłach! — sprzeciwił się słowom Henryka Tomasz. — Jak może los całej bitwy zależeć od jednego, jedynego strzału?

— To znaczy,, że ty nic nie rozumiesz. Zresztą mogę to udowodnić. Było to jakieś osiem lat temu, w czasie bitwy pod Bartingen, kiedy podjęliśmy ostania już próbę pokonania nieprzyjaciela. Wszystkie nasze rezerwy zostały już wykorzystane. Atakowaliśmy idąc do przodu na całej linii, ale wróg miał do dyspozycji jeszcze świeże siły i gdyby wprowadził je do walki, musielibyśmy się cofnąć i przegralibyśmy bitwę. Stary hrabia Hohenegg — można o nim mówić co się chce, ale nie ma żadnych wątpliwości, że to dzielny dowódca — znajdował się niedaleko naszej baterii, na wzgórzu skąd przez lunetę obserwował dowództwo nieprzyjaciela. Nagle zwrócił się w moją stronę.

— Henryku Feldman — powiedział — jesteś najlepszym artylerzystą w mej armii, czy widzisz o tam, po drugiej stronie pędzącego na koniu adiutanta wroga?

— Tak jest! — odpowiedziałem.

— W przytroczonej do siodła torbie wiezie pisemny rozkaz, zgodnie z którym mając ruszyć do boju, ich pozostające dotąd w rezerwie siły.

— Czy mam zniszczyć ten rozkaz, wasza dostojność? — spytałem.

— Ma się rozumieć, jednak oszczędź jeźdźca i konia! Ten człowiek wydaje mi się sympatyczny, mam także wielką słabość do zwierząt.

— Zrobi się, wasza dostojność! — ładuję więc ostrożnie moją armatę, po czym naprowadzam lufę na cel. Do diabła ten adiutant ma jeszcze tylko jakieś sto kroków do lasu, a pomiędzy nim a leśną gęstwiną stoi gospoda, za którą się on niebawem znajdzie. Co tu robić? Właściwie nie mam wyboru, spróbuję więc takiego sposobu: na dolne piętro tej oberży składa się wyłącznie jedna izba; zaglądając tam przez okno z przodu, widzimy dzięki przeciwległemu oknu co się dzieje z tyłu, za nią. Celuję dokładnie — jeździec znika właśnie za budynkiem, odpalam — kula przelatuje przez oba okna, wylatuje po tamtej stronie gospody i rozszarpuje adiutantowi na strzepy jego umocowaną do siodła torbę. Bitwa została wygrana, a gdy

następnego dnia znalazłem się w tej gospodzie, miałem okazję przekonać się, co za mistrzowski strzał udało mi się wykonać. I co, nadal nie wierzycie, że losy bitwy mogą zależeć od jednego, jedyne go wystrzału?

— Łżesz niczym diabeł! — gderał Tomasz rozeźlony, że dał się wyprowadzić w pole tym opowiadaniem o umiejętności artylerzysty. — Jesteś tak pezcelnym plagierem, jakiego jeszcze w życiu nie spotkałem.

— Tak, właśnie tak — dodał zgodnie Kazimierz.

Dopiero gdzieś po upływie godziny majster Brandauer zawołał swoich czeladników i terminatorów. Książę opuścił właśnie kuźnię w towarzystwie doktora, pomocnicy starego Brandauera mogli więc zająć się swoją robotą.

Kiedy Maks powrócił, siedział na grzbiecie ujeżdżonego przez siebie w książęcej stajni, znakomitej rasy karego ogiera. Podjechał teraz w stronę ojca i zatrzymał się.

— Czy masz przepustkę do tego zakładu? — spytał syna Albert Brandauer.

— Tak, i to nawet wydaną przez ministra spraw wewnętrznych.

— Naturalnie, przywieziesz Lilgę i jej syna do nas?

— Ależ oczywiście! — ściągnął karoszewi lejce i ruszył krótkim galopem przed siebie.

Kowal patrzył za nim, tak długo jak tylko to było możliwe. Nikt nie mógł być bardziej dumny ze swego syna niż on.

Droga wznosząca się coraz bardziej, prowadziła cały czas wzdłuż płynącej, w przeciwnym kierunku rzeki. Około trzech mil od Fürstenbergu, poniżej małej miejscowości Bergstein, spadziste pasmo gór, schodziło prawie do samego jej brzegu w tym miejscu, naturalną skalną basztą. Na niej to wznosił się stary zamek, którego rozległe zabudowania służyły obecnie za siedzibę Państwowego Zakładu dla Psychicznicy Chorych. Jego dyrektor Beriding był dawnym lekarzem wojskowym wysokiej rangi, który otrzymał tę intratną posadę dzięki przychyłności hrabiego Hohenegg.

Właśnie przed kilku minutami zasiadł ze swą rodziną do obfitego i wystawnego śniadania. Mężczyzna ten mógł pochwalić się znaczną tuszą, a jego tłuste, błyszczące policzki zasługiwały na miano zwisających połaci słoniny.

— Nic nowego, moja kochana? Należy mi jeszcze trochę, proszę.

— Tej nocy przybył posłaniec hrabiego. Chciał koniecznie widzieć się z tobą, powiedziałam mu jednak, że jesteś w podróży, zostawił więc pismo. Tutaj masz kawę. Czy jest dość słodka?

— Wspaniała. Dobrze zrobiłaś, duszko ty moja, z tym posłańcem. Sen potrzebny jest ludzkiemu ciału najbardziej: kto krótko śpi ten krótko żyje. Daj mi teraz to pismo!

Podawała mu zapieczętowaną kopertę, otworzył ją i przeczytał.

— Hm, nowy nabytek! — stwierdził po chwili, składając przeczytany arkusz papieru.

— Rodzaju męskiego?

— Nie, jakaś Cyganka.

— No tak! Zapewne włóczęga. Skąd zostanie doprowadzona?

— Przyjdzie tu sama.

— Sama? Dobrowolnie? Jak to możliwe?

— Przybędzie tu w poszukiwaniu syna i wtedy zostanie zatrzymana.

— Kto jest jej synem?

— On już nie żyje. To był numer jedenaście, od szaleńców.

Starsza córka dyrektora dość energicznie odłożyła łyżeczkę na stół.

— Ten miły pan, który stale twierdził, że jest zdrowy i że niesłusznie został uznany za chorego?

— Ten sam, moje dziecko.

— Papo, ale ja wierzę w to, że nie był obłąkany, zresztą obaj młodszy lekarze są tego samego zdania.

— A skąd ty to wiesz? — spytał zaskoczony ojciec.

— Słyszałam jak to mówili nie wiedząc nic o mojej obecności.

— Obaj ci asystenci, zbyt krótko jeszcze pracują w naszym zakładzie, a więc niewiele mają w tej sprawie do powiedzenia. Za to naczelny lekarz, podobnie zresztą jak i ja, stwierdził chorobę, a poza tym decydujące znaczenie ma w tym przypadku opinia naszego jaśnie pana, którą musisz uznać za wiarygodną. Kłopoty z numerem jedenastym powiększały się z dnia na dzień; ataki szału powtarzały się coraz częściej i nie sposób było go inaczej poskromić jak przywiązując do łóżka, bądź zakładając mu kaftan bezpieczeństwa. Tak bardzo fizycznie go to wyczerpało, że w ciągu krótkiego okresu czasu przeniósł się na tamten świat.

— To musi być jakaś bardzo tajemnicza sprawa, papo. Ten pan mimo swego młodego wieku dosłużył się stopnia kapitana, a do tego wszystkiego okazał się synem Cyganki. Hrabia wysłał go tu, a teraz wydał jeszcze rozkaz, aby zatrzymać w zakładzie również jego matkę.

— Moje dziecko, jestem przekonany, że hrabia i nauka nie mogą się mylić, natomiast powiązania rodzinne pacjentów nic mnie nie obchodzą.

Podniósł się i poszedł odebrać raporty podległego mu personelu. Sprowadzeni przez służącego lekarze stali już w gabinecie. Czekali tam na niego prawie godzinę.

— Dzień dobry moi panowie — pozdrowił ich protekcjonalnym tonem. — Proszę bardzo, siadajcie! Zanim przyjmę od panów wasze codzienne sprawozdanie, chciałbym poinformować was o jeszcze jednej, nowej sprawie. Otóż przed południem ma pojawić się u nas pewna

Cyganka, by odszukać tu swego syna. To osoba obłąkana i winna zostać natychmiast zamknięta w jednej z cel dla ogarniętych obłądem kobiet.

— Kto jest jej synem? — zapytał naczelny lekarz Schramm.

— To był numer jedenasty.

Obaj asystenci spojrzeli na siebie znacząco, także na twarzy doktora Schramma pojawił się wyraz zaskoczenia.

— Jego matka była Cyganką? Czy mogę wiedzieć od kogo pochodzi ta informacja?

— Od jego wysokości, hrabiego von Hohenegg.

— W takim razie rzeczywiście jest ona obłąkana. Jego Wysokość cieszy się tak wielkim autorytetem, również jako lekarz, iż w tym wypadku jakiegokolwiek powtórne badania są zbyteczne.

Trzeba powiedzieć, że hrabia von Hohenegg początkowo zajął się wychowaniem noszącego przybrane nazwisko von Wallroth, syna Lilgi i nawet przychylił się do jego życzenia i zezwolił mu na wstąpienie do wojska, gdzie młody człowiek doszedł do stopnia kapitana. Wszakże kiedy w hrabim Hohenegg rozbudziły się ambicje polityczne, zapalał on do tego stopnia żądzą władzy, iż nie cofnął się nawet przed równającymi się zdradzie stanu planami wystąpienia przeciwko panującemu domowi. Wtedy to właśnie zaczął widzieć w synu Cyganki niebezpieczną dla siebie przeszkodę. Postanowił więc pozbyć się go, powierzając „opieczę” winnego mu wdzięczność psychiatry, który zająć miał się również dyskretnym zniknięciem młodego kapitana.

Samo składanie raportów trwało krótko. Podwładni znali już dobrze swego przełożonego i potrafili w taki sposób kierować zakładem, aby ich szefa nigdy nie bolała z tego powodu głowa.

Właśnie odprawa miała się ku końcowi, gdy wszedł odźwierny, aby zameldować, że w izbie przyjęć znajduje się jakaś Cyganka, która chce rozmawiać ze swym chorym synem.

— Niech pan będzie tak dobry i pofatyguje się na dół, doktorze Schramm! — polecił dyrektor. — Wie pan już wszystko, co powinien pan czynić.

Naczelny lekarz opuścił gabinet, wydał na korytarzu jeszcze kilka poleceń, po czym skierował się do izby przyjęć. Osobą, która tam czekała, była Lilga.

— Kim pani jest? — spytał opryskliwie, lustrując równocześnie Cygankę swym ostrym, przenikliwym spojrzeniem.

— Nazywam się Lilga i jestem *vajdziną* rodu Boinjarów.

— Czego pani chce?

— Abyś przeczytał, wielce szanowny panie, ten papier, który napisał hrabia Hohenegg!

— Była pani u niego osobiście?

— Tak.

Przerzucił wzrokiem rozkaz hrabiego.

— Proszę za mną!

Opuścił wraz z Cyganką pokój przyjęć, przeszedł przez dziedziniec na drugą stronę i udał się do ponurego budynku o mocno zakratowanych oknach. Tam wszedł po kilku schodach i rozkazał strażnicze otworzyć prowadzące do ciemnego korytarza wejście. Zrobił kilka kroków w głąb i odciągnął ciężki, żelazny rygiel z mocno okutych drzwi.

— Tutaj proszę!

Cela posiadała niewielkie, zaopatrzone w drucianą siatkę okno, przez które z trudnością przedostawało się światło dzienne. Grube mury wyłożone były drewnianymi belkami, a liczne, zwisające z nich łańcuchy jeszcze bardziej potęgowały ponure wrażenie jakie robić musiało na każdym to pomieszczenie. Cyganka cofnęła się do tyłu. Zdawać się mogło, że o władnęło ją jakieś straszne przecucie.

— Ale co ja mam tu do roboty?

— To się jeszcze okaże.

— Nie wejdę do środka, jeśli mi tego nie powiesz. Chcę zobaczyć mego syna.

— Masz tam wejść! — złapał ją brutalnie i wepchnął do środka, po czym zaryglował natychmiast drzwi.

— Ta kobieta zostanie tutaj! — rozkazał pełniącej dyżur strażnicze. — Jeśli nie będzie się zachowywać spokojnie, proszę założyć jej kaftan bezpieczeństwa! I ponadto dzisiaj nie dostanie nic do jedzenia.

Gdy tylko przeszedł z powrotem przez dziedziniec, zatrzymał go odźwierny.

— Właśnie pana szukam, doktorze. Przyszedł jakiś jegomość, który; życzy sobie obejrzeć zakład, ale nie wiem czy mogę teraz przeszkadzać panu dyrektorowi.

— Kto to jest?

— Jakiś bardzo miły człowiek. Nie podał swego nazwiska.

— No to chodźmy go zobaczyć.

Ruszył wolno, przecinając w poprzek dzielącą go od głównego budynku przestrzeń i udał się, kolejny już raz do izby przyjęć. Siedzący tam młody mężczyzna podniósł się z miejsca.

— Pan dyrektor Breiding? — spytał, kłaniając się jednocześnie, aczkolwiek w bardzo powściągliwy sposób.

— Naczelnny lekarz, doktor Schramm — odparł chłodnym tonem spytany, sądził zapewne, że ma przed sobą jakiegoś literata czy dziennikarza.

— Prosiłem o rozmowę z dyrektorem. Czy to znaczy, że wyjechał?

— Pańskie nazwisko?

— Oto moja wizytówka.

Nie zawierała ona niczego prócz tylko kilku słów: „Dr Maks Brandauer”. Naczelny lekarz ukłonił się sztywno.

— Czy życzy pan sobie obejrzeć nasz zakład?

— Owszem.

— A w jakim celu?

— Chciałbym opisać co tu zobaczę.

— Aha! — twarz naczelnego lekarza pojaśniała przez chwilę z zadowolenia i satysfakcji, że nie zawiodła go intuicja. — Zezwalam panu na wstęp, a oprowadzi pana po zakładzie jeden ze strażników.

— Życzę sobie, aby dotrzymał mi towarzystwa pan dyrektor!

— To niemożliwe! Zarówno on jak i my: trzej lekarze jesteśmy całkowicie pochłonięci wykonywaniem naszego, jakże niewdzięcznego i ciężkiego zawodu.

Maks uśmiechnął się.

— Proszę przeczytać to pismo, mój panie!

Wyciągnął z torby złożony arkusz papieru i podał go lekarzowi, ten spojrział na dokument zaskoczony i nieco zmieszany. Okazało się, że zawiera on zredagowany w bardzo lakoniczny sposób rozkaz, aby jego okazicielowi, a więc pełnomocnikowi księcia udostępnić wejście do wszystkich cel i pomieszczeń, a także udzielić odpowiedzi na wszelkie, najbardziej nawet szczegółowe pytania.

— No to zmienia zupełnie postać rzeczy drogi panie — powiedział teraz prawie uprzejmie.

— Będzie pan łaskaw, doktorze pofatygować się wraz ze mną do dyrektora!

Zaprowadził Maksa do gabinetu swego przełożonego. Nie było w nim jednak nikogo. Dyrektor utrudzony przyjmowaniem raportów, zapadł w pokrzepiającą, poranną drzemkę.

— Zechce pan usiąść, a ja zamelduję o wszystkim dyrektorowi.

— Dobrze, tylko nie chciałbym czekać kolejnej godziny. Mój czas płynie jeszcze szybciej niż czas panów lekarzy — zabrzmiała ostra odpowiedź.

Przyniosła jednak dobry skutek, bowiem nie minęły nawet dwie minuty, gdy pojawił się dyrektor trzymając w ręce przedstawiony przez Maksa dokument. Dla eks-wojskowego lekarza Breidinga stało się teraz jasne, że i o dalszej drzemce będzie mógł sobie co najwyżej pomarzyć.

— Panie doktorze, mam zaszczyt...

— Panie dyrektorze, gdzie zgubił pan swego naczelnego lekarza?

— Musiał niezwłocznie udać się do jednego z chorych, który...

— Proszę więc równie niezwłocznie wezwać go tutaj z powrotem. W przeciwnym razie nabiorę podejrzeń, iż zajmuje się odpowiednim przygotowaniem zakładu do mojej wizytacji. Oczekuję również, że pozostali lekarze dołączą do nas, aby wspólnie wziąć udział w naszej lustracji.

Dyrektor widząc, że nic się tu nie działo, zadzwonił i jak na zawołanie pojawił się naczelnny lekarz, a wraz z nim asystenci.

— Ruszamy zatem moi panowie! — rozkazał Maks. — Na początek życzę sobie obejrzeć wspólne pomieszczenia, takie jak sala do modlitwy, kuchnia, miejsca spacerów i tak dalej; a na koniec przejdziemy się po pojedynczych celach.

Zdarzyło się to po raz pierwszy, żeby pełnomocnik księcia zaskoczył zakład nie zapowiedzianą wizytą. Bystre oko doktora zauważało co raz jakieś nieprawidłowości, wszakże powstrzymywał się on od udzielania jakichkolwiek reprimend. Za to liczba sporządzanych przez niego notatek, kazała sądzić jego towarzyszom, że mają do czynienia z niezwykle surowym lustratorem.

Dopiero ta wizyta w szpitalu dla psychicznie chorych pozwoliła i Maksowi uświadomić sobie dogłębnie na jakie to cierpienia narażony może być ludzki duch. Spotkać tu można było niemal wszystkie możliwe, rzeczywiste czy też urojone przypadki chorób psychicznych. Nieustannie jęczących lub uparcie milczących, którzy nigdy nie odezwali się ani słowem albo znowu gadatliwych, którzy nie potrafili przestać mówić ani przez chwilę. Można było zobaczyć znanych ze swych dzieł artystów i poetów, którzy ogarnięci jakimiś ciemnymi i ponurymi wizjami trwali tu, na wpół przytomni błędząc swymi myślami w świecie widm i upiorów. Kogo tu nie było? Jak choćby ten co uważał, że jest tygrysem; jego celę trzeba było przerobić na klatkę; jadł tylko surowe, ociekające krwią mięso, które rwał na kęsy zębami i długimi paznokciami, rycząc przy tym jak dzikie zwierzę. Inny znowu kręcił się nieustannie dokoła siebie, będąc przekonany, iż jest osią ziemską. Kolejny obserwował nieustannie niebo, przez sporządzoną z rolki papieru lunetę; myślał, że jest Galileuszem, i że odkrywa co dnia nową gwiazdę. Jeszcze inny miał się za Napoleona Bonaparte; stał w celi i wydawał głośnie rozkazy, kierując bitwą pod Wagram.

Na oddziale kobiecym wszystko powtórzyło się jeszcze raz, z uwzględnieniem wszakże różnicy, która dzieli te dwie płcie. Z jednej z cel dochodził tak straszny krzyk, że Maks nie mógł go już dłużej słuchać.

— Na litość boską, panie dyrektorze, czy nie ma jakiegoś sposobu, aby ci ludzie mogli nie krzyczeć?

— Uspokoją się sami. Tego rodzaju wycia słyszy się zawsze wtedy, gdy któremuś z nowoprzybyłych założy się kaftan bezpieczeństwa.

— Czyli, że ta osoba tutaj znajduje się od niedawna?

— Od dzisiaj.

— Kim ona jest?

— To jakaś Cyganka.

— Aha! A jakiego rodzaju jest jej szaleństwo?

— Tego nie mieliśmy jeszcze okazji się dowiedzieć, panie doktorze.

— Ale musi przecież pan coś wiedzieć o tym z dokumentów, na podstawie których została tutaj umieszczona?

— Nie, nie miałem jeszcze czasu ich czytać.

— Proszę, niech pan każe otworzyć!

Towarzysząca im strażniczka otworzyła drzwi. W środku na podłodze leżała Lilga, nogi miała spięte klamrami, zaś jej ciało było tak mocno ściśnięte kaftanem, że twarz jej była trupio blada, a oczy prawie wyszły z orbit. Kiedy trzech mężczyzn weszli do środka, zdołała jedynie wydać z siebie przeraźliwe jęknięcie, pełne okropnego strachu przed śmiercią, taksowi trudno było zachować spokój.

Czy tego rodzaju środki są rzeczywiście konieczne, panie dyrektorze?

— Oczywiście!

— Ale z jakiego to powodu?

— Proszę powiedzieć, co się stało! — zwrócił się dyrektor do strażniczki

— Walila w drzwi i żądała wypuszczenia.

— Takie żądanie jest czymś bardzo naturalnym — wtrącił Maks, — a tutaj jak mi się zdaje, także czymś uzasadnionym. Proszę więc panie dyrektorze, aby tę nieszczęsną kobietę uwolnić z opresji!

— W żadnym wypadku nie mogę spełnić pańskiego życzenia, doktorze. Wyleczenie jest niemożliwe, jeśli na początku zacznie się chorego traktować z pobłażliwością. Proszę mi wybaczyć!

Dyrektor dobrze wiedział dlaczego udzielił takiej właśnie odpowiedzi. Gdyby uwolnił Cygankę niechybnie wyszłaby na jaw sprawa, o której pełnomocnik księcia nie powinien nic wiedzieć.

— Nie może pan więc spełnić mej prośby?

— Niestety nie!

— W takim razie, zechce pan potraktować moją prośbę jako polecenie urzędowe!

Dyrektor spojrział na niego zdziwiony i równocześnie zaniepokojony. Był tylko jeden sposób, aby wybrnąć z tej sytuacji.

— Nie muszę liczyć się z żadnymi rozkazami, których nie otrzymuję od przełożonych. Jego ekscelencja nakazał mi udzielenie panu wszelkich niezbędnych informacji, ale nie pisze nic o tym, abym miał się podporządkować pańskim rozkazom.

— Doskonale! Proszę więc przeczytać i to pismo!

Doktor wyciągnął drugi dokument. Dyrektor przebiegł oczami jego treść i zbladł.

— Widzi pan zatem, dyrektorze Breiding, że jestem również upoważniony do wydawania dowolnych rozporządzeń; to napisane własnoręcznie przez jego wysokość polecenie chyba pana o tym przekonało. Jeśli nie rozkaże pan natychmiast uwolnić tej kobiety, to wtedy wystąpię o pozbawienie pana pańskiego urzędu.

Ta groźba poskutkowała. Dyrektor pomógł nawet strażniczce rozpiąć kaftan i rozwiązać klamry. Zaledwie Cyganka mogła znów normalnie oddychać, jej krzyk umilkł, a ona sama upadła nieprzytomna na ziemię; nie musiał się więc kierujący zakładem urzędnik obawiać tego co miałyby do powiedzenia. Nic to jednak nie pomogło, gdyż już niebawem miał się przekonać, iż wysłaniec księcia jest lepiej o wszystkim poinformowany niż on sam.

— Powiedział pan przedtem, że nie czytał pan jeszcze akt przyjęcia tej chorej do zakładu?

— Tak było.

— Ale miał je pan już w swoich rękach?

— Tak.

— Pan kłamie!

— Panie doktorze...

— Powtarzam; pan kłamie. Proszę natychmiast kazać je tutaj dostarczyć!

— Sądzę... mam nadzieję, panie doktorze, że... to znaczy, chciałem powiedzieć...

— No, co pan chciał powiedzieć?

— Że są one rzeczywiście trochę niepodobne do zwykłych akt...

— ...bowiem składa się na nie wydany wyłącznie przez hrabiego Hohenegg rozkaz?

Dyrektor przeraził się nie na żarty. Kim był ten młody człowiek, który się tak wielkim zaufaniem księcia, że mógł grozić natychmiastowym pozbawieniem stanowiska? A co więcej, skąd wiedział o rozkazie hrabiego?

— No... no... to prawda! — wyjąkał.

— W takim razie wyda mi pan ten rozkaz!

— Panie doktorze nie potrafię powiedzieć, czy da się go jeszcze odnaleźć.

— Lepiej niech pan go znajdzie, jeśli chce pan uniknąć urzędowego przeszukania pańskich papierów. Ta kobieta przyszła do zakładu, aby odwiedzić swego syna?

— Tak.

— Gdzie on się znajduje?

— Zmarł przed kilku dniami.

— A gdzie są jego akta przyjęcia do zakładu?

Dyrektor zamilkł.

— Teraz rozumiem! Te papiery były tego samego rodzaju co i te dotyczące jego matki. Panie dyrektorze, to co się tu dzieje i to pod pańskim kierunkiem, zmusi mnie do wysunięcia wniosku o przeprowadzeniu w tym zakładzie surowego śledztwa. Czy pańskim zdaniem kapitan von Wallroth rzeczywiście był obłąkany?

— Naturalnie!

— Moi panowie — zwrócił się Maks nieoczekiwanie do obu asystentów, — proszę o wasze opinie na ten temat

— Panie doktorze...!

— Żadnych wykrętów! Pytam panów, odwołując się do ich ho i sumienia, czy można było rzeczywiście, uznać tego nieszczęśnika za człowieka obłąkanego? Odpowiedź panów zadecyduje nie tylko o waszych posadach, ale i również o waszej przyszłości.

— On nie był psychicznie chory, ale mógł się nim stać ze względu na to jak się tu z nim obchodzono — odparł odważniejszych z nich.

— To wystarczy, bowiem to co pan powiedział zgadza się w zupełnie z moim własnym przekonaniem. Panie dyrektorze, oświadczam, że matka kapitana jest wolna i opuszcza zakład. Proszę się teraz niezwłocznie o to zatroszczyć. Ja udaję się do miasteczka, aby wynająć powóz, w którym będzie mi ona towarzyszyć w drodze do stolicy. Lecz zanim to uczynię, zobaczymy czy jest jeszcze do odnalezienia rozkaz, jaki dostarczył panu dzisiaj przez posłańca hrabia. Co dalej, o tym zadecyduje odpowiednia władza, której pan tak chętnie słucha.

Niedługo potem Maks opuścił zakład i ruszył w stronę miasteczka Bergstein. Był bardzo poruszony wydarzeniami jakie miały miejsce w szpitalu i zamierzał, korzystając z przechadzki, uspokoić się i uporządkować własne myśli. Konia, na którym przyjechał pozostawił tymczasem w stajni zakładu dla psychicznie chorych.

Niedaleko, w miejscowości do której zmierzał, bez trudu znalazł wypożyczalnię powozów i zastał tam tylko żonę właściciela oraz jego dzieci. Gdy miał wychodzić wzrok jego padł na lustro wiszące koło drzwi, pod nim wisiał wykonany ołówkiem szkic, który natychmiast przyciągnął jego uwagę. Po dokładnym obejrzeniu przekonał się, że się nie myli.

— Cyganka Lilga! Jak ten obraz się tu znalazł?

— Pan zna Lilgę? — spytała żona stangreta. — Och, ona jest naszą dobrodziejką już od dawna. Mój syn ma trochę talentu i to on namalował jej portret, który wisi pod lustrem. Czyż nie jest podobna?

— Bardzo, ale niech mi pani powie, dobra kobieto jak pani poznała tę Cyganke?

— Od tamtej chwili minęło już sporo czasu, chyba nawet ze dwadzieścia lat. Ona była wtedy bardzo szanowaną damą i mieszkała u hrabiego Hohenegg. To powinno wprawdzie pozostać w tajemnicy, ale przecież opowiadało się o tym w całym mieście. Wszyscy żalowali tej pięknej dziewczyny, zresztą dla pana są to sprawy zupełnie obojętne. No więc, moja matka była akuszerką i z tej racji miała do czynienia z ludźmi z najwyższych sfer. Byłam wtedy młodą mężatką i mieszkałam u niej, w stolicy. Zdarzyło się tak, że pewnej nocy wezwano matkę do dwóch wysoko urodzonych dam, a mianowicie do księżnej i do baronowej Falkenau, która przebywała akurat z wizytą na zamku. Obie jaśnie panie były dalekimi krewnymi, zaś baron, którego księżę bardzo cenił, przebywał służbowo za granicą. Baronowa zmarła przy porodzie, a ponieważ krótko przedtem umarło mi moje pierwsze dziecko, no to wzięłam do siebie małą baronównę... to znaczy, chciałam powiedzieć małego barona i zostałam jego mamką. Wtedy to odwiedzała mnie całymi dniami piękna Cyganka i stąd wzięła się właśnie cała ta znajomość.

Maks nawet nie przypuszczał, jakie to krótkie opowiadanie miało mieć znaczenie dla niego i jego przyszłych losów.

— Czy później Lilga odwiedzała panią równie często?

— Tak Gdy przychodziła musieliśmy ja o wszystkim informować, w tym celu, kiedy jej nie było staraliśmy się zbierać najróżniejsze wiadomości.

— Ale o kim?

— O... o... tylko czy powinnam to mówić? Przede wszystkim o synu kowala Brandauera i o synu barona von Falkenau, a następnie o hrabim Hohenegg i wielu innych wysoko urodzonych damach i panach.

— I wszystkie te osoby znała pani osobiście?

— Nie, nie znałam ich. Mój mąż się tym wszystkim zajmował.

— Czy został jakoś wynagrodzony za te swoje starania?

Kobieta uśmiechnęła się.

— Jesteśmy bardzo zadowoleni. Widocznie Lilga jeszcze w czasach swej młodości posiadała dużo pieniędzy.

Maks pożegnał się i wrócił do zakładu. Gdzieś po pół godzinie przybył tam stangret w wynajętym powozie i po chwili mknął do stolicy wioząc w środku uwolnioną Lilgę i Maksa Brandauera.

ZWOLENNICY OŚWIECENIA

Był wieczór. Stary hrabia von Hohenegg siedział przy swoim biurku. Nie opodał, na aksamitnym krześle zajmował miejsce jego syn. Rozmowa, jaką prowadzili była ożywiona, aczkolwiek utrzymana w niezbyt przyjacielskim tonie.

— No i jak tam się mają twoje sprawy z księżniczką Astą? — spytał ojciec.

Syn wzruszył ramionami.

— Wiesz przecież papo, że mam tej sprawy nie traktować jak jakiegoś przelotnego romansu. Realizacja tak ważnego planu wymaga czasu, nie można bowiem ingerować przedwcześnie widząc, że wszystko rozwija się pomyślnie.

— No tak! Innymi słowy to znaczy, że mimo mego rozkazu, nie posunąłeś się w tej sprawie, ani kroku naprzód?

— Prawdę mówiąc niezbyt daleko, kochany papo. Wygląda na to, że nasza dama nie ma zamiaru poświęcić swych poglądów politycznych i swych tradycji na rzecz jakiegokolwiek domu panującego. Dajmy zatem jej sercu czas, aby nic nie podejrzewając, samo wyszło naprzeciw naszym planom.

— Czas? I to mówi oficer, który powinien być zawsze gotów do dokonania każdego rodzaju podboju?

— Zapominasz papo, że istnieją twierdze, które mogą być zdobyte tylko po długotrwałym oblężeniu.

— Nie wydaje mi się, aby to porównanie mogło się odnosić do księżniczki Asty von Süderland, pomijając już zupełnie fakt, iż nie mamy czasu na prowadzenie takich ciągnących się bez końca podchodów. Jesteś w tym : wypadku zbyt delikatny, a to, biorąc pod uwagę podobne sprawy, zupełnie nie leży w twym zwyczaju. „Szalony hrabia” jak to cię nazywają w kręgach oficerskich, jest wszakże ulepiony zupełnie z innej gliny. Do licha z tymi twoimi skrupułami! Jego wysokość zaczyna się starzeć, reszty chyba nie potrzebuję ci bliżej tłumaczyć. Wiesz przecież, że na powodzeniu łych planów opieram wszystkie nadzieje dotyczące przyszłości naszej rodziny. Powtarzałem ci to już wielokrotnie, że nie mogę ci wiele pozostawić po sobie. Jesteśmy biedni, z majątku Hoheneggów pozostała ledwie niewielka jego część; a stało się tak w skutek olbrzymich strat jakie przyniosły mi moje morskie inwestycje.

— Ja również ci powtarzałem, że to niegodne arystokraty kazać pieniądzom pływać po wodzie. Arystokrata i kupiec chodzą bowiem różnymi drogami. Lepiej byś zrobił lokując nasz majątek w gruntach. A wtedy Czarny Kapitan, niech go diabli porwą, nie mógłby nam w żaden

sposób zaszkodzić. Dlaczegoś wtedy nie wysłał tego Cygana na tamten świat, gdy siedział uwięziony w naszym lochu?!

— Łatwo ci teraz mówić, po tym jak spotkało nas nieszczęście. A dla kogo to zerwałem z tradycjami naszego stanu, jeśli nie dla ciebie, chcąc ozłocić w przyszłości twą głowę książęcą koroną? Ty za to przywodzisz mi na myśl wspomnienie o naszym śmiertelnym wrogu. Czy wiesz, że w Süderlandii znajduje się obecnie kolejny wróg Norlandii, to znaczy norlandzkiej polityki? I to nie kto inny jak Nurwan Pasza.

Młody Hohenegg zdziwił się niepomiernie.

— Nurwan Pasza w Süderlandii? Czego on tam chce?

— Sam sobie zadaję to pytanie. Musimy wszakże być ostrożni. Nurwan Pasza w Süderlandii i to właśnie teraz, to daje do myślenia. Stosunki panujące tutaj w Norlandii są tak napięte, że musi rychło dojść do jakiegoś przesilenia, wszelako nie jest jeszcze pewne jak się to wszystko skończy. Wprawdzie moje intrygi uknute zostały z wielką starannością, ale w takich sprawach nigdy nie można być pewnym do końca. Dlatego pomyślałem sobie, że dobrze byłoby wiedzieć, jakie to zamiary łączy ze swoim pobylem w Süderlandii Nurwan Pasza. Chcesz się podjąć tego zadania i przesyłać mi zdobyte na ten temat wiadomości?

— Lecz wtedy musiałbym... wtedy musiałbym ..

— Udać się w podróż do Süderlandii? Oczywiście!

— No, a co z księżniczką Astą?

— Rozważyłem już tę sprawę. W końcu nie wymaga ona już takiego pośpiechu. Zaczekajmy co przyniesie nam przyszłość! Jeśli powiedzie się nasz plan to i księżniczka będzie mniej niedostępna dla przyszłego księcia Norlandii, niż jest teraz dla hrabiego Hohenegg. Zresztą mam jeszcze jeden powód, aby cię stąd wysłać za granicę.

— Jaki to powód, papo?

— Ale nie zdradzisz się z nim? Otóż muszę się liczyć ze wszystkimi możliwościami, a więc również i z taką, że nasz świetnie przygotowany plan spali na panewce. Gdyby nam jakiś diabeł pokrzyżował w ostatniej chwili szyki, to wtedy nie może się w żadnym wypadku okazać, że i ty brałeś w tym wszystkim udział. Dlatego od samego początku dążę do tego, aby nie czynić niczego takiego, co mogłoby cię w najmniejszym chociaż stopniu skompromitować, oto dlaczego wysyłam cię stąd teraz. Jeżeli oczywiście cała sprawa skończy się fiaskiem, wtedy niczego nie będzie można ci udowodnić i nie spotka cię nic złego.

— Ale co z tobą, papo?

— Ze mną? Nie wydaje mi się, abym mógł przeżyć niepowodzenie mych planów — odparł posępnie hrabia. — Całe moje długie życie poświęciłem realizacji jednego tylko, a przy tym tak

ryzykownego celu, o którego doniosłości ty nie masz nawet pojęcia, dlatego postanowiłem, że nie mogę uczynić cię powiernikiem mej tajemnicy. Przygotowania do ostatniego, decydującego uderzenia zostały już prawie ukończone. Jeśli ono się nie powiedzie, to nie ma już więcej dla mnie miejsca na tym świecie.

Hrabia Hohenegg podniósł się i marszcząc czoło przemierzył kilka razy swój gabinet. Jego syn przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym wybuchnął beztróskim śmiechem:

— Ależ kochany papo, skąd się u ciebie wziął taki pesymistyczny nastrój? Przecież aż do tej pory wszystko układało się jak najlepiej! Dlaczego więc szczęście miałooby nas opuścić właśnie teraz?

— No tak, ale ty nie wiesz jeszcze przecież co się zdarzyło. Aż do niedawna byłem przekonany, że nikt nie zna mojej tajemnicy. Wyobraź więc sobie moje przerażenie, gdy nagle okazało się, iż i w tym względzie myliłem się całkowicie! Otóż istnieje taka osoba, która zna wszystkie moje tajemnice i to równie dobrze jak i ja sam.

— Przestraszyłeś mnie tym! Kto to jest?

— Nie pytaj! Nie mogę ci wymienić jej nazwiska.

— Ale co zamierzasz uczynić, aby tę osobę zmusić do milczenia?

— Kolejny raz powtarzam: nie pytaj mnie o nic! Naturalnie, że postaram się, aby ona przestała mówić. Ta osoba była jedyną przeszkodą, która mogłaby nam przysporzyć bardzo wiele kłopotów, ale usunąłem ją z naszej drogi. Nie wspominałbym o tym wcale, ale chciałem ci pokazać, że podjąłem nadzwyczajne środki ostrożności. Dotyczy to również i Nurwana Paszy.

— W takim razie papo myślę, że możesz być już spokojny; chcę ci bowiem wyznać, iż chętnie podejmę się zadania wyśledzenia tego człowieka. Tym bardziej, że tutaj w Fürstenbergu nic mnie nie zatrzymuje, a najmniej zaś ta mająca sopel lodu zamiast serca, księżniczka Asta. Jeśli więc nie masz nic przeciwko temu, to wyruszam jutro rano i dostarczę ci...

W tej właśnie chwili wszedł służący i podał na srebrnej tacy czyjąś wizytówkę. Hrabia rzucił na nią okiem

— Jakieś mieszczkańskie nazwisko! Nie znam tego człowieka. Czego on może chcieć o tak niezwyklej porze? To musi być istotnie coś ważnego, skoro ów nieznajomy gotów jest ponieść ryzyko tego, iż narusza mój spokój.

Syn odprawiony został przez podanie ręki, lekkie zaś skiniecie głową powiedziało służącemu, że oczekująca w przedpokoju osoba, została przyjęta. Ledwie jedne drzwi zamknęły się za młodym hrabią, a już otwarły się drugie wpuszczając syna kowala, który

ukłoniwszy się uprzejmie, zastygł w wyprostowanej postawie, oczekując aż hrabia zabierze głos.

— Czego pan sobie życzy? — spytał ten chłodno. — Oczekuję, że niestosowność pańskiego pojawienia się, zostanie usprawiedliwiona wyjątkowym charakterem sprawy, z którą pan tu przybył. Bowiem to nie pora na towarzyskie wizyty.

— Znalazłem, się tu z polecenia jego wysokości, panie hrabio!

— Aha! Nie znałem dotychczas pana jako urzędnika w służbie mojego kuzyna.

— Nie wystąpię w tej roli również tym razem. Jestem synem, raczej niewiele panu znanego z nazwiska, kowala Brandauera.

Ostre rysy hrabiego przybrały wyraz nadzwyczajnej czujności.

— Dobrze. Na pewno jest pan w posiadaniu jakiegoś dokumentu stwierdzającego pańską tożsamość. Rozumie pan zapewne, że nie mogę bez sprawdzenia, uznać każdej nieznanej mi osoby za pośrednika pomiędzy jego wysokością, a mną samym.

— Proszę, panie hrabio!

Maks wręczył hrabiemu odpowiedni dokument, ten przejrzał go pobieżnie i znowu skierował pytające spojrzenie na młodego Brandauera.

— Nie znalazłem wszakże w tym, napisanym własnoręcznie przez jego wysokość piśmie niczego, co mówiłoby o celu pańskiej wizyty.

— Mój zleceniodawca uznał bowiem, że najlepiej będzie, jeśli przedstawię cały problem ustnie.

— Niech pan przystępuje zatem do rzeczy!

— Jak wasza dostojność rozkaże. Krąży mianowicie pogłoska, że pewien pan von Wallroth został przez pewną osobę, z pewnych powodów uznany za obłąkanego. Następnie zaś, mówiąc wprost, w zbrodniczy i nieludzki sposób uwięziony w domu dla psychicznie chorych i tam zadreńczony na śmierć.

Hrabia wstał. Z bladością jego twarzy nie mogły się równać żadne nocne widma, ani zjawy.

— Rzeczywiście to wielce osobliwa pogłoska, panie Brandauer. Kto jest jej autorem i kto ją upowszechnia?

— Bardzo trudno zazwyczaj dociec, gdzie leży źródło plotki i kto ją rozsiewa. Tutaj wszakże mamy do czynienia z wyjątkiem, aczkolwiek nie jestem upoważniony, aby odpowiedzieć waszej dostojności na to pytanie.

— Będę zatem nalegał na pana, po to aby jednak wiedzieć. Ta pogłoska dotyka mnie i to w najwyższym stopniu...

— Hm! — na wpół szyderczo zabrzmiał ów przerywający słowa hrabiego, wyraz zdziwienia.

— Na co pan sobie pozwala! Powiadam tylko, że ta pogłoska dotyka mnie w najwyższym stopniu, gdyż administracja Państwowym Zakładem dla Obląkanych podlega memu zwierzchnictwu. Powtarzam zatem, jeśli zajdzie potrzeba zmuszę pana, aby ujawnił pan źródło pochodzenia tej bajeczki, o której rozprawia pan tak szczegółowo.

— Wydanie tego rodzaju poleceń, nie leży w kompetencjach waszej dostojności, natomiast jego wysokość...

— ...może wprawdzie darować karę czy ułaskawić, ale nie posiada uprawnień do tego, aby ingerować w tok prowadzonego postępowania wyjaśniającego czy śledztwa. Kto zatem przeszkodzi mi w tym abym kazał pana zatrzymać?

— Ja, „nieznany syn kowala”, wasza dostojność!

— Aha! Okoliczność, że mój kuzyn posiada taką osobliwą skłonność, by bawić się czasem w kowala w kuźni pańskiego ojca, nie stanowi dla mnie żadnej podstawy, aby być pobłażliwym wobec pana. Rozkazuję zatem panu, ujawnić mi osobę autora i szerzyciela tej plotki.

— Nie widzę żadnego uzasadnionego powodu, dla którego miałbym spełnić ten rozkaz. Zresztą ta pogłoska nie opiera się na żadnym wymyśle, tylko prawdzie.

— Jestem bardzo ciekaw dowodu na to.

— Akta przyjęcia kapitana do zakładu są już w rękach jego książęcej mości. Te akta, dziwnym trafem składają się z krótkiego rozkazu; co do złożonego zaś pod nim podpisu, to chyba bliżej nie trzeba się nad nim rozwodzić.

— Kto wydał to pismo?!

— Oczywiście, że dyrektor zakładu. Zresztą został zmuszony wydać i inny dokument dostarczony mu przez posłańca i nakazujący zgotować matce kapitana ten sam los, co synowi. Jego zaś jak wiadomo wpędzono najpierw w otchłań szaleństwa, a potem zgotowano mu śmierć.

Wiele wysiłku kosztowało hrabiego to, aby dojść do siebie. Oparł się rękami o biurko, po czym spytał ochrypłym głosem:

— Matka kapitana? To on miał matkę?

— Zapewne... i... naturalnie, chyba również ojca!

— Jak ona się nazywa?

— To Cyganka nosząca imię Lilga, a ojciec, który zresztą też jeszcze żyje jest...

— Stop, zajmijmy się najpierw matką!

— Wedle życzenia waszej dostojności. Więc udało mi się ową „pogłoskę” rozszyfrować i...

— Nie pojmuję jak pan mógł dać wiarę takim bredniom.

— ...i o wszystkim powiadomiłem księcia, który polecił mi przeprowadzenie wizytacji zakładu. Znalazłem tam straszliwe potwierdzenie mych przypuszczeń; uwolniłem natychmiast matkę kapitana, a następnie złożyłem memu wysoce postawionemu zleceniodawcy, sprawozdanie z tego co tam zobaczyłem. Jego efektem jest wszczęte przeciwko dyrektorowi zakładu i naczelnemu lekarzowi śledztwo; obaj są już uwięzieni i sprawiedliwość ich nie minie.

Twarz hrabiego stała się jeszcze bielsza niż przedtem, za to jego oczy zabłysły, gdy zapytał:

— I to wszystko zostało dokonane bez mojego zezwolenia?

— Nigdy jeszcze nie słyszałem, aby jakiś samowładca, chcąc coś uczynić potrzebował na to zgody swego poddanego, nawet gdyby ten był premierem. Zresztą nie było nawet czasu, aby waszą dostojność o tym informować. Niestety wygląda na to, że jakaś wysoko postawiona osoba, może zostać bardzo poważnie obciążona w trakcie toczącego się śledztwa. Wszelako łaskawym zamiarem naszego pana jest uniknięcie tego, stąd życzenie jego wysokości, aby powyższa wzmianka dotarła do uszu winnej zainteresowania się nią osobistości. Poza księciem, uwolnioną z zakładu kobietą i mną, nikt dotąd nie został w tę sprawę wtajemniczony. Uznaję to za wyraz łaski ze strony naszej zwierzchności, iż nie komu innemu a właśnie mnie zlecono przekazanie owej wzmianki.

— Ale o cóż tu może chodzić?

Doktor wzruszył ramionami.

— O nic innego, prócz tego o czym była już mowa. Wydaje mi się możliwym żeby ta biedna kobieta mogła zrezygnować z wniesienia skargi. Oczywiście w takim wypadku musiałoby jej zostać wypłacone odszkodowanie za poniesione przez nią krzywdy i cierpienia.

— W czyich rękach znajdują się zabrane z zakładu owe pisemne rozkazy?

— Ma je książę.

— Potrzebował pan przecież dokumentu wydanego przez ministra spraw wewnętrznych!

— Rzeczywiście, ale ta osoba nie została poinformowana o celu mej wizytacji.

Hrabia podszedł do okna, wyjrzał przez nie i przez kilka minut spoglądał gdzieś w głęboką noc. Wreszcie odwrócił się i powiedział:

— Czy pan zajmuje jakąś urzędową posadę, panie doktorze?

— Nie.

— Ale czy człowiek o pańskiej wiedzy nie powinien i to koniecznie, poszukać dla siebie czegoś co mógłby z pożytkiem robić? Byłbym gotów otworzyć panu do tego drogę, gdyby tylko zamierzał pan wybrać sobie jakiś rodzaj państwowej służby.

Maks skłonił się.

— Dziękuję waszej dostojności! Jak na razie nie mam takiego zamiaru; zechce pan wszakże przyjąć do wiadomości, że oferowano mi już służbę u boku jego wysokości, a więc mego pana i ojca chrzestnego. Czy mam rozumieć, że nasza rozmowa dobiegła końca?

— Może pan odejść!

Drzwi zamknęły się za doktorem, a hrabia pozostał teraz sam, pogrążony w głębokim zamyśleniu. To co usłyszał w ostatnich minutach nappełniło go niepokojem. Ten Brandauer okazał się rzeczywiście bardzo niebezpiecznym człowiekiem! Skąd mógł wiedzieć, że trafi tutaj na zagadkę, która co bardzo możliwe, już wkrótce będzie musiała zostać rozwiązana. On sam jako premier nie mógłby uwięzić doktora; bowiem swego ulubieńca księżę zawsze będzie brał w obronę. Zatem Cyganka? Miałby się z nią polubownie układać? Przenigdy! Ale czy po tym wszystkim co się wydarzyło, mógł jeszcze występować przeciwko niej? Czy aby nie została mu wytracona przez tego przekłętego Brandauera, broń z ręki? Przez całe swe życie prowadził ryzykowną grę przeciw swemu jaśnie oświeconemu krewnemu i teraz, gdy gotował się do dokonania ostatnich, rozstrzygających posunięć, sam dostał szacha. Jeśli więc nie chce, aby owoce pracy, której poświęcił życie, poszły na marne, musi zacząć szybko działać.

Podniecony chodził po gabinecie tam i z powrotem. Trwało to przez pewien czas, aż w końcu podjął chyba jakieś ważne postanowienie, gdyż złapał za sznur dzwonka i gdy tylko służący się pojawił rozkazał:

— Pospieszysz natychmiast, ale po cywilnemu, do oberży tej Seidenmüller i powiesz panu Ambrozemu, aby jak najszybciej pojawił się u mnie. Następnie udasz się do zamku i tam odszukasz, lecz tak żeby cię nie widziano, kamerdynera Grunerta. Przyprowadzisz go do mojego ogrodu, gdzie ma czekać na mnie, na tarasie!

— Wedle rozkazu, łaskawy panie!

Sługa oddalił się; w swoim mieszkaniu narzucił na siebie jakiś płaszcz, na głowę założył cywilną czapkę, po czym opuścił pałac. Nad rzeką uwolnił z łańcucha znajdujące się tam czółno, wsiadł doń i powiosłował co sił, ku przeciwnemu brzegowi.

Dotarł tam chwilę po tym, jak Maks wysiadł ze swojej gondoli. Młody Brandauer nie miał żadnego powodu, aby się spieszyć, dlatego też został doścignięty przez posłańca hrabiego, który minął go szybkim krokiem.

— Służący hrabiego, ten sam, który mnie wpuszczał? — mruknął do siebie zdumiony Maks.
— A co za pośpiech! Na pewno został wysłany przez swego chlebodawcę z jakimś zleceniem, które wiąże się z moją wizytą. Muszę koniecznie pójść za nim.

Zachowując bezpieczną odległość ruszył w ślad za posłańcem i tak doszli, aż do gospody zacnej wdowy i handlarki ziemniakami Barbary Seidenmüller. Stojąc koło bramy znajdującej

się po drugiej stronie drogi, za to naprzeciw oberży, Maks zauważył, że w dwóch oknach na pierwszym piętrze zapaliło się światło. Wyraźnie mógł dostrzec, przez uchylone firanki, cień jakiegoś małego człowieka, rozmawiającego z kimś drugim, kim ponad wszelką wątpliwość był służący hrabiego. Szybko przeszedł na drugą stronę i wszedł do izby, w której znajdował się szynkwias. Pierwszym gościem, którego tam zobaczył, był Kazimierz, eks–grenadier. Ten także spostrzegł wchodzącego; podniósł się więc z szacunkiem ze swego krzesła. Doktor podszedł do niego.

— Kazimierzu, czy chciałbyś mi wyświadczyć pewną przysługę?

Zapytany skinął potakująco głową.

— Tak, właściwie tak.

— Wiem, że zachodzisz tu często i dlatego pomyślałem sobie, że zapewne znasz obcych, którzy się tutaj zatrzymują, a przynajmniej masz okazję ich widzieć.

Nastąpiło drugie kiwnięcie głową.

— Tak, właściwie tak.

— Zdaje się, że mieszka tu teraz ktoś bardzo niewielkiej postury. Wynajmowany przez owego nieznanego pokój znajduje się na pierwszym piętrze, od frontu.

— No tak, właściwie tak. Jest tu już cztery tygodnie.

— Znasz go?

Tym razem za odpowiedź posłużyło energiczne kiwnięcie głową.

— Stań więc naprzeciw gospody, gdzieś w cieniu, tak żeby nikt cię nie zobaczył. Przypuszczam, że ta osoba wkrótce opuści oberżę. Jak tylko to nastąpi, zawiadom mnie o tym niezwłocznie. A ja teraz mam jeszcze do pomówienia z właścicielką.

Kazimierz dopił swoje piwo i wyszedł na zewnątrz. Akurat teraz nowego gościa zauważyła oberżystka i ruszyła natychmiast w jego stronę. Była to korpulentna, młoda jeszcze kobieta, której rumiane oblicze promieniało radością, gdy podawała Maksowi rękę.

— Po tysiakkroć witam, panie doktorze! Nie widziałam pana już chyba od roku. Gdzie to pan doktor bywał?

— No, we Włoszech, Francji, Anglii, Holandii i tak dalej.

— Jezu miłosierny, a toż ci to musiało być okropne! Ja to chwałę sobie najbardziej mojego „Błękitnego orła”; nie ruszałam się stąd jak długo żyję. Nie ma to jak u siebie w domu! Może przyniosłabym flaszczykę czegoś dobrego?

— O, tak bardzo chętnie golnąłbym sobie jednego głębszego, a potem chciałbym zająć pani chwilę czasu. Trzeba mi zasięgnąć pewnych informacji, tylko gdyby to było możliwe, to w cztery oczy.

— Powiada pan w cztery oczy? Chodźmy zatem do pokoju na zaplecze; tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

— Muszę tu zaczekać u pani, gdyż w każdej chwili spodziewam się kogoś. Tymczasem niech mi pani przyniesienie wina, tutaj na ten stolik przy drzwiach!

Oberżystka odeszła pośpiesznie, aby spełnić polecenie i rozkazać kelnerowi, aby pod jej nieobecność zajął się resztą gości.

— Ma pani u siebie od czterech tygodni obcego gościa — rozpoczął Maks, gdy karczmarka usiadła wreszcie koło niego, — którego nazwisko i tryb życia jakie prowadzi, bardzo chętnie bym poznał, oczywiście wolałbym aby on się nie dowiedział o tym, iż się o niego wypytuję.

— Kogo ma pan na myśli?

— Wiem o tym człowieku tylko tyle, że odznacza się niewielkim wzrostem i mieszka od frontu.

— Zapewne chodzi panu o osobę, która zajmuje pokoje od jeden do cztery.

— Co? Zajmuje cztery pokoje? Musi być bardzo bogaty.

— Rzeczywiście, jest rentierem. Płaci doskonale i nazywa się Ambroży Natter. U siebie wszakże przebywa bardzo rzadko i często nie ma go całymi dniami.

— No a z kim się spotyka?

— Tego nie potrafię powiedzieć. Przyjmuje często wizyty osób, których niestety nie znam.

— Czy potrafiłaby pani określić ich pochodzenie?

— Należą raczej do wyższych sfer. Kilku spośród nich choć było w cywilnych ubraniach, miało w sobie coś z wojskowych. Dwa, albo trzy razy zjawił się tu też jeden ze służących hrabiego Hohenegg. Był przebrany w cywilne ubrania, ale go poznałam.

— Mówi pani, że ten Natter często wychodzi?

— Tak, przeważnie jednak wieczorami.

— A kiedy wraca?

— Bardzo późno. Wiem o tym, gdyż musiałam mu oddać do dyspozycji jeden z kluczy od drzwi wejściowych. Czasami...

Oberżystka przerwała, gdyż właśnie otworzyły się drzwi i wysoka postać Kazimierza wsunęła się do środka.

— Wyszedł? — spytał Maks.

— Tak, właśnie tak.

— Dokąd, drogą w prawo?

— Nie właściwie to nie, bowiem w lewo.

— W porządku, wypij sobie zamówione przeze mnie wino, Kazimierzu! Dobrej nocy!

— To zacny człowiek, czyż nie tak, Kazimierzu? — spytała oberżystka, gdy Maks już wyszedł.

Były grenadier mógł tylko na to skinąć głową, gdyż zdążył już przyłożyć sobie szklankę z winem do ust, by następnie, jednym haustem opróżnić ją aż do dna.

— Zdaje się, że musiałeś czatować na zewnątrz?

Pytany skinął głową i nalał sobie drugą szklaneczkę.

— Na tego małego rentiera?

Trzymana przy ustach szklaneczka pozwoliła małomównemu czeladnikowi tylko na powtórne kiwnięcie głową, zaraz potem wlał sobie w usta ten tak rzadko używany przezeń trunek.

— Co on może też od niego chcieć?

Znowu nalewając sobie wina, Kazimierz wzruszył tylko ramionami. Ta mała, schludna oberżystka ukradła mu serce, no ale to, że teraz mu przeszkadzała w tak rozkosznej chwili, nie bardzo mu się podobało.

— Ty chyba tego nie wiesz, co Kazimierzu?

Potrząsnął głową i przyłożył szklaneczkę po raz trzeci do ust.

— Smakuje ci wino?

Wypił i kiwnął przy tym ponownie głową z miną taką, jakby skończył właśnie sączyć nektar greckich bogów.

— Myślę, że tak, przecież to mój najlepszy gatunek. Zaraz doktor zostawił mi tu za dużo pieniędzy. Co by tu zrobić? Dam je tobie, albo... zatrzymam nadwyżkę, dopóki nie przyjdzie tu znowu.

Kazimierz nalał sobie resztę wina i już miał przechylić szklaneczkę gdy odstawił ją z powrotem.

— Do pioruna, przecież to właściwie zupełnie nie tak!

— Czyżby to były twoje pieniądze?

Pijąc skinął głową, następnie postawił szklaneczkę na stole, zgarnął zwrócone mu pieniądze i nałożył czapkę.

— Dobranoc, Barbarko!

— Dobranoc, Kazimierzu!

Dumnym krokiem ruszył z powrotem. Nie każdy przecież kto kierował swe nogi w stronę domu, wypił flaszeczkę najlepszego gatunku wina pani Barbary Siedenmüller.

* * *

Kiedy doktor wyszedł z „Błękitnego orła”, zdążył jeszcze dostrzec w świetle latarni, oddalającą się postać rentiera. Już po chwili zbliżył się do niego na tyle, aby nie stracić go z oczu.

Mały człowiek podążał szybkim krokiem w stronę rzeki. Trzymał się blisko ciągnących się tam domów, tak aby trudno było go zauważyć. Maksowi wszakże nie sprawiało to kłopotów.

— Idzie do pałacu do Hohenegga — pomyślał. — Ciekawe co tych dwóch ze sobą łączy. Widocznie jest jakaś sprawa, z którą ten człowiek udaje się do hrabiego, sprawa łącząca się zapewne z moją dzisiejszą wizytą. Muszę się dowiedzieć co ci dwaj zamierzają.

Natter przeprowił się na przeciwległy brzeg łódką hrabiego. Maks, który i tym razem posłużył się swoją gondolą dotarł na drugą stronę, krótko po rentierze. Następnie przedostał się na tył pałacu, tam upewnił się, że nie jest obserwowany i wszedł do ogrodu. Zakradł się ku prowadzącym na taras schodom, wskoczył przez okno, po czym ruszył tajemnym przejściem. Ostrożność sprawiła, że nie poruszał się zbyt szybko. Do biblioteki udało mu się dostać bez najmniejszego hałasu. Tu posłyszał dochodzące z gabinetu głosy. Zbliżył się do kotary i spojrzał przez nią ostrożnie.

Na sofie siedział człowiek, który nosił ubranie, skrojone wedle najnowszej paryskiej mody. Jego blada, nie posiadająca zarostu twarz miała wyraz uprzejmie skrywanej niecierpliwości, zaś przed spojrzeniem jego pewnych siebie i przenikliwych oczu niczego chyba nie dało się ukryć. Naprzeciw niego stał hrabia. Maks, który w ciemnym przejściu nie dość bardzo się spieszył, spóźnił się na pierwszą część rozmowy. Ale to co dopiero miał usłyszeć, było tego rodzaju, że natychmiast przykuło całą jego uwagę.

— No i jak tam pańskie starania względem korpusu oficerskiego? — spytał hrabia swego gościa.

— Wszystko układa się znakomicie! — odparł tamten. — Lista, którą mi pan wręczył, hrabio wybornie mi się przydała. Znajdujący się na niej ludzie jak jeden wywodzą się z mieszczaństwa i jeżeli nie trafia im się jakiś kuzyn w ministerstwie wojny to grzęzną w tym swoim środowisku już na zawsze. Jeśli więc zaoferuje im pan sposobność awansu, to niech mnie diabli porwą, jeżeli nie staną się pańskimi dozgonnymi dłużnikami. Oczywiście jednego, czy drugiego nie można być do końca pewnym, ale daje się takiemu wtedy urlop, a to najlepsza rzecz, aby pozbyć się go na pewien czas.

— Sądzi pan zatem, że ci ludzie są pewni?

— Jak najbardziej

— Ale czy wojsko stanie po ich stronie, jeżeli wystąpią przeciw dotychczasowej władzy?

— Wojsko? Nikt nie będzie się go o nic pytał. Wojsko ma jedynie słuchać rozkazów!

— No, w obecnych, normalnych warunkach, zgoda. Ale czy będzie posłuszne, gdy wszystko stać będzie na głowie, to jest pytanie, na które nie może być prostej odpowiedzi

— Ależ nie, o to się nie martwię. Najważniejszym problemem pozostaje tylko to, czy będziemy potrafili we właściwym momencie obsadzić naszymi ludźmi kluczowe stanowiska, dyskretnie wcześniej usuwając z nich tych, którzy je dotąd zajmowali. Ale to już należy do pana. Resztę może pan bez obaw pozostawić nam. Zwolennicy oświecenia potrafią pociągać za odpowiednie sznurki.

Zwolennik oświecenia! Maks był zdumiony w najwyższym stopniu. Słyszał wiele o tym politycznym stowarzyszeniu, które uzurpowało sobie wyłączne prawo do głoszenia światła prawdy, mimo, iż tak bardzo w tym wszystkim przypominało rosyjskich nihilistów. Miało swych tajnych wysłanników w Paryżu, Brukseli, Londynie i Waszyngtonie. Jeden z nich stał się już sławny; był to nijaki Mericourt, z pochodzenia Francuz. Zjawiał się wszędzie tam gdzie szykowało się jakiś przewrót czy zamach stanu i było wiadomo, że jeśli doszło do czegoś takiego, to on zawsze maczał w tym palce. Z Londynu, gdzie za jego pochwycenie wyznaczono nagrodę, udało ma się z najwyższym trudem zbiec.

Maks wiedział, że chociaż w Norlandii działalność zwolenników oświecenia była surowo zakazana, to jednak hrabia robił na przekór będącemu księciem kuzynowi i brał ich pod opiekę. Jednak nie przypuszczał, że hrabia posunie się aż do tego, żeby posłużyć się nimi przy zamachu stanu. Dlatego bacznie nadstawiał teraz uszu, żeby nie uronić ani słowa z tej niezwykle intrygującej rozmowy.

— A jakie jest pańskie zdanie odnośnie reszty ludności? — indagował w dalszym ciągu swego gościa hrabia.

— Robotnicy zostali w zasadzie pozyskani. Handel i przemysł chylą się upadkowi, a robotnik wraz ze swą rodziną głoduje. W najmniejszych miejscowościach odbywają się już zebrania, na których wygłaszane są płomienne mowy nawołujące do krucjaty przeciwko szlachcie i klasom posiadającym. Już słyszę ten miarowy, dudniący krok robotniczych oddziałów, który miazdzy wszelki opór. Towarzystwa gimnastyczne, gwardie obywatelskie, one potrzebują tylko broni, aby móc ruszyć na stolicę. Jeśli zaś chodzi o chłopów, to sprawy nie zasłyły jeszcze tak daleko. Trzeba będzie sporo popracować nad ich obróbką.

Hrabia nie odezwał się teraz, chodził tylko zamyślony po gabinecie tam i z powrotem, w pewnej chwili zatrzymał się i stanął przed rentierem.

— A kiedy pan będzie na tyle gotów, żeby można było uderzyć?

Mały spojrział na pytającego ostrym, badawczym wzrokiem.

— Dlaczego to pytanie kieruje pan akurat do mnie, panie hrabio?

Hrabia zawahał się przez moment, po czym odrzekł:

— Ponieważ wydarzyła się rzecz, która zmusza nas do szybkiej realizacji naszego planu. Sprawa dotyczy domu dla obłąkanych.

Zniecierpliwiony zwolennik oświecenia uniósł do góry brwi.

— A cóż to znowu; czyżby znalazł się jakiś nowy kandydat do kierowania zakładem i to do tego stopnia niezależny, że wywołało to pańskie niezadowolenie?

— Skądże! Raczej przeciwnie: to nie dający się ujarzmić wariat, ma zamiar zerwać swe kajdany, po to, aby nas w nie zakuć.

— Co takiego?!

— Chodzi o to, że na osobiste polecenie księcia ma zostać przeprowadzone śledztwo przeciwko dyrektorowi i naczelnemu lekarzowi zakładu, ponieważ...

— Temu musi pan bezwzględnie zapobiec! To ukazałoby faktyczny stan rzeczy, odsłaniając i niweczając nasze tajne zamiary.

— Niestety nie leży obecnie w mojej mocy, doprowadzić do umorzenia tej sprawy. Dyrektor wraz z naczelnym lekarzem przebywają już w areszcie.

Ambroży Natter skoczył w górę jak wystrzelony z procy.

— Do diabła! Ten nieoczekiwany incydent może wszystko zniszczyć. W trakcie przesłuchania obaj zdradzą tajemnicę i...

— Tego, to się właściwie nie obawiam — przerwał mu hrabia. — Powód, dla którego zostali oni zamknięci, nie ma z naszymi planami nic wspólnego, ponieważ to sprawa, która dotyczy osobiście mnie. Tym co jest naprawdę niebezpieczne i może nas zdradzić to fakt, że kapitan von Wallroth nie żyje. Obaj pojmujemy, iż w naszym interesie leży, aby o tym wszystkim co łączy tę śmierć z przygotowywanymi przez nas planami nie pisnąć ani słowa.

Mały rentier odetchnął z ulgą i spoczął na zajmowanym przez: wcześniej miejscu.

— Jeśli tak to wygląda, to nie widzę żadnego powodu do szczególnego niepokoju.

— Pan mnie źle zrozumiał, panie Mericourt. Powiedziałem już panu, że chodzi tu o sprawę prywatną. Osoba, której zwolnienie z zakładu zostało wymuszone, jest w posiadaniu pewnej tajemnicy, przez co mój los znajdzie się całkowicie w jej rękach. I niestety nie mam żadnych podstaw by sądzić, że przez delikatność nie zechce ona zrobić z niej użytku.

Zdumienie Maksa było tak ogromne, że byłby się w tym momencie przez nieostrożny ruch zdemaskował. Okazało się więc, że ten noszący czarny strój, niewielki mężczyzna to nikt inny

tylko właśnie ów, cieszący się złą sławą emisariusz zwolenników oświecenia, Mericourt. Teraz doktor już wiedział, nie mając co do tego najmniejszej wątpliwości, że wkrótce będą miały miejsce wydarzenia o niezwyklej doniosłości. Zaskoczyła go także uwaga, że Cyganka Lilga ma wielką władzę nad wyniosłym hrabią. Chętnie dowiedziałby się jaką, lecz chociaż hrabia i zwolennik oświecenia wydawali się być na bardzo poufalej stopie, to przecież jak to wynikało z całej rozmowy, Hohenegg bronił przed swym gościem owej tajemnicy.

— Czy można wiedzieć, kto jest tą osobą, która wzbudza w panu tyle niepokoju, panie hrabio? — spytał Natter — Mericourt.

— To jest... to jest wprawdzie tylko pewna Cyganka, ale...

— Co? Cyganka? I to kogoś takiego obawia się pan, wysoko urodzony hrabia Hohenegg?

— Proszę mi pozwolić skończyć! Chciałem powiedzieć, że to nie żadna tam zwyczajna włóczęga, tylko *vajdzina* całego cygańskiego plemienia

— Tam do licha! Cóż może znaczyć u tych ludzi tytuł *vajdziny*! Hołota pozostanie hołotą! Nie pojmuję pana zupełnie, panie hrabio.

— W to wierzę. Nie wie pan przecież... zresztą nie potrzebuje pan wiedzieć co z tą osobą mnie łączy. Zrobiłem wszystko co można, ale jeśli ta sprawa, o której wie ta kobieta wyjdzie na światło dzienne, to mogę utracić nie tylko posiadłość, ale nawet i wolność.

— Zatem niech usunie pan tę osobę ze swej drogi — uczynił przy tym tak wymowny ruch ręką, że od razu było wiadomo jak rozumie on to usunięcie z drogi.

— W tym przypadku to niestety nie takie proste jak się panu zdaje.

— A to dlaczego?

— Gdyż od razu mnie by zaczęto podejrzewać i dlatego obecnie muszę wszystko robić po kryjomu.

— Panie hrabio, pan mnie zdumiewa. Kto, do stu diabłów, miałby śmiałość podejrzewać pana, gdyby dajmy na to, ta osoba zmarła.

— Pan pyta kto? Sam książę! To właśnie na jego rozkaz ta kobieta została uwolniona. Podejrzenie musiałoby natychmiast paść na mnie, gdyż wie on doskonale, że Cyganka wcale nie jest chora umysłowo, i że w domu wariatów została zamknięta wyłącznie na moje polecenie.

Zwolennik oświecenia gwizdnął lekko przez zęby.

— Ach, to tak się sprawy mają. To oczywiście, że ten sposób odpada. Ale czy nie da się tego załatwić jakoś inaczej? Czy ta budząca pański strach osoba posiada jakieś przemawiające na jej korzyść dowody; mam tu na myśli bądź pisane przez pana, bądź jeszcze inne dokumenty czy papiery?

— Tego nie jestem pewien, chociaż sędzę, że nie.

— No to w takim razie nic jeszcze straconego. Musiałaby to być iście diabelska sprawka, gdyby ta historia, która co muszę przyznać, wygląda niebezpiecznie, nie znalazła szczęśliwego dla pana zakończenia. Niech się pan uzbroi w cierpliwość! Poświęcę swą uwagę tej Cygance. Jeśli ma w zanadru jakąś tajemnicę albo niebezpieczne dla pana dowody, to ja nadaję się do tego najlepiej, aby ją unieszkodliwić. Niech więc pan przekaże całą tę sprawę w moje ręce! Gdzie mogę ją znaleźć?

— U doktora Brandauera, syna dworskiego kowala.

— W porządku. Uczynię co będę mógł, a wie pan przecież, że w takich sprawach jestem niezastąpiony. Jeśli jednak okaże się, że ta osoba nie posiada żadnych dowodów, to może się pan na przyszłość niczego nie obawiać.

— Żeby to mogła być prawda! Wszakże ona jest pod opieką księcia, a ten Brandauer wygląda mi na człowieka, który nie cofa się przed niczym.

— Niech pan się o nic nie martwi! Od teraz inicjatywa jest w naszych rękach i nie pozwolimy sobie jej odebrać. Jestem pewny swej sprawy i życzyłbym sobie tylko, żeby móc to samo powiedzieć o obiecany nagrodzeniu.

— Zamierza mnie pan obrazić? Jak sędzę nie dałem panu dotąd; żadnego powodu do podejrzliwości. Niech mi pan tylko pomoże zostać księciem, a wtedy pan zobaczy, że potrafię się odplacić i to po królewsku.

— Oczekuję tego — powiedział Natter nieco żalonym tonem. Moja rodzina potrzebuje poprawy swej sytuacji majątkowej. A od mego brata...

— Tak, wiem — wszedł mu w słowo hrabia. — Pański brat najął się do służby w Kompanii Wschodnioindyjskiej i od wielu już lat nie daje żadnego znaku życia. Czy pańskie poszukiwania nadal są nieskuteczne?

— Całkowicie! Ostatni ślad prowadził do księstwa Augii, gdzie uczestniczył on w walkach Anglików z maharadzą. Później już niczego więcej nie zdołałem się dowiedzieć. Musiał zapewne polec w dniu, w którym wzięta została stolica tego państwa. Teraz mało tego, że wszystko spoczywa na mojej głowie, to jeszcze postanowiłem ponownie przywrócić dawną świetność domowi Mericurt. Stąd moja obecność wśród zwolenników oświecenia.

— Postaram się pomóc panu na ile tylko będę mógł.

— Chcę panu wierzyć panie hrabio. Ale co się stanie, jeśli nasz plan zawiedzie? Wprawdzie nie dopuszczam do siebie tej myśli, ale dobry przywódca musi brać pod uwagę wszystkie możliwości.

— Na tę okoliczność zatroszczę się o pana. Posiadam w Süderlandii niedaleko granicy zamek, który dopiero co kazałem doprowadzić do porządnego stanu. Tam na zamku Himmelstein mógłby pan, w wypadku niepowodzenia naszych planów, znaleźć bezpieczne schronienie, dopóki cała sprawa by nie ucichła.

— Dziękuję, panie hrabio. Wolałbym jednak mieć pewność, że do czegoś takiego nie dojdzie. Wszakże, aż do teraz wszystko układało się pomyślnie. Cała intryga została uknuta misternie, a przygotowania zaszły tak daleko, że mogę panu już dzisiaj służyć określoną datą.

— Naprawdę? — hrabia wypowiedział tylko to jedno słowo, a mimo to Maks usłyszał jak w jego głosie opadło napięcie.

— Muszę tylko poczekać do Dnia Siedmiu Braci, a potem jeśli o mnie chodzi, to można w każdej chwili zaczynać.

— Dnia Siedmiu Braci? A kiedy to jest?

— Dziesiątego lipca, a więc dokładnie od dziś za cztery tygodnie.

— Tak prędko? — spytał hrabia, radosnym tonem. — To właśnie chciałem od pana usłyszeć i dlatego kazałem go wezwać.

Gość podniósł się z sofy.

— A więc dzisiejszą rozmowę można uznać za zakończoną?

— Oczywiście, panie Mericourt. Jestem teraz o wiele spokojniejszy, każdym razie niech pan ma na oku tę Cygankę!

— Tylko spokojnie panie hrabio, może pan na mnie polegać.

— Wiem o tym i w odpowiednim czasie okażę swoją wdzięczność. Zwolennicy oświecenia są mi wielce pomocni w realizacji mego planu. Gdy tylko zdobędę władzę, Norlandia stanie się ich oficjalną ojczyzną.

— Dziękuję panie hrabio i jestem w każdej chwili do dyspozycji. Ledwie tylko spiskowiec opuścił gabinet, a już Maks usłyszał jak hrabia mówił półgłosem:

— No, a teraz na dół, na taras.

A to co znowu? Czyżby służący przyprowadził tam jeszcze kogoś innego? Należało to sprawdzić nie czekając ani chwili; przecież było możliwe, że hrabia wejdzie do biblioteki.

Maks wymknął się z powrotem tajemnym korytarzem i po kilku chwilach dotarł do okna. Ta strona prowadzących na taras schodów otoczona była pełną najwspanialszych roślin oranżerią, mógł więc śmiało się tam wspiąć. Znalazł sobie miejsce wśród palm i oleandrów, tak aby móc obserwować siedzącego w ciemności, nieopodal niego na jednym ze schodków, człowieka.

Wtem skrzypnęły lekko drzwi i ukazał się w nich hrabia.

— Grunert! — zawołał przytłumionym głosem.

— Tutaj, wasza dostojność!

— Niech tam siedzi, gdyby ktoś chciał nam przeszkodzić, będzie myślał, że jestem tu sam.

Czy zauważył kogoś po drodze?

— Nie.

— No to jesteśmy bezpieczni. Tu ma rulon z dukatami.

— Piękne dzięki, wasza dostojność.

— Muszę dziś w nocy koniecznie pójść do gabinetu księcia.

— Och, to niemożliwe, wasza dostojność.

— Myślę, że dla dukatów nie ma rzeczy niemożliwych, szczególnie gdybym tak jeszcze podwoił ich ilość. Czy też może chce utracić moją przychylność?

— Ależ skąd, przecież wasza dostojność to sama dobroć... no, ale te strażę...?

— To niech pozostawi już mnie! Punkt o pierwszej ma być tam otwarte!

— Wedle rozkazu!

— A czy Grunert też tam będzie?

— Tak jest, łaskawy panie!

— Niech nie zapomni ślepej latarni!

— Wedle rozkazu!

— I niech zatroszczy się, aby okna były starannie zasłonięte. Czy zna syna kowala Brandauera?

— Tak, był dzisiaj u księcia

— Wie, czy tamten przekazał jakieś papiery?

— Sądzę, że tak. W każdym razie jego wysokość zamykał coś w jednej z szuflad swego biurka; doktor wtedy już wyszedł.

— Będzie potrafił rozpoznać tę szufladę?

— Tak.

— To już wszystko! Niech stara wrócić się do siebie, tak żeby nikt nie widział!

Hrabia odszedł. Kamerdyner księcia podniósł się i zniknął w ciemnościach. Maks był zaskoczony tym co usłyszał. Książę otoczony ze wszystkich stron przez zdrajców. Jakże często musiano nadużywać jego zaufania, ileż to już razy popełniano łajdactwa podobnego typu, skoro nie miał najmniejszego pojęcia, że za jego plecami wykrada się należące doń tajemnice i plany! To nie mogło się już nigdy więcej zdarzyć. Wprawdzie hrabia nie podlega temu samemu kodeksowi karnemu co zwykły złoczyńca, ale doczeka się takiej hańby jaka go nigdy dotąd jeszcze nie spotkała.

Teraz i Maks postanowił opuścić pałac Hohenegga. Prześliznął się cicho po schodach w dół, do ogrodu, a następnie przeskoczył przez mur. Jego łódź znajdowała się w tym samym miejscu, gdzie ją pozostawił.

Dokonał tak ważnych odkryć, że siedział w swej gondoli zupełnie zaprzątnięty myślami, bardzo więc się zdziwił, gdy czółno wbiło się w przeciwległy brzeg. Musiał teraz, to oczywiste, zapobiec wtargnięciu do pałacu swego chrzestnego ojca. Dlatego najpierw udał się do siebie do domu. Jego ojciec posiadał książęcą przepustkę, zezwalającą dostać się na zamek o każdej porze dnia i nocy. Tylko dzięki niej można było sprawić, aby wiaodme dokumenty nie wpadły w ręce hrabiego, demaskując przy okazji kamerdynera.

SZACHOWA ZAGRYWKA

Przed kuźnią, w blasku nastrojowo świecących gwiazd siedzieli czeladnicy, w pobliżu zaś jak zwykle przycupnęli, zamienieni w słuch terminatorzy. W całym domu było już cicho, chociaż przedostające się gdzieś przez okiennice promienie światła zdradzały, że jego mieszkańcy nie poszli jeszcze spać.

— Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie znajduje się pokój kobiecy, stworzony specjalnie na tę okazję dzisiaj przed południem — stwierdził Henryk kiwając głową. — Choć właściwie to nie moja sprawa. Dziwi mnie jednak to, jak wielkim zaufaniem darzy młody pan tę Cyganekę.

— Kogo, Lilgę? — spytał Tomasz. — To prawda. Ale jak to możliwe, że pył z tym papskiem w tak wielkiej komitywie? Przecież to jest czarownica. Opserwuję ją dopiero od niedawna i... do diabła jak mogłem pyć takim osłem!

— Co, znasz tę Cyganekę? A skąd?

— Nie musisz się o to troszczyć; taki żółtodzióp jak ty nie potrzepuje wszystkiego wiedzieć.

— Tak, właśnie tak — potwierdził bez przekonania Kazimierz.

— Słusznie, stary grenadierze! — odparł na to Henryk. — Odkąd na kawalerzystę spadło trochę łaski młodego pana, a grenadier otrzymał od niego jako zapłatę parę szklaneczek wina, odtąd nie jest w stanie wytrzymać z wami żaden człowiek. Grenadier gryzie ziemię, kawalerzysta wymachuje szabelką, a artylerzysta — ba, ten nic sobie zupełnie z tego nie robi, ponieważ jest najmądrzejszy, tak jak to na przykład było wtedy, gdy staliśmy pod Hochebergiem i nikt nie mógł tam nic poradzić aż w końcu to ja właśnie wyciągnąłem całą generalicję z tarapatów.

— Ty? — spytał zdziwiony Kazimierz.

— Tak, ja. A było to tak: oblegaliśmy Hocheberg już od sześciu tygodni, ale nie mogliśmy jakoś tej dziury zdobyć. Głównodowodzący był z tego powodu wściekły, zwoływał jedną naradę wojenną po drugiej, i wszystko na nic. Pewnego pięknego dnia siedzieli tak znowu zebrani razem, akurat miałem tam wtedy służbę jako ordynans. Każdy z uczestników narady mówił coś innego, zaś *generalissimus* grzmiał i przeklinał, że aż huczało. W końcu powiedział tak: całe nieszczęście polega na tym, że nie wiemy nic pewnego, ani o samej fortyfikacji, ani o sposobie jej obrony. Skończyłbym z tym raz dwa, gdybym miał kogoś tam w środku, ktoby mi wszystkim powiedział. Jego mowa przekonała mnie, nie mogłem już dłużej wytrzymać i wystąpiłem na środek.

— Na rozkaz, wasza dostojność, niech mnie pan tam wyśle! Wyjdę na wieżę i wszystko dokładnie wysledzę!

— On? — spytał głównodowodzący. — Ależ tak, przecież to Henryk Feldman, najślawniejszy i najmądrzejszy w całej mojej armii! I rzeczywiście odważy się to uczynić?

— Na rozkaz, tak jest!

— W porządku! Idzie natychmiast na urlop. Niech się odmelduje i działa już potem całkowicie wedle własnego uznania! Wiem, że ma smykałkę do strategii i nie popsuje mojego planu. Jeśli się mu powiedzie otrzyma dożywotnią rentę, w wysokości pięciuset talarów rocznie.

Odmeldowałem się więc, wsiadłem na mego kasztana; jestem przecież w artylerii konnej, nie mogłem się więc kompromitować i iść na piechotę, pokłusowałem zdobyć twierdzę. Tamci wzięli mnie na początku za parlamentariusza, dlatego otwarli od razu bramę i tłumnie wyszli naprzeciw. Kiedy się im przyglądałem, spostrzegłem wśród nich komendanta twierdzy. Nagle przyszedł mi do głowy śmiały i szalony plan, zobaczyłem bowiem, że brama do kościoła jest otwarta. Popędziłem więc ku ich dowódcy, złapałem go za gardło, wrzuciłem na konia tuż obok mnie i dalej wraz z nim do kościoła. Za nami pogonił potworny ryk wściekłości. Nie oglądałem się za siebie, pogalopowałem cztery piętra schodami do góry, aż na samą dzwonicę. Tam zeskoczyłem z konia, po czym zrzuciłem komendanta, był nieprzytomny, ale nie miałem ze sobą kropli Hoffmana, więc nie mogłem mu pomóc. W jednej chwili dopadłem drzwi zamykających dostęp do dzwownicy i zasunąłem rygiel. Prawie wszyscy obrońcy twierdzy ruszyli za mną, chcąc je teraz wyłamać. Odkręciłem więc trzy dzwony, przetoczyłem je i następnie zatarasowałem nimi drzwi. Dzięki temu ocalałem. Teraz związałem memu jeńcowi ręce i nogi, a dopiero potem wyjrzałem na zewnątrz. Mogłem objąć wzrokiem całość umocnień i kiedy się dokładnie we wszystkim rozeznałem, pokazałem, dając znak naszym ludziom, co mają czynić. Dzięki temu po pięciu dniach twierdza była już w naszych rękach. Nieprzyjaciel wiedział, że to ja odgrywam główną rolę i z furją atakował moją pozycję na dzwownicy. Ale blokujące drzwi dzwony były tak ciężkie, że nie musiałem się niczego obawiać. Głodu przez te pięć dni również nie zaznałem, bo okazało się, iż żona komendanta zaopatrzyła właśnie w tym dniu, w którym przybyłem do twierdzy, swego męża w ni mniej ni więcej, a w pięć funtów czekolady i trzy funty marcepana. Mogliśmy więc spokojnie przeżyć. Wody natomiast udało mi się nazbierać w rynnie dachowej, zaś kasztan co jakiś czas wystawiał swój łeb na zewnątrz i żarł słomę oraz siano z gniazd kawek i jaskółek, których znajdowało się tam całe mnóstwo. Kiedy nasi zdobyli twierdzę zbudowali mi łuk triumfalny, wieńcząc każdy ze schodów

najróżniejszymi flagami i girlandami kwiatów; tak, że zjeżdżałem na dół dumny jak jeszcze nigdy.

— Tak, właściwie tak — zgodził się Kazimierz, a z taką miną jakby go właśnie złapała jakaś kolka.

— Co, nie wierzycie mi? Za ujęcie komendanta twierdzy otrzymałem wybity specjalnie na tę okazję złoty medal, który akurat gdzieś mi się zapodział. A rentę już dostaję, nie możecie jej rzecz jasna zobaczyć, bo nie ruszam pieniędzy dopóki nie będzie ich tyle, żebym mógł przejść w stan spoczynku.

Kazimierz mimo swej wcześniejszej małomówności miał właśnie poczynić jakąś dosadną uwagę, ale mu w tym przeszkodzono. Akurat obok nich szybkim krokiem przeszedł Maks Brandauer i pozdrowiwszy ich przyjaźnie zniknął we wnętrzu domu.

— Znowu młody pan spieszy się z jakąś sprawą! — stwierdził zamyślony Tomasz. — Stawiam jedną Ampalemę przeciwko twojemu złotemu medalowi, że jeszcze dziś wieczorem pędę miał ropotę i to taką ropotę, o której wy żółtodziopy nic nie śmiecie wiedzieć.

— Lepiej żebyś zamknął tę twoją niewyparzoną gębę, bo jeśli nie to przyniosę mój wycior i zatkam ci ją — rzekł ostrzegawczo artylerzysta. — Zrozumiano?

— Tak, właściwie tak! — przyznał w swój niewyszukany sposób Kazimierz.

Swoją drogą szkoda, że nie doszło do zaproponowanego przez Tomasza zakładu. Bowiem póki co Maks nie zamierzał obarczać Tomasza żadnym zadaniem.

* * *

W mieszkaniu kowala, w jednym z pokoi siedziała przy stole pani Brandauer i przy świetle lampy, myśląc o czymś intensywnie robiła na drutach. Wkładała w tę swoją pracę tyle zapału i gorliwości, jak gdyby za sprawą tych podnoszonych oczek można było uczynić świat szczęśliwszym. Przed kowalem leżała gazeta i wyglądało na to, że ją czyta; w najciemniejszym kącie pokoju siedziała Lilga i paliła tę samą co w gabinecie hrabiego, fajkę.

Gdyby było jaśniej dałoby się zauważyć, że wypuszcza kłęby dymu przez zaciśnięte wargi, i że jej oczy płoną jakimś dziwnym, ponurym blaskiem.

W końcu Brandauer złożył gazetę i rzucił pytające spojrzenie w kierunku swej żony, która odpowiedziała mu skinieniem głowy. Wstał, sięgnął po długą fajkę, nabił ją z wielką skrupulatnością, widać sprawiało mu to niezwykłą przyjemność, zapalił posługując się w tym

celu fidibusem, zaciągnął się kilka razy mocno i wypuściwszy chmurę dymu, popchnął pudełko z tytoniem w stronę Cyganki, po czym rzekł:

— Jeśli chcesz masz tu tytoń Lilgo!

— Dziękuję majstrze. Pański gatunek nie bardzo mi odpowiada.

— A może masz coś lepszego?

— Możliwe! Wieszcza pali tytoń, na który mogą sobie pozwolić tylko księżęta.

— A skąd taki bierzesz?

— Pochodzi on ze wschodu i rośnie w górskich dolinach, w dawnej ojczyźnie Boinjarów. Na zbocza Pandjkōra przychodzą młode, dziewczęta i czekają, aż światło księżyca przeniknie na wskroś swymi promieniami tytoniowe ziele, wtedy schodzą w dół, na pola i zbierają swymi delikatnymi palcami jego liście, i w uroczystym dla bogini dnia, przynoszą go do świątyni, po to aby tam owładnął nim duch przyszłości. Kto zakosztuje potem woni owego tytoniu, ten posiada dar wróżenia, będzie mógł rozumieć mowę gwiazd i znaczenie linii jakimi zapisane są nasze dłonie.

— Czy paliłaś tytoń, będąc jeszcze dziewczyną?

— Nie.

— A przecież posiadasz o wiele większą umiejętność przepowiadania przyszłości niż ktokolwiek z twoich?

— I miałam tych umiejętności jeszcze więcej — odparła wymijająco, z wielce strapioną miną, — ale przepadły, a wraz z nimi moja młodość i szczęście. Lilga rzucała ziarno miłości, a zbierała nienawiść, dawała radość i szczęście, a spotykały ją za to szyderstwa i pogarda. Jej śmiech zamienił się w łzy, a z jej miłości narodziła się żądza zemsty; jej niebem jest piekło, jej błogosławieństwo stało się przekleństwem, a jej kroki milkną w najgłębszych mrokach nocy. Ciemności, w których wiedzie życie rozświetla światło tylko jednej gwiazdy, gwiazdy zemsty.

— To złe słowa, Lilgo. Bardzo złe i gorzkie, brzmią one tak jakbyś nie miała nigdy w życiu żadnych przyjaciół.

— Przyjaciół? Gdzie oni są i jak się nazywają?

— A czy nas za takich nie uważasz?

— Was? Wy jesteście moimi przyjaciółmi? — jej oczy zabłyśły, głos miał barwę jakby dochodził z wnętrza jakiejś głębokiej jamy, zaś twarz przybrała wyraz największej ponurości.

— Czyżbyś w to wątpiła?

Milczała przez chwilę, potem zaś odrzekła:

— Człowiek mówi o miłości, wierzy w nią, poświęca jej swe życie, wszakże ona jest niczym więcej niż tylko zjawą i to straszną zjawą, bowiem za okrywającą ją zasłoną pozorów nie ma

żadnej miłości, jest tylko samouwielbienie! Wasz Bóg stworzył i pokochał ludzi, ale tylko po to, a by go czcili i wielbili; ziemia kocha słońce, gdyż grzeje się w jego promieniach, dziecko kocha rodziców, gdyż otrzymuje od nich wszystko, czego potrzebuje; rodzice kochają dziecko ponieważ jest ono kością z ich kości, krwią z ich krwi; mąż kocha żonę, gdyż dzięki niej może być szczęśliwy, a przyjaciel kocha przyjaciela, ponieważ go potrzebuje. Och znam ja waszą miłość i gotowość do poświęceń. Wasza miłość złamała mi serce, aleja zerwałam z niej zasłonę, za którą ukrywała swe prawdziwe oblicze.

— Lilgo, ty nie...

— Niech pan zamilknie, jest pan po trosze człowiekiem i... Chrystusem, a... ja nienawidzę ich obu.

— Chcesz znieważać naszą świętą religię, Lilgo?

— Znieważać? Nie. Ale chcę odsłonić jej skrytą za masą pozorów istotę. Czymże bowiem jest owa miłość, którą głosicie? Tłącą się nienawiścią, skrytym samolubstwem. Waszą wiarę niesiecie od kraju do kraju, od narodu do narodu, na krwawym całunie. Nawróconym ludom zabieracie duszę i ciało, dumni wielce ze swej chrześcijańskiej moralności, narzucanej tym, których zwiecie poganami. Zechciejcie jednak tylko zobaczyć, gdzie więcej grzechu i szatańskiej nieprawości, u nich, czy u was! ... Miłość? Nie znam jej, ale znam za to nienawiść, odwet i zemstę. Postępujecie wedle obłudnych, kłamliwych, kryjących tchórzliwość przykazań, nas natomiast Bhowannie uczy by odpłacać tym samym co nam uczynione zostało. Jest bowiem bezlitosną boginią zemsty, i to jej służyć będę dopóki życia we mnie.

Kowal milczał, Cyganka zaś po krótkiej chwili zaczęła mówić dalej:

— Wszelako nasze bóstwo jest sprawiedliwe, odwdzięcza się także i dobrem, nie czyni tego jednak z miłości, lecz z wyrachowanego samolubstwa. Albercie Brandauer, czy przypomina pan sobie tamten dzień, kiedy pochwycono Cygankę Lilgę i uznając za czarownicę, chciano utopić?

Brandauer skinął potakująco głową.

— I niechybnie spotkałaby ją wtedy śmierć, choć była młoda i piękna jak żadna inna kobieta jej plemienia. I wtedy to przez tłum przecisnął się pewien silny mężczyzna, porwał ją, wskoczył z nią do swego czółna, zabrał na drugi brzeg i tam, w swym domu ukrywał przez wiele długich dni. Brandauer, zna pan tego człowieka?

Kowal uśmiechnął się.

— Nie uczynił on przecież nic nadzwyczajnego, Lilgo.

— Och nie, zrobił dla mnie więcej niż można było, ocalił mi bowiem życie. I tego Lilga nigdy mu nie zapomni. Każdego dnia modli się za niego do Bhowanie, aby bogini czuwała nad

nim i jego domem i aby jej błogosławieństwo towarzyszyło wszystkim jego zamiarom i dokonaniom. Lata przysporzyły mi zmarszczek i siwych włosów. Lilga jest teraz pogardzaną, szpetną Cyganką, przed którą uciekają dzieci, a inni jej unikają. Ale nadal jest silna i władcza. Kogo znienawidzi, temu grozi zguba, kogo pokocha, temu przynosi szczęście. Jeśli zechce, może obalać hrabiów, osadzać na tronie książąt i...

— Lilgo...!

— Nie wierzycie mi? — podniosła się i podeszła do stołu, światło padało teraz na całą jej postać i w jego blasku, jej oczy błyszczały niczym czarne diamenty. — Powinnam to panu udowodnić, Brandauer. Przypomina pan sobie tę noc, gdy pana kobieta leżała złożona bólami i wysłała pana po mnie, gdyż wierzyła w tajemną wiedzę Cyganki? Pańska żona urodziła chłopczyka, a ja wyniosłam go przed dom, by w świetle gwiazd spytać Bhowannie jaki los czeka to dziecko. Chcieliście poznać odpowiedź na to pytanie, ale ja musiałam wtedy milczeć, bowiem to co usłyszałam, było zaiste czymś nieprawdopodobnym i niezwykłym. Przyszło wam więc czekać na próżno, od tamtej chwili, aż do dziś, aby móc nareszcie poznać wolę mego bóstwa. Otóż z chłopca wyrósł mężczyzna i...

Przerwała, otwarty się bowiem drzwi i wszedł Maks. Podskoczyła szybko ku niemu, złapała za rękę i przyciągnęła go do stołu.

— ...z chłopca wyrósł mężczyzna, — powtórzyła i ciągnęła dalej — silny mężczyzna, który uratował mi życie, choć byłam przekonana, że to już mój koniec. Owładnął mną teraz duch wdzięczności i to on każe mi powiedzieć o tym, o czym aż dotąd musiałam milczeć.

Podniosła rękę i położyła ją Maksowi na głowie.

— Słuchajcie zatem mych słów! Przepowiadam, że tej głowie przeznaczony jest nosić książęcą koronę; tej pięści dzierżyć berło, te zaś ramiona okrywać będzie monarszy płaszcz. Syn kowala zostanie księciem między możnymi tej ziemi. I widzę też jak przychodzą wielcy i maluczcy, aby złożyć mu hołd, tak jak to czyni teraz Lilga, Cyganka.

Uklękła przed nim, przycisnęła swe czoło do jego dłoni, a potem podniosła się i szybkim krokiem opuściła pokój.

Syn i rodzice spoglądali na siebie zdumieni. Wiedzieli przecież, że Lilga nie jest żadną oszustką i dlatego tak bardzo zaskoczyła ich ta przepowiednia.

— Co to było? — spytał Maks. — Czyżby coś wypięła?

— Nie, chociaż tak wyglądała — odparł jego ojciec. — Wiem, że obdarzona jest wielką przenikliwością i potrafi patrzeć na człowieka powiedzieć takie rzeczy, o których nikt inny nie śmiałyby nawet pomyśleć. A do tego trzeba przecież dodać owo dziwne zdarzenie, jakie miało miejsce w dniu, w którym przyszedłeś na świat. Miała nam je wyjaśnić, ale stało się to dopiero

dziś. Nie oczekiwałem od niej niczego nadzwyczajnego, ale to co powiedziała jest wprost nie do wiary i trzeba by być szalonym, żeby uznać to za prawdę. Wszakże dobrze zdawała sobie sprawę z tego co mówi;

— Ma w tym jakiś swój zamierzony cel i zdaje się, że nie trudno odgadnąć co chce dzięki temu osiągnąć — stwierdził Maks. — Mnie zdumiało raczej to osobliwe przyjęcie, jakie spotkało mnie z jej strony, gdy wszedłem do izby, na to co działo się potem stałem się już obojętny. Moją uwagę obecnie zaprzęta zupełnie coś innego. O ile się nie mylę ojcze, to posiadasz taką przepustkę, dzięki której bez względu na porę możesz dostać się na zamek?

— Nie mylisz się, ale dlaczego pytasz?

— Czy nie mógłbym z niej jeden, jedyny raz skorzystać?

— Ty? A czego miałbyś szukać na zamku, czy też może u księcia?

— Pozwolisz, że teraz jeszcze ci tego nie wyjawię. W każdym razie to poważna sprawa, wiesz przecież, że gdyby tak nie było, nie śmiałbym cię prosić o coś takiego.

— Hm, wprawdzie książę sporządził ten dokument wyłącznie dla mnie, ale skoro rzeczywiście to coś poważnego, to...

— Nic się nie martw ojcze! Mam zamiar oddać księciu przysługę w szalenie ważnej sprawie.

— W takim razie zaczekaj.

Kowal wziął ze stołu lampę i poszedł do sąsiedniego pokoju. Gdy wrócił trzymał w ręce arkusz papieru, zawierający z jednej strony kilka wąsko zapisanych linijek, z drugiej prywatną pieczęć księcia.

— Masz!

— Dziękuję! Dobrej nocy!

Maks udał się teraz do siebie, aby chwilę odpocząć. Potrzebował ciszy, aby jeszcze raz zastanowić się nad przeżyciami minionego dnia. To w co się zaangażował to nie były przelewki. Zdawał sobie sprawę, że prowadzi walkę na śmierć i życie z potężnym i bogatym przeciwnikiem, on sam przeciwko szeroko rozgałęzionej siatce spiskowców, gotowych posłużyć się najbardziej nawet niegodnymi środkami, po to by osiągnąć swój cel. Ale wcale się tego nie obawiał. Przeciwnie, czuł, że ma dość siły aby przeciwstawić się tej nieprzyjacielskiej armii, a jeszcze dziś w nocy powinno spaść niczym grom z jasnego nieba pierwsze uderzenie na wszechwładnego hrabiego.

Kiedy zegar na jego biurku pokazał północ, podniósł się ze swego posłania, na którym leżał w ubraniu i niezwłocznie opuścił dom. Do książęcego zamku starał się iść bocznymi drogami,

równie niepostrzeżenie dotarł do zamkowego ogrodu. Zarówno tu jak i w samym pałacu znał każdy kąt, wiedział więc dokładnie gdzie powinien się skierować.

Zastukał do jednej z bram. Czuwający za nią wartownik odezwał się:

— Kto tam?

— Swój! — odparł Maks i pokazał przepustkę.

— Proszę wchodzić! — zabrzmiała odpowiedź.

Ruszył długimi schodami i w końcu dotarł do korytarza, w którym znajdowała się sypialnia księcia. Od razu spostrzegł, że brakuje warty, zapewne postarał się już o to przezorny kamerdyner. Również jego Maks nie mógł nigdzie dojrzeć, nie było jeszcze godziny pierwszej.

Po kolei sprawdził drzwi, aż znalazł jedno otwarte. W pokoju było ciemno, chociaż przez szparę wpadał doń, nikły promień światła z następnego pomieszczenia. W owym pomieszczeniu, przy stole siedział kamerdyner Grunert. Przed nim leżało jakieś ilustrowane czasopismo; czytał zatem, aby nie zasnąć w czasie pełnienia służby, ale niewiele mu to pomogło, gdyż spał w najlepsze z głową zwieszoną na piersi.

Sypialnia księcia znajdowała się w następnym pomieszczeniu. Maks postanowił tam wejść. Prześlizgnął się po cichu, pomiędzy dwoma kotarami i stanął przed książęcą łóżnicą.

Śpiący miał naciągniętą aż na piersi jedwabną kołdrę; ramiona i złożone jak do modlitwy ręce były przykryte. Maks dotknął ich delikatnie, książę poruszył się w tej samej chwili. Przebudził się i zaraz otwarł na wpół zaspane oczy. Maks przyłożył palec do swych ust; książę zrozumiał dany mu znak, poznał też doktora i chciał się podnieść w górę, ale zrezygnował i kiwnął palcem, przywołując doktora do siebie.

Nocny gość złapał jedno z krzeseł i postawił je bezszelestnie, po tej stronie łoża, której przez kotarę nie dało się zobaczyć. Następnie usiadł i nachylił się do księcia.

— Niech jego wysokość zechce mi wybaczyć! — szepnął.

— Cóż takiego ważnego się stało, Maksie, że zjawiłeś się tu o tej porze? — spytał książę równie cichym głosem. — Jak zostałeś tu wpuszczony?

— Dostałem się tu dzięki przepustce mego ojca.

— Ach tak! To on ją odstępuje?

— Tylko mnie wasza wysokość! Szykuje się włamanie do pańskiego gabinetu.

— A któż by śmiał to uczynić?

— Hrabia Hohenegg.

— Co... hrabia! Mylisz się, Maksie.

— Wiem to na pewno.

— A czego może tu chcieć?

— Dokumentów z Państwowego Zakładu dla Psychiczenie Chorych, tych, które wcześniej przekazałem waszej wysokości.

— No, teraz pojmy! Do licha, przecież w takim razie... ktoś musi mu pomagać!

— Kamerdyner Grunert. Wygląda na to, że hrabia już wcześniej zaglądał do gabinetu waszej wysokości.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Przypadkiem ich podsłuchałem.

— O której przyjdzie hrabia?

— Punktualnie o pierwszej.

— Grunert śpi w przedpokoju?

— Tak.

— Jest po dwunastej. Spójrz tylko czy on nadal tam śpi?

Maks podszedł cicho ku zasłonie. Zdrajca siedział w tej samej pozycji co przedtem. Kiedy doktor wrócił, książę już się ubierał. Maks pospieszył się, aby mu w tym pomóc, po czym rzekł:

— Tak, jeszcze śpi.

— Nie miał dziś służby, ale zamienił się z kolegą, który podobno był chory. Gdy się obudzi nie będzie już wchodził do sypialni, rzuci tylko okiem, czy zasnąłem. Zaciągnijmy kotary!

Łóżko zostało zasłonięte, aby Grunert był przekonany, iż książę śpi.

— No, a teraz chodźmy do biblioteki, ja pierwszy, a ty za mną! Książę i doktor przemknęli przez przedpokój, po czym ruszyli do gabinetu.

— Zaczekaj! — szepnął do Maksa, gdy dotarli na miejsce. Najpierw zazgrzytał klucz, a potem trzasnął zamek.

— No, teraz sprawy wyglądają już lepiej. Dokumenty mam przy sobie, a oprócz tego, na wszelki wypadek zabrałem też broń. A czy ty też jesteś uzbrojony?

— Noszę ze sobą rewolwer.

— W takim razie możesz już iść do biblioteki.

Znajdowała się ona tuż obok gabinetu. Weszli tam i usiedli na sofie, która stała ukryta za szerokimi półkami na książki. Tutaj książę dowiedział się bliższych szczegółów całej tej historii, której ciąg dalszy właśnie miał nastąpić.

Maks opowiedział wszystko dokładnie, jednak przemilczał w jaki sposób odkrył tajemnicę hrabiego, nie wspomniał również o spisku uknutym przez hrabiego wspólnie z Natterem. Nie chciał przysparzać jego wysokości dodatkowych zmartwień, prócz tego sądził, że będzie w stanie sam pokrzyżować plany hrabiego.

Kiedy skończył, przez chwilę zapanowało głębokie milczenie. Potem odezwał się zegar, który wybił trzy kwadranse. Krótco przed pierwszą dał się słyszeć jakiś hałas. Maks wstał, chcąc się zorientować w sytuacji.

— To Grunert — zameldował szeptem. — Siedzi ze zgaszoną ślepą latarnią niedaleko biurka.

— Tam na stole stoi świeca, gdy tylko zjawi się hrabia zapalisz ją! Kiedy się tam już znajdziemy ty zablokujesz wyjście, resztę pozostaw mnie!

Upłynęło jeszcze kilka minut. Potem nagle coś trzasnęło po tamtej stronie i Maks znów wstał, aby powtórnie sprawdzić co się dzieje.

— Hrabia! — wyszeptał.

Zapalił woskową świecę i wyciągnął rewolwer.

Księżę podszedł do kotary i spojrział przez nią. Hrabia von Hohenegg, którego mimo przebrania jakie nosił dało się rozpoznać, stał przy biurku księcia i trzymał się nad otwarciem jednej z szuflad. Aby lepiej widzieć, opuścił nieco zakrywającą mu twarz maskę; obok niego znajdował się służący i przyświecał mu latarnią. Obaj mężczyźni byli odwróceny plecami do biblioteki i nie spostrzegli wejścia księcia z Maksem Brandauerem.

Doktor przemknął od razu ku drzwiom gabinetu, księżę natomiast zrobił kilka kroków w przód i powiedział:

— O, dobry wieczór, kuzynie!

Zagadnięty odwrócił się momentalnie, zaś służący na dźwięk tego głosu upuścił latarnię i ta zgasła. Teraz Maks odsłonił światło, po czym postawił świecę na kominku; w gabinecie zrobiło się na tyle jasno by spostrzec bladą z przerażenia twarz Hoheneffa i trzęsącego się ze strachu kamerdynera.

— Jego wysokość...! — niemal krzyknął hrabia.

— Tak, to jego wysokość i stoi przed panem, aby utwierdzić pana w przekonaniu, iż istotnie te dokumenty zniknęły stąd. Nie mógł ich pan znaleźć, gdyż mam je, o tutaj, ze sobą. Czy ma pan coś do dodania?

— Nie, wasza wysokość!

— Grunert, niech wybiera między łaską a więzieniem! Przyznaje się czy nie?

Służący padł na kolana.

— Dopraszam się łaski, wasza wysokość! Wszystko powiem!

— Niech wstanie! A teraz niech przyniesie kandelabr!

Kamerdyner zniknął i pojawił się po krótkiej chwili z powrotem z sześcioramiennym świecznikiem.

— Niech Grunert przyświeci jego dostojności! — a zwracając się do Maksa dodał: — byłeś wspaniały i należą ci się moje dzięki. Możesz już odejść. Bądź jednak tak dobry i dotrzyмай towarzystwa hrabiemu Hohenegg, tak długo jak twoim zdaniem to potrzebne, by kuzyn mój czuł się bezpiecznie. Pozdrów także swych rodziców! Dobranoc!

Hrabia niczym automat obrócił się ku drzwiom i wyszedł. Maks ruszył za nim. Drogę oświetlał służący. Kiedy wartownik otwierał wielką bramę, doktor rozkazał kamerdynerowi:

— Wrócisz teraz do księcia! Próba ucieczki tylko pogorszy twoją sytuację. Zresztą kara zostanie ci darowana, jeśli tylko pańskie przyznanie się będzie szczere i całkowite.

Hrabia poszedł bez słowa, a Maks postępował za nim w pewnej odległości. Nagle hrabia zatrzymał się.

— Człowieku, widzi pan te pistolety?

— Bardzo wyraźnie, wasza dostojność.

— To dobrze! Jeżeli więc pan natychmiast nie przestanie iść za mną, zastrzelę pana.

— Tutaj? W samym środku stolicy? Tuż obok książęcego pałacu?

— Tutaj!

— W takim razie niech pan strzela — powiedział Maks, a w jego prawej ręce błysnęła lśniąca lufa rewolweru.

— Łajdak!

— Kogo wasza dostojność ma na myśli? Są obecnie dwie osoby, od których ja nie powinienem tego słowa usłyszeć. Proszę idziemy dalej!

— Stop, nie ruszę się wcześniej z tego miejsca, dopóki nie dowiem się, w jaki sposób książę został poinformowany o mojej wizycie.

— Może się pan tego dowiedzieć, ale nie tutaj. Spotkał mnie zaszczyt towarzyszenia panu do rzeki Oller, gdy tam dotrzemy będę gotów udzielić panu stosownego wyjaśnienia.

Ruszył przodem, hrabia podążył za nim.

— No więc? Jakim to sposobem książę dowiedział się o tym?

— Bardzo osobliwym, panie hrabio! Nasz jaśnie pan był pogrążony we śnie, gdy nagle poczuł dotknięcie czyjeś ręki i wtedy się zbudził. Stojący przed nim człowiek, opowiedział mu o przygotowanym przez hrabiego Hohenegg, najściu.

— Kto był tym człowiekiem?

— Ja.

— Pan...! Ale jak pan znalazł się w posiadaniu informacji o tym, co się miało zdarzyć?

— To wszystko co miałem do powiedzenia, panie hrabio. Jesteśmy już nad rzeką. Do zobaczenia!...

* * *

Maks poszedł dalej, drogą prowadzącą do kuźni, zamierzał zdrzemnąć się trochę. Miało jednak stać się inaczej. Zegar na wieży pobliskiego kościoła wybił godzinę drugą po północy, gdy doktor zbliżał się właśnie do oberży zacnej i cnotliwej wdowy, Barbary Seidenmüller. Dzieliło go od gospody już tylko kilka kroków, gdy spostrzegł wylaniającą się z ukrytej w ciemnościach bramy, małą postać. Ku swemu zdumieniu rozpoznał Ambrożego Nattera, zwolennika oświecenia.

— Mericourt! — szepnął Maks sam do siebie. — Czego on tu szuka o tej porze?

Bez chwili wahania ruszył za rentierem ulicami stolicy, trzymając się wszakże w cieniu domów, by nie zostać zbyt łatwo dostrzeżonym. Jak się okazało nie było to konieczne, gdyż Natter nie obejrzał się ani razu. Widocznie czuł się zupełnie bezpieczny.

Zaraz za ostatnimi zabudowaniami brał swój początek, ciągnący się na sporej przestrzeni wzdłuż rzeki, a potem skręcający ku łagodnie wznoszącym się górskim szczytom trakt. Tam właśnie, już w górze, około trzy kwadranse drogi od miasta, znajdowały się ruiny starego klasztoru. Obecnie stanowiły one cel niedzielnych wycieczek licznych spacerowiczów. Maks znał je dokładnie, bowiem jako mały chłopiec, łąził tam często myszkując po wszystkich kątach.

— Idzie w stronę ruin — mruknął, — ale trzyma się drogi. W takim razie ja wyjdę po zboczu, aby dotrzeć tam przed nim.

Prowadzący do ruin trakt ciągnął się teraz w górę licznymi zakrętami, natomiast Maks zszedł na wąską, mało uczęszczaną, pnącą się również w tamtym kierunku ścieżkę. Zbocze było w tym miejscu tak strome, że doktor musiał przytrzymywać się krzewów tam rosnących. Kiedyś korzystał z tego przejścia, tak często, iż mimo ciemności nie uczynił żadnego nieopatrznego kroku i już po kilku minutach znalazł się na górze. Tutaj przyczał się w miejscu, w którym trakt dochodził do ruin.

Tym razem ostrożność, z jaką stąpał, aby nie zostać usłyszonym okazała się bardzo potrzebna. Za jednym z ostatnich krzaków stała jakaś postać. Coś powiedziało mu, i słusznie, że musi to być rozstawiona dla bezpieczeństwa, warta. Podszedł bliżej, przystanął w zaroślach i czekał. Wkrótce dało się słyszeć kroki.

— Skąd? — spytał półgłosem wartownik.

— Z pola walki — padła równie cicha odpowiedź.

— Dokąd?

— Ku zwycięstwu.

— Możesz przejść!

Mała, czarno odziana postać minęła strażnika. Maks obszedł posterunek i podążył za Natterem.

Na środku dawnego klasztornego dziedzińca znajdowała się studnia, z której kiedyś wytryskiwało źródło. Prowadzący do miasta wodociąg zdążył pozbawić cały ten górski szczyt wody, skutkiem czego źródło to całkowicie wyschło. Zwolennik oświecenia podszedł na jego skraj, po czym zniknął we wnętrzu. Doktor wiedział dokładnie, że jeszcze do niedawna w głębi powstałej po źródle studni nie prowadziła ani żadna drabinka, ani jakieś inne urządzenie. Zbliżył się i spostrzegł przytwierdzoną do skały, a prowadzącą do otworu linę. Ku jego zdziwieniu nie była wcale mocno naprężona. Wyciągnął ją do góry i przekonał się, że miała jakieś dwa, trzy metry długości. Musiała więc być jakaś drabinka, jakieś schodki czy coś podobnego, które pozwalałyby dostać się jeszcze niżej.

Pozwolił linie opaść ponownie swobodnie w dół, po czym nachylił się, aby zajrzeć w głębi otworu. Musiał to uczynić bardzo ostrożnie, gdyż mimo nocnych ciemności jego głowa mogłaby zostać dostrzeżona z dołu. Studnię dawno temu zasypano do połowy, jednak i tak posiadała znaczną głębokość coś około dwunastu metrów. W pewnej chwili błysnął na dole promień światła, potem znów całą głębinę okryła ciemność i Maks przerwał swą obserwację dopiero, gdy usłyszał odgłos zbliżających się kroków.

Wycofał się za pobliski załom w murze i stamtąd naliczył kolejne czternaście postaci, które zeszły do studni.

Korciło go bardzo, aby dowiedzieć się o celu odbywającego się w takiej tajemnicy zebrania. W żadnym jednak wypadku nie mógł udać się w ślad za tymi ludźmi, bliższe zbadanie studni musiał więc zostawić do nadejścia dnia.

Tymczasem jego cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. Minęła prawie godzina nim ujrzał pierwszego wychodzącego na powierzchnię człowieka. Był to Natter, zaraz za nim pokazało się jeszcze dwóch uczestników tajnego spotkania.

— Czy wiecie dlaczego wyszedłem z wami wcześniej? — spytał po cichu.

— Tak — odparł jeden z towarzyszących mu mężczyzn.

— Ten typ, o którym mówię jest zdrajcą. Dowiedziałem się tego dzisiaj, kiedy doręczono mi jego list. Tam na dole udałem, że wszystko jest w porządku, aby go nie płoszyć, ale nie ujdzie karze. Zostanie sprzątnięty!

— W jaki sposób?

— W najzwyczajniejszy. Idźcie na swoje miejsce! Zaraz tu będę.

Obaj mężczyźni zniknęli w ruinach. Ze studni wyszło kolejno jedenastu pozostałych uczestników spotkania. Ostatni z nich odwiązał linę i zabrał ze sobą. Spiskowcy rozchodzili się od razu. Ten, który wyszedł ostatni, także zbierał się do odejścia, w tej samej chwili podszedł do niego Natter i położył mu dłoń na ramieniu. Mężczyzna odwrócił się.

— Mimo podejrzeń jakie wysunięto dziś przeciwko tobie — rozpoczął, — ja ufam ci całkowicie. Zarekomendowałem cię moim przełożonym i otrzymałem od nich dla ciebie zadanie; jego doniosłość świadczy najlepiej jak bardzo w trudnych sytuacjach liczę właśnie na twoje umiejętności. Czy jesteś gotów go podjąć?

— Rozkazuj, a ja będę ci posłuszny.

— Chodźmy więc!

Oddalili się w tym samym kierunku co i tamci dwaj, Maks słyszał wszystko. Co by o tym nie myśleć, człowiekowi, z którym odszedł Natter, groziło niebezpieczeństwo. Ale jakiego rodzaju? I czy zasługiwał na to, aby mu pomóc? I jaka miałaby to być pomoc, skoro Maks nie wiedział co mu może grozić. Prócz tego, bardzo wiele zależało przecież od tego, aby nie została odkryta tu jego obecność. Mając to wszystko na uwadze postanowił przyjąć postawę wyczekującą.

Po pewnym czasie doszło do niego coś jakby stłumione wołanie. A może było to wołanie o pomoc? Nadśluchiwał przez chwilę, wpatrując się w ciemną noc, ale wokół panowała już tylko cisza. Dopiero, gdy upłynęło jeszcze dobrych kilka minut usłyszał odgłosy cichych kroków, to wracał mały z tamtymi dwoma. Tego, którego nazwał zdrajcą nie było wśród nich.

— Dostał to, na co zasłużył — powiedział z chłodem w głosie Natter. — Chciałbym móc wysiać jego duszę do piekła! To już drugi taki, którego dosięgła sprawiedliwa kara. No idźcie teraz! W Dniu Siedmiu Braci spotkamy się w tym samym miejscu po raz ostatni; potem nie będziemy musieli już więcej kryć się nocami.

Uniósł lekko rękę w pożegnalnym geście; ci dwaj ukłonili się z wielkim szacunkiem, po czym odeszli. Zaczekał, aż umilkły odgłosy ich kroków i ruszył wolno za nimi. Zwolennicy oświecenia mieli w zwyczaju opuszczać miejsce swych nocnych spotkań oddzielnie, po to aby uniknąć jakichkolwiek podejrzeń.

Teraz również i Maks wy dostał się ze swej kryjówki.

Opuścił ruiny kierując się w tamtą stronę co Natter, tamci dwaj i ich ofiara. Chociaż przeszukał cały szczyt góry to nie znalazł jednak żadnego śladu popełnionej zbrodni. Postanowił ponownie poszukiwania za dnia.

Ta pełna niezwykłych wydarzeń noc, nie skończyła się jeszcze gdy Maks maszerował traktem w kierunku Fürstenbergu. W domu zaopatrzył się w sznur o długości liny, jaką widział w studni, a do tego w ślepą latarnię, młotek i obcęgi oraz jeszcze kilka potrzebnych jego zdaniem narzędzi i ponownie miał ruszyć ku klasztornym ruinom.

Jednak kiedy schodził schodami w dół, usłyszał z dołu, z warsztatu głośnie ziewanie i zaraz potem następujące słowa:

— Och, aach! Och, aach! Tomaszu Schupert co z ciebie za idiota i głupek! Przecież dopiero piąta rano, mogłeś jeszcze ze dwie godziny zostać w łóżku! Ale Cyganka, ta czarownica nie dawała mi spokoju. Pokazała mi się we śnie, szczuła i polowała na mnie, niczym zły duch, a na koniec pokiereszowała i podrapała mi całą głowę. Dobrze tylko, że to się wszystko zdarzyło we śnie; inaczej nie mógłbym się przecież przez dziesięć tygodni pokazać na oczy Parparze Siedenmüller.

Maks uśmiechnął się słysząc te głośnie narzekania poczciwego kawalerzysty zdradzające jego miłosne sekrety. Właściwie może powinien zabrać go ze sobą? Tomasz był wierny i umiał milczeć, a czworo oczu i rąk potrafi zobaczyć i zrobić trochę więcej niż dwoje.

Wszedł do warsztatu, gdzie czeladnik właśnie naciągał na siebie kurtkę.

— Dzień dobry Tomaszu.

— Tysiąckrotne dzień dopry, panie doktorze. Co to, pan też już nie śpi? Coś mi się zdaje, że ta czarownica także i panu nie dawała spokoju.

— Masz zamiar już zaczynać robotę?

— Chciałbym pardzo, ale nie mogę, muszę jeszcze opudzić innych.

— Mam się gdzieś udać. Czy mógłbyś mi towarzyszyć?

— Wedle rozkazu, panie doktorze!

— No to ubierz się i zapomnij o swej rannej fajce!

— Hm, panie doktorze, mój tytoń jest dla mnie wszystkim.

— No to masz tu cygaro!

— Piękne dzięki! Ampalema?

— Nie, Kuba.

— Kupa? Też dobra, choć nie tak delikatna jak Ampalema. Ruszyli więc obaj, w chłodny i rześki poranek. Miasto jeszcze się nie obudziło. Dopiero później miało się pojawić tych kilka wozów z mlekiem, od których brał swój początek ów codzienny uliczny hałas i gwar. Po drodze Maks nie przejawiał chęci do rozmowy, był bowiem tak pogrążony we własnych myślach, że ocknął się dopiero, gdy dotarli wraz Tomaszem do klasztornych ruin. Przez dawny dziedziniec poszli od razu ku miejscu, które minionej nocy służyło mu za kryjówkę.

Zaraz za resztkami murów znajdował się wąski pas pokrytej skalnymi odłamkami i porośniętej trawą ziemi. Na skraju szczytu spadał on pionowo w dół i ciągnął się dalej tworząc rodzaj niedostępnej, łączącej się z następnym szczytem grani. Nad samym urwiskiem rosła stara jodła, takie położenie sprawiało, iż wiele jej grubych, mocnych konarów zwisało nad przepaścią. Maks zatrzymał się przy drzewie po czym zwrócił się do czeladnika.

— Tomaszu, tam dziś w nocy kogoś zamordowano.

Pocziwy Schubert tak się przeraził, że aż ugięły się pod nim nogi. Poruszony tym co usłyszał cofnął się kilka kroków do tyłu.

— Zamordowany? Zapity? To niesłychane! Ale kto? Przez kogo? To nie byłem przecież ja, panie doktorze.

— Oczywiście, że to nie byłeś ty — zaśmiał się Maks. — Stałem nieopodal stąd, ale nie przeszkodziło mi to, choć niczego nie widziałem, nabrać pewności, że tak właśnie się stało. Musimy jeszcze raz wziąć się za szukanie, może uda nam się coś odkryć!

— Wedle rozkazu, panie doktorze! Od razu piorę się za robotę. Może piedaczysko jeszcze żyje i uda nam się go odratować.

Także i tym razem ich poszukiwania nie przyniosłyby rezultatu, gdyby Maks nie podszedł blisko stojącej nad przepaścią jodły i nie spostrzegł wydeptanej w tamtym miejscu trawy.

— Co sądzisz o tym miejscu, Tomaszu?

— Co ja sądzę panie doktorze? Tu to się chypa musiało z kilka osób nieźle ze sobą popić.

Maks spojrział teraz mimo woli do góry i zobaczył nagle coś, co musiało mieć związek z wydarzeniami minionej nocy. Na jednej z gałęzi jodły, nieco wyżej niż mogłaby mierzyć ludzka postać, znajdowały się dwie sporządzone z mocnego konopnego sznura pętle. Musiały one dźwigać znaczny ciężar, gdyż były tak mocno zaciśnięte, że aż wżarły się w chropowatą skórę gałęzi. Oba powrozy zostały następnie odcięte poniżej pętli nożem; jeden już dość dawno temu, drugi zapewne dopiero ubiegłej nocy, na co wskazywały różniące się od siebie miejsca przecięcia obu powrozów.

— Obejrzyj te pętle, Tomaszu!

— Wedle rozkazu panie doktorze! Mogę tu zaraz zjeść na miejscu wielkie kowadło, jeżeli nie powiesiło się na nich jakiś dwóch, których następnie odcięto!

— Uważasz, że powiesili się sami?

— Naturalnie! Wisi się przecież na drzewie zawsze samemu. I wiadomo, że ktoś innym niechętnie w tym pomaga.

— No, a te ślady na trawie?

— Niech to licho, rzeczywiście to wygląda, jakby się oni wcześniej pronili.

— Ta pętla pochodzi z zeszłej nocy, a tamta druga, co najwyżej sprzed jakiś trzech tygodni. Czy słyszałeś, aby w tym czasie został ktoś powieszony na klasztornej górze?

— Nie.

— Tych ludzi powieszono więc, nie na mocy wyroku sądowego, lecz zamordowano ich, a zabójcy zaraz potem odcinali ciała swych ofiar...

Podszedł na skraj urwiska i spojrzął w dół. Na leżącej tam, porośniętej tylko gdzieniegdzie kępkami trawy skale widoczny był wyraźny ślad rzuconego w przepaść ciała.

— ... i — ciągnął dalej Maks — to z tego powodu znalazły one swój grób tam w dole.

— Znalazły swój grób — przytaknął Tomasz, zerkając ostrożnie w przepaść. — Musimy o tym powiadomić kogo należy, panie doktorze!

— Zanim się na to zdecyduję, muszę przeszukać jeszcze jedno miejsce. Chodźmy!

Podszedł do studni i wyciągnąwszy sznur przywiązał go do skały.

— Musimy zejść na dół do studni.

— Na dół, a po co panie doktorze? Czy tam też kogoś zamordowano?

— Nie. Ty zostań na górze i pilnuj, aby nas ktoś nie zaskoczył!

— Któż py nas miał zaskoczyć, panie doktorze? O tej porze, nikt przecież tu nie przychodzi.

Maks zbadał wewnętrzną część studziennego otworu, ale nie dostrzegł ani drabinki, ani niczego w tym rodzaju; natomiast kiedy kołysał zwisającym w dół sznurem, poczuł nagle, że ten o coś zaczepił. Zagląjąc uważnie w to miejsce, spostrzegł wbity w cembrowinę żelazny kołek. Zagadka została rozwiązana, rząd takich kołków służył za prowadzące w dół stopnie. Lina miała za zadanie dostanie się do najwyżej umieszczonego kołka. Ten zaś dla oka kogoś, kto o nim nie wiedział był niewidoczny, wbito go bowiem najgłębiej jak tylko się dało.

Maks opuścił się na linie aż do tego miejsca. Tak jak przypuszczał, bolce zostały umieszczone jeden od drugiego w odległości jednego łokcia, dzięki czemu bez trudu można było zejść po nich aż na samo dno studni.

Kiedy po chwili znalazł się tam, wyciągnął latarnię, zapalił ją i poświecił wokół siebie. Niczego nie spostrzegł, niczego oprócz otaczającej go cembrowiny, zbudowanej z czworokątnych płyt. Było rzeczą niemożliwą, aby mogło odbyć się tutaj zebranie z udziałem czternastu osób. Wziął młotek i zaczął nim opukiwać studzienny mur. Naprzeciw miejsca, gdzie schodziło się z góry, usłyszał głuchy dźwięk. Nacisnął i dwie, spoczywające jedna na drugiej płyty cofnęły się w głąb, tworząc w ten sposób otwór, na tyle wielki, że mógł się przezeń precyzyjnie do środka jeden człowiek.

Wszedł tam. Wejście, które stanowiły dwie płyty, zbite od wewnątrz deskami i trzymające się dzięki temu razem, zamykało się samo pod wpływem własnego ciężaru. Znajdował się teraz

w mierzącym około trzech metrów wysokości pomieszczeniu, ledwie tylko oszalowanym, którego sufit przytrzymał kilka drewnianych podpór. W środku stał surowy, nie — polerowany stół, po jego wyższej stronie przybita gwoździami do dwóch pali deska, służyła przewodniczącemu za fotel, podczas, gdy pod ścianami umieszczone zostało parę, skleconych również w ten sposób ławek. Mimo starannego przeszukania nie odkrył niczego więcej, nic też nie wskazywało, że jeszcze niedawno temu zjawiała się tu pewna liczba ludzi.

Wydostał się z powrotem do studni i spojrzął do góry. Jako chłopiec nieraz się tutaj opuszczał ze swymi szkolnymi kolegami. Być może dlatego to dzisiejsze odkrycie zrobiło na nim wrażenie ryzykownej przygody. Zdmuchnął światło, schował latarnię i wyszedł na górę. Tomasz siedział na skalnym bloku i czekał na niego.

— To trwało strasznie długo, panie doktorze. Już miałem tam zejść.

— To nie było konieczne, niech mój drogi Schubert mi wierzy. Załatwiłem wszystko sam.

— Wolałbym się nie pytać co tam było na dole? Pan myślał zapewne, że te dwa trupy zostały wrzucone do studni.

— No, ale się nie znalazły — odparł Maks, utwierdzając czeladnika w jego przekonaniu.

Był pewny wierności i dyskrecji Tomasza, jednak uznał, że najlepiej będzie, jeśli zachowa przed nim w tajemnicy właściwy cel ich porannego spaceru. Po chwili dodał więc:

— Być może z tym powieszeniem to nam się tylko przywidziało. Zdaje się, że najrozsądniej zrobimy, nie mówiąc nikomu o naszym pobycie tutaj. Po co mielibyśmy mieć z tego powodu jakieś nieprzyjemności.

— Jestem całkowicie za tym, panie doktorze. Nikt mnie przecież nie zapił, ani nie powiesił na drzewie, zresztą zawsze najpóźniej opawiałem się sądów i policji. Ode mnie nikt się nie dowie, gdzie byliśmy.

— Nawet Barbara — spytał Maks ze śmiechem, przypominając sobie słowa kawalerzysty

— Nawet Parpara, panie doktorze — zapewnił Tomasz — u niej to dopiero nie można schować takiej wiadomości.

Gdy wrócili do domu zastali tam nastrój wielkiego rozgorączkowania i podniecenia. Lilga, Cyganka przepadła gdzieś bez śladu.

To zaskakujące odkrycie zostało dokonane, gdy pani Brandauer zapukała rano do pokoju Lilgi, aby zawołać ją na śniadanie. Kiedy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, otworzyła drzwi i znalazła pusty pokój. Łóżko było nietknięte i wszystko wskazywało na to, że Lilga opuściła dom, gdy tylko jej mieszkańcy udali się na spoczynek.

Wiadomość o zniknięciu Lilgi wywołała u Maksa w pierwszej chwili złe przeczucia. Przyszła mu bowiem na myśl rozmowa hrabiego ze zwolennikiem oświecenia i to, że Natter

podjął się unieszkodliwienia Cyganki. Jednak oddalił od siebie to przypuszczenie zaraz po tym jak poddał pokój Lilgi szybkiemu przeszukaniu. Uprowadzenie Lilgi, jeśli dobrze rozważył sprawę, było nie do pomyślenia choćby z tego powodu, iż Natter mógł w tak krótkim czasie co najwyżej dokonać tylko przygotowań do realizacji swych zamiarów.

Zniknięcie Cyganki pokrzyżowało jednak Maksowi szyki. Z wielką chęcią zadałby jej kilka istotnych pytań, dotyczących tego co łączyło ją z hrabią Hohenegg, tymczasem okazało się, że będą one musiały, przynajmniej na razie pozostać bez odpowiedzi. Być może, co nie było wykluczone, to przypominające ucieczkę oddalenie się Cyganki miało zapobiec postawieniu tych pytań. Z drugiej strony owo tajemnicze zniknięcie sprawiło Maksowi zadowolenie, dzięki temu bowiem, trudniej będzie Natterowi spełnić swą pogroźkę. Wczoraj bowiem w całym zamieszaniu i podnieceniu związanym z włamaniem, jakiego miano dokonać do gabinetu księcia, Maks zupełnie zapomniał o tym, aby ostrzec Cygankę przed grożącym jej niebezpieczeństwem. Postanowił jej strzec i dlatego obserwował każdy krok Nattera. Mając go zaś na oku orientował się czy mały spiskowiec szykuje coś przeciwko Lildze i mógł w każdej chwili podjąć odpowiednie środki zaradcze.

* * *

Gdyby wszakże Maks wiedział, co o tej samej godzinie działo się w pałacu hrabiego Hohenegg, to zrozumiałby od razu sens zdarzenia, które początkowo tak poruszyło jego rodzinę. Tam hrabia Hohenegg miotał się po swych komnatach niczym ranny odyniec; był w takim stanie, że służba ze strachem kryła się po kątach i nikt nie śmiał się nawet do niego zbliżyć.

Co w takim razie się stało? Rankiem, niedługo po przeprowadzonej ze zwolennikiem oświecenia, a podsłuchanej przez Maksa rozmowie, udał się hrabia do swej biblioteki. Chciał przejrzeć jeszcze raz, trzymane w tajnym schowku papiery i zastanowić się czy jest to dla nich najwłaściwsze miejsce. Zaczęła go bowiem nurtować myśl, iż może to nie być dla nich obecnie bezpieczna kryjówka, zważywszy, że dawniej Lilga poznała niektóre z jego tajemnic. Kto mu zaręczy, że nie przedostanie się ona do pałacu, aby skraść te ważne dokumenty, a to byłaby dla niego kosztowna stara. Tym bardziej, że owe tajemne przejście do jego biblioteki znała doskonale, co udowodniła mu to już wiele razy. Dlatego też nosił się z zamiarem zabrania papierów ze schowka i przeniesienia ich w inne miejsce. Jakże więc nieopisane było jego przerażenie, gdy otwarł tajną skrytkę i ujrzał ją pustą! Stał przez chwilę niczym sparaliżowany

i owładnięty tylko jedną myślą: Lilga. To nie mógł być nikt inny, jedynie ona! Obiecała mu, że zemści się za syna i teraz pokazała, że potrafi go ugodzić w czułe miejsce. Jeszcze wczoraj powiedział Natterowi, że Lilga nie posiada żadnego dokumentu przeciwko niemu, a już dzisiaj okazało się, że za sprawą tych niebezpiecznych papierów „jest całkowicie w jej rękach. Pojął teraz, że popełnił ogromny błąd nie ukrywając tych papierów w chwili, gdy dowiedział się od Maksa Brandauera o zwolnieniu Lilgi z zakładu. Teraz będąca jego śmiertelnym wrogiem Cyganka uprzedziła go, sprawiając, iż jego misternie i delikatnie budowane dzieło życia znalazło się w najwyższym niebezpieczeństwie.

Co będzie, jeżeli Lilga uczyni z tych nieszczęsnych dokumentów natychmiastowy użytek? W takim przypadku mający go wynieść do władzy, przygotowany na bliski już Dzień Siedmiu Braci przewrót przyszedłby za późno. Chociaż z drugiej strony znał dobrze charakter Cyganki. Wiedział, czy też raczej wierzył w to, że będzie ona chciała najpierw, nim dokona aktu ostatecznej zemsty, zadać mu ból i cierpienie. Ale Hohenegg nie był człowiekiem spokojnie przyglądającym się zaciskanej na szyi pętli. Był jeszcze czas, żeby ją odciąć i on nie zawahał się ani przez chwilę, aby podjąć w tym celu wszelkie niezbędne kroki.

Gdy tylko miejsce wściekłości zajęły spokój i rozwaga, kazał wezwać do siebie Nattera i odbył z nim długą rozmowę. Zaraz po jej zakończeniu zwolennik oświecenia wyjechał. Jednak tym razem miało się okazać, że potęga hrabiego też jest ograniczona. Oto po ośmiu dniach mały konspirator wrócił nic nie wskórawszy. Mimo całej swej przebiegłości nie potrafił odnaleźć miejsca pobytu Cyganki, i w tej sytuacji hrabia musiał się pogodzić z tym, że dokumenty przepadły. Rozpoczęła się zemsta Cyganki...

DWAJ MŁODZI PRZYJACIELE

Konstantynopol, 8 czerwca 18..

Drogi Maksie!

Moja fregata znajduje się obecnie z drodze powrotnej z Indii Wschodnich i gdy otrzymasz mój list, będę już zapewne u siebie na zamku w Falkeneu, w Karlshafen. Nasz statek wskutek kilku drobnych uszkodzeń musi pójść do remontu, mogę więc liczyć na kilka tygodni urlopu. Przyjemnie byłoby je spędzić w ojczystej Norlandii, ale mój ojciec, który jak wiesz przebywa tu jako norlandzki poseł, życzy sobie, abym udał się do naszej posiadłości w Süderlandii; dlaczego, o tym później.

Muszę ci wyznać, że rym razem nie cieszę się tak bardzo z mego wolnego czasu. Jestem chwilowo w takim nastroju, że dosłownie zmusiłem się do tego, aby napisać do ciebie, mojego przecież najlepszego przyjaciela.

Drogi Maksie! Czy zdarzyło ci się już kiedyś przeżyć to co nazywa się miłością? Nie uważam za nią owej gwałtownej, burzącej krew w żyłach, a potem równie szybko przemijającej namiętności, lecz uczucie, które na początku rozpala się w tobie niczym płomień, by w końcu ogarnąć cię całego i sprawia, że nagle z nieznaną ci dotąd jasnością i pewnością mówisz, znalazłem wreszcie gwiazdę mego życia, i gdyby teraz miała ona zgasnąć to na zawsze zawaliłby się dla mnie świat.

Nie chcę jednak mówić do ciebie językiem, który bliższy jest raczej poetom, pozwól więc, że będę opowiadał...

Wracałem już do ojczyzny, mając po drodze doręczyć jeszcze wicekrólowi Egiptu pewną depeszę. Uczyniłem to, a ponieważ swoje sprawy załatwiłem równie prędko postanowiłem przedłużyć mój pobyt w Kairze o kilka dni. Kto widział to miasto, musi uznać moją decyzję za oczywistą. Kair nie bez racji nosi nazwę *el Kahira* czyli Zwycięski; zwyciężył bowiem tysiącem swych cudów i pokus wszystkich tych ludzi Zachodu, którzy choćby jeden raz zdobyli się na to, aby przekroczyć ów magiczny krąg Orientu. Dnie, aż do zachodu słońca spędzałem na marzeniach przy fajce delikatnego Assuanu. Ze względu na panujący tu upał wychodziłem dopiero wieczorem, mając nadzieję przeżyć jakaś przygodę albo przynajmniej napatrzeć się do syta, by potem mieć co wspominać.

...To było pewnego pięknego i uroczego wieczora jaki trafić się może tylko pod tą szerokością geograficzną. Wziąłem łódź i wraz z przyływem ruszyłem w górę Nilu, to znaczy

siedziałem w niej, marzyłem i wiosłowałem. Po krótkim czasie miasto zostało z tyłu, płynąłem więc samotnie pod prąd, widząc przed sobą tylko jedną, jedyną poruszaną siłą wiosła pięciu czarnych niewolników, gondolę. Siedziały w niej dwie zupełnie zasłonięte kobiece postacie, które podobnie jak i ja chciały zakosztować chłodnego wieczornego powietrza. Kim były te kobiety? Do kogo należały i czy wypadało, w takiej już odległości od miasta, próbować nawiązać z nimi rozmowę? Nie, to nie wchodziło w rachubę, gdyż czarni niewolnicy donieśliiby o tym niezwłocznie. Podążyłem więc tylko wolno za nimi, zapatrzony w świecące niczym jakaś gwiazda, białe zasłony na ich twarzach. W tym miejscu rzeka zatacza ostry łuk; naturalnie więc spokojniejszy nurt płynie po jego wewnętrznej stronie. Właśnie dopiero co znalazła się tam gondola, gdy zza zakrętu wyłonił się dziób jakiegoś statku, który zapewne spóźniony usiłował dotrzeć jeszcze do portu w Bulak. Gondola znalazła się bardzo blisko niego, ale zdołała go jakoś opłynąć. Tym statkiem była *dahanbija*, która sądząc po jej budowie, przewoziła liście senerowe. Zaraz za nią, czego pasażerowie łódki w pierwszej chwili nie zauważyli płynął *sandal*, owa szybka nilowa barka, mogąca stawać w zawody nawet z parowcem. Na wyminięcie go było już za późno, chociaż dzięki wielkim wysiłkom wiosłarzy nie doszło przynajmniej do zderzenia. Łódka wpadła za to w szumiący kilwater, smugę wodną obu statków i rzucało nią wszystkie strony niczym łupinką orzecha.

Obie damy ogarnęła panika i zaczęły wzywać pomocy. Jedna z nich zapomniała z tego wszystkiego trzymać się burty i gdy kolejna fala uniosła gondolę, straciła równowagę i wpadła do wzburzonej wody. Przypuszczałem, że może do tego dojść, złapałem więc za ster i wraz z towarzyszącym mi wiosłarzem w jednej chwili znaleźliśmy się w tamtym miejscu. Nie czekając na nic wskoczyłem do rzeki. Udało mi się tę nieszczęsną kobietę od razu pochwycić. Wszakże przy tak niespokojnej wodzie nie było co myśleć o powrocie do łodzi. Odwróciłem się na plecy i przytrzymując niedoszłą ofiarę popłynąłem do brzegu, gdzie znalazłem się wcześniej gondola i moja łódka. Tutaj położyłem kobietę na ziemi i odrzuciłem zasłonę okrywającą twarz, głowę i ramiona. Musiałem się aż cofnąć. Czy możesz, drogi Maksie wyobrazić sobie kogoś równie pięknego, że aż tą pięknnością przerażającego. Oglądający takie zjawisko ma wrażenie jakoby dopuścił się świętokradztwa. Jeżeli owa czarodziejska, dobra wróżka, o której opowieści tak bardzo lubiliśmy w dzieciństwie słuchać, musiała zstąpić z nieba, aby objawić nam śmiertelnikom ideał kobiecego piękna, to mogłaby ona co najwyżej dorównać w tym względzie leżącej prze mną wtedy dziewczynie. Sądzę, że mnie znasz, ale dziękuję niebu, że mnie wtedy nie widziałeś. Zapewniam cię na mój marynarski honor, iż zachowałem się jak smarkacz. Stałem tak jak ten co go złapali na kradzieży jabłek, tak mnie zbił z tropu widok tej piękności. W końcu jednak zostałem wyrwany z mego niemego zachwytu. Mój wiosłarz

dopłynął już do brzegu, podobnie jak i gondola. Gdy tylko druga z płynących nią dam postawiła nogę na ładzie momentalnie, szybko ruszyła w moją stronę.

— Sulejko! Sulejko! — wołała przestraszonym głosem. — O Fatimo, szlachetna córko Proroka, spraw aby ona żyła!

Dopiero ten okrzyk zwrócił mi uwagę na najważniejszą rzecz. Przyłożyłem rękę do serca nieszczęsnej dziewczyny i poczułem słaby, ale jednak miarowy puls.

— Żyje! — krzyknąłem z głębokim westchnieniem ulgi. — Ręce śmierci nie były dość szybkie i nie zdążyły sięgnąć po tę cudowną mieszkankę Kairu.

— Ona żyje! — z tym okrzykiem radości rzuciła się nadbiegająca dama ku leżącej i odsłoniwszy swą twarz ucałowała nieprzytomną. — Tak, żyje! Dzięki ci cudzoziemcze! Dokonałeś dzieła, które Allach po tysiąckroć ci wynagrodzi!

Powiadam ci Maks, że w tej chwili dziękowałbym. Allachowi i to tysiąckrotnie, ale za to aby być na miejscu tamtej i móc wycisnąć na wargach tej, która leżała nieprzytomna, choć jeden jedyny pocałunek. Klęknąłem obok niej i położyłem jej głowę na mym ramieniu, zaś wkoło rozsypały się kręcone pukle rozpuszczonych włosów dziewczyny.

— Kto to jest? Kim jesteście? — pytałem tak bez żadnego określonego celu, po to tylko, aby w ogóle coś powiedzieć.

— Jestem Aimée, faworyta wicekróla, a ona nazywa się Sulejka? A kim ty jesteś? Francuzem?

Ona także była piękna, choć na pewno o kilka lat starsza od Sulejki. Mówiła po francusku, aby służący nie mogli niczego zrozumieć; wywnioskowałem więc z tego, że także potrafi czytać. Jeszcze klęcząc ująłem wolną ręką moją torbę i wyciągnąłem z niej mój bilet wizytowy.

— Weźto i przeczytaj kim jestem! — chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale nam przeszkadzono.

Mężczyzna, który siedział za sterem barki podszedł do nas.

— Dlaczego pozwoliłaś, aby twe oblicze jaśniało przed mężczyzną, do którego nie należysz? — krzyknął do Aimée.

Jego słowa zabrzmiały ostro, kobieta zaś odwróciła się i opuściła zasłonę.

— Bywaj zdrów cudzoziemcze! Aimée dziękuje ci i będzie twoją przyjaciółką nawet jeśli to nie jej pomogłeś.

— Czy Sulejka jest żoną jakiegoś mężczyzny?

— Nie.

— A czyją jest córką?

— Tego nie mogę powiedzieć! Przyjmij podziękowania i bywaj zdrów!

Podawała mi rękę, co było dla niej wielce ryzykowne, ucałowałem koniuszki jej palców i podążyłem do mej łodzi. Jak we śnie wróciłem do miasta i jak we śnie udałem się do mego mieszkania.

Nie zdziwisz się więc chyba, jeśli powiem, że pierwsza myśl jaka przyszła mi do głowy następnego ranka, dotyczyła tej przygody. Postanowiłem poruszyć niebo i ziemię, i zostać w Kairze tak długo, dopóki nie dowiem się kim ona jest. Jednakże musiałem odstąpić od swego zamiaru. Jeszcze bowiem tego samego dnia otrzymałem rozkaz, aby popłynąć do Algieru. Zrozumiesz mnie chyba, jeśli ci powiem, że jeszcze nigdy wypełnienie rozkazu nie przyszło mi z takim trudem jak wtedy. Przez pierwsze dni rejsu robiłem wszystko jak automat i musiałem użyć wszelkich możliwych sposobów, aby ukryć przed załogą stan mego ducha. Żywiłem nadzieję, że czas zatrze pamięć o tym spotkaniu, ale na próżno. Jeszcze dzisiaj, choć przecież upłynęło od tamtej pory tyle tygodni, czy to w dzień, czy w nocy postać Sulejki stoi przede mną jak żywa. Czy jest do pomyślenia Maksie, by Bóg zsyłał nam takiego anioła jedynie po to, by potem zaraz odebrać go naszym oczom i naszej nadziei? Nie wierzę, żeby tak miało być. Jestem głęboko przekonany, iż opatrność, która skrzyżowała nasze drogi, znajdzie sposób, aby złączyć także nasze serca, które co w głębi mej duszy czuję z całą mocą, już na całe życie będą do siebie należały.

Jestem obecnie w takim nastroju, iż zaczynam żałować, że przez pewien czas skazany będę na bezczynność. Chciałbym, żeby zdarzyło się coś, czemu mógłbym poświęcić całą moją siłę ducha i ciała, nawet gdybym przy tym miał narazić się na jakieś wielkie niebezpieczeństwo i ryzyko, że mogę wszystko utracić. W każdym bądź razie już niedługo czeka mała odmiana. Mój ojciec powiedział mi, że zaprosił do naszego zamku w Karlshafen, sławnego Nurwana Paszę, wielkiego admirała padyszacha. Dlaczego Nurwan chce przybyć akurat do Süderlandii, tego mój ojciec nie wie. Sądzę, że ojciec przy okazji tego zaproszenia, chce załatwić jakieś swoje sprawy. Nurwana poznał tutaj i doszło nawet do tego, że nazywa go swoim przyjacielem, chociaż jest jego politycznym przeciwnikiem. Ojcu wydaje się, że wizyta paszy wiąże się z obecną polityką Süderlandii i ma nadzieję, że dowie się od swego gościa coś bliższego na ten temat. W ogóle wygląda na to, że coś wisi w powietrzu. Rzecz jasna nie mogę wiedzieć co, gdyż zbyt długo jestem na morzu, dopiero gdy pobędę znów trochę w ojczyźnie, być może dowiem się czegoś. Chociaż z drugiej strony wizyta süderlandzkiego następcy tronu i księżniczki w Norlandii, o co się starał hrabia Hohenegg, a także oczekiwany przyjazd Nurwana Paszy do Süderlandii, dają do myślenia. Süderlandia jak wiadomo, nie ma żadnego dowódcy marynarki, na którym mogłaby na wypadek wojny, polegać. Mogłaby... ? Ale

przecież czy ma sens takie wywoływanie wilka z lasu, być może zresztą wszystko to, to tylko moje urojenia.

No, a jak Ci się powodzi, drogi Maksie? Czy ciągle jeszcze nie godzisz się na przyjęcie jakiejś państwowej posady, otwierającej ci drogę do kariery? Mówiłem ci już tysiące razy, że tacy ludzie jak Ty mogliby dla Norlandii uczynić, właśnie teraz, wiele dobrego, stanowiąc tym samym przeciwwagę dla przynoszących tak wątpliwe korzyści rządów hrabiego Hohenegg. Ale to ty jesteś swoim jedynym panem i ja nie chcę się do niczego wtrącać. Pozdrów ode mnie swoich rodziców!

Twój Artur von Falkenau.

Fürstenberg, 22 czerwca, 18:..

Drogi Arturze!

Czy wyobrażasz sobie jaka była moja pierwsza myśl przy czytaniu Twego listu? Nie, nie zgadniesz, bo nie możesz tego zgadnąć! Kiedy przeczytałem o twoich miłosnych cierpieniach i rozterkach, pozwoliłem, aby list wypadł mi z rąk, oparłem się na krzesło, zamknąłem oczy i wzruszony wyszeptalem z radości, ale i ze smutkiem jednocześnie:

— I ty, Brutusie, synu mój?

I właśnie na tej sentencji mógłbym skończyć, ponieważ zawiera wszystko to, co zamierzałem ci powiedzieć. Ale jakże tak, ty mój najlepszy przyjaciel, który znalazł się w tym samym położeniu co i ja, miałby już niczego ode mnie więcej, na ten temat nie usłyszeć? A przecież może chciałeś właśnie, dowiedzieć się jak najwięcej o tym co spotkało Twojego Maksa i czy już samo zaufanie jakim mnie obdarzyłeś, nie zasługuje na to, abym i ja otwarł się przed Tobą.

Zechciej mi również wybaczyć, iż tym razem nie będę mógł mówić w sposób zbyt otwarty, tak jak to dyktuje mi serce, i że powstrzymam się od podawania czyichkolwiek nazwisk. Znajduję się bowiem obecnie w dość wyjątkowej sytuacji. Jestem na tropie pewnego szpiega, ten zaś pilnie baczy na każdy mój ruch, nie widzę tego wprawdzie, ale czuję to na każdym kroku. Tak mój drogi, Twój Maks stał się dla pewnych ludzi bardzo ważną i znaczącą osobą, i to także jest powód, dla którego nawet tobie nie mogę nic zdradzić. Łatwo bowiem mógłby mój list wpaść w czyjeś niepowołane ręce. Adama, która jak sądzę nie ma najmniejszego pojęcia o uwielbieniu, którym ją darzę, cieszy się moim zbyt wielkim szacunkiem, abym mógł w najmniejszym nawet stopniu narażać na szwank tym listem, jej cześć i godność. Dlatego nie

wymieniam żadnych nazwisk, ale ty mój przyjacielu odgadniesz na pewno kogo mam na myśli, nawet jeśli to przemilczę.

Tę damę widziałem w towarzystwie młodego Hohenegga, zwanego „szalonym hrabią”. Znasz go przecież z wcześniejszych jeszcze czasów. Gdybyś wiedział, jakie to plany przygotowuje jego ojciec, wraz z tą swoją krnąbrną i niesforną pociechą to nie dałbyś temu wiary.

No, więcej o moich sprawach i o niezwykłych wydarzeniach w ostatnim czasie, niestety nie mogę ci powiedzieć. Zresztą nie potrzebujesz już nic więcej wiedzieć! Jesteś człowiekiem bywałym w świecie, myślącym, zatem będziesz potrafił na podstawie tej mojej chaotycznej pisaniny, robić sobie pewne wyobrażenie o istocie całej sprawy.

Już widzę jak kiwasz teraz głową i mówisz z wyrzutem w głosie: Maksie, Maksie myślisz sobie, żeś taki rodzynek! Wiedz przecież, że kwiat, który chcesz zerwać nie kwitnie dla ciebie, i pamiętaj, że dzieli was przepaść nie do pokonania, urodzenie.

I tak też czyniłem, najdroższy mój przyjacielu i towarzyszu niedoli! Sto, tysiąc razy tak czyniłem. Mimo tego mój smutek z tego powodu nie jest równy połowie, co ja mówię, dziesiątej części, smutku przebijającego z treści twego listu. Czy to rozumiesz? Prawdopodobnie nie, gdyż i ja sam tego nie pojmuję. Rozum podpowiadał mi już ze sto razy, że powinienem tę miłość wyrwać z mego serca, że moja miłość jest naiwnością i przywidzeniem, wszakże moje serce, tysiąc razy się temu sprzeciwiało, mówiąc i zachęcając: wytrwaj, czekaj cierpliwie! Arturze, znasz mnie i wiesz, że tak w ogóle to jestem trzeźwo myślącym, rozsądnym i przeciwnym wszelkiemu fantazjowaniu człowiekiem. A jednak ten chłodno potrafiący kalkulować Maks Brandauer związał się całym swoim sercem z tą miłością. Pytasz mnie czy jest do pomyślenia, aby Bóg zsyłał nam takiego anioła, jedynie po to, ażeby zaraz potem odebrać go naszym oczom. Nie Arturze, nie wierzę, by tak było. Jestem podobnie jak i ty, przekonany, że opatrność czuwa nad nami, i że z ufnością winniśmy poddać się jej zrządzeniom. O tym zaś, w jaki sposób miałyby ona połączyć drogi nasze i naszych aniołów nie śmiem nawet myśleć, gdyż nie są w stanie pomóc tu żadne racjonalne przesłanki. Jedno wszakże jest pewne; ta nieszczęśliwa, jak wszystko zdaje się na to wskazywać miłość, wcale nie odebrała mi ochoty do życia, wręcz przeciwnie, uczyniła mnie w jakiś osobliwy sposób wolnym i szczęśliwym.

Wiesz Arturze, że nie jestem marzycielem. Tak więc również to nowe uczucie, które zagościło w moim sercu i wypełniło całą moją istotę, nie uczyniło ze mnie kogoś pochłoniętego wyłącznie swymi myślami i mrzonkami. Zresztą nie powinno tak być i to szczególnie teraz, gdy Norlandię czekają, być może przełomowe wydarzenia. Przypadek sprawił, że poznałem

niezwykłej wagi tajemnicę, która wymaga bym poświęcił jej całą moją uwagę i czujność. Tylko cichą nocą mogę kierować swe myśli, ku mej gwieździe, której cudnemu blaskowi nie zdołałem się oprzeć i, a mówi mi to mój wewnętrzny głos, spotka mnie szczęście tylko wtedy, gdy połączą się nasze drogi.

Mocno odczuwam to drogi Arturze, że jesteś tak daleko. Zadanie, które mam do spełnienia, jest niezwykle trudne i prawie przerasta moje siły. Byłoby wielką pociechą dla mnie, mieć przy sobie mojego wiernego przyjaciela i móc mu powierzyć swe myśli i przecucia. Ale może właśnie tak ma być. Nabieram coraz większej pewności, że twoje miejsce jest obecnie nie w Norlandii, lecz właśnie tam dokąd wysłał Cię Twój ojciec. Ja także wiem o tym, że Nurwan Pasza ma przybyć do Süderlandii i uważam to za szczególne zrządzenie losu. Ten nieprzejednany wróg Norlandii, a raczej norlandzkiego premiera, zamieszka pod twoim dachem. Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że jego podróż do Süderlandii wiąże się w jakiś sposób z pewnymi tajnymi intrygami. Być może uda ci się dowiedzieć czegoś ważnego i dzięki temu wyświadczyć twej ojczyźnie, którą jak mi się zdaje czekają ciężkie czasy, przysługę.

Czy zauważyłeś może, że między twoim a moim losem istnieje pewne podobieństwo? Obaj znaleźliśmy nasze gwiazdy, Twoja umknęła przed Twym wzrokiem i nie wiesz teraz, za którą chmurą jej szukać; moja zaś wędruje swą promienistą drogą, do której zdawać by się mogło, nikt dotrzeć nie zdoła. Ale żyje we mnie jakieś mocne przekonanie, że chmura, za którą kryje się twoja gwiazda, rozplynie się, gdy nadejdzie właściwy czas, i że także moje słońce zejdzie ze swej niedostępnej drogi, by świecić już tylko dla mnie. Myślę, że możemy z ufnością czekać tej chwili, tymczasem zaś obowiązek nakazuje, aby wesprzeć ojczyznę, która w tym ciężkim dla siebie czasie powinna móc liczyć na naszą pomoc.

Twój wierny przyjaciel,

Maks Brandauer.

Karlshafen, 28 czerwca 18....

Drogi Maksie!

Wybacz mi, że rozpoczynam swój list w tak bezceremonialny sposób! Ale to dlatego, że chcę się podzielić z tobą moją radością. Wyobraź sobie tylko, że moja gwiazda ukazała mi swoje oblicze! Chmura przepadła! I ona, naturalnie nie chodzi mi o chmurę, mieszka teraz w moim domu! Wiem, że trudno będzie ci to pojąć bez dalszych wyjaśnień. Pozwól więc, że opowiem wszystko po kolei!

W dzień po moim powrocie, wyszedłem na spacer na nadbrzeżny bulwar. Możesz mi wierzyć, że myśli jakie nachodziły mnie w trakcie przechadzki nie były zbyt wesołe. Aż nagle spostrzegłem na redzie żagiel, który zbliżał się z taką prędkością, że natychmiast obudziło to moją marynarską ciekawość.

Nie trwało długo, a już potrafiłem rozróżnić poszczególne liny, potem; kadłub, aż wreszcie stało się dla mnie jasne, że jest to jacht o tak osobliwym takielunku, iż w żaden sposób nie potrafię określić jego typu. Ten mały, wysmukły statek liczący co najwyżej czterdzieści stóp długości posiadał tak wąski kil, że wyglądał na bardzo wytworny, szczególnie jeśli brać pod uwagę jego ożaglowanie. Musiał więc chyba być dowodzony przez jakiegoś śmiałego, a jednocześnie biegłego w sztuce żeglarskiej człowieka.

W końcu statek dopłynął do portu. Zatoczył zgrabny łuk i zatrzymał się akurat na wprost miejsca gdzie się znajdowałem. Spostrzegłem na tylnym pokładzie wysokiego, mocno zbudowanego, czarnobrodego mężczyznę, w tureckim stroju, którego rozkazy wypełniało czterech marynarzy tej samej narodowości, zajmujących się sterem i żaglami. Obok niego, w zielonym jedwabnym hamaku leżała mająca zasłoniętą twarz kobieta. Uwagę przyciągała widoczna w jej zachowaniu radość z powodu przybycia na miejsce.

Opuszczono żagle, statek oparł się mocno burtą o kamienny mur, na którym stałem i wreszcie rzucono na brzeg linę kotwiczną.

— Hej, człowieku! — zawołał Turek.

Ten okrzyk skierowany był do mnie. Musiał zapewne dostrzec, że mam na sobie marynarskie ubranie, w które lubię się ubierać, gdy jestem w domu. Jacht przyciągnął moją uwagę i dlatego spodobało mi się, że ten Turek uważa mnie za człowieka morza, włączającego się po nadbrzeżu i gotowego w każdej chwili zaciągnąć się na jakiś statek. W momencie znalazłem się na pokładzie. I teraz zdarzyło się coś tak niezwykłego, co jak mniemam, musiałyby wprowadzić w zdumienie nawet i ciebie. Turek przyjrzał mi się uważniej, po czym cofnął się zmieszany o krok do tyłu i krzyknął

— Brandauer! Przyjacielu, to... — przerwał w pół zdania i złapał się za głowę. — Zaraz, przecież to niemożliwe! A jeśli... to rzeczywiście jego syn... jak się nazywasz?

— Frick Wilmers — odpowiedziałem, idąc za jakimś niespodziewanym podszeptem, chciałem się dowiedzieć, skąd ten Turek może znać nazwisko Brandauer.

— Ach tak, jesteś Amerykaninem?

— Nie, Norlandczykiem.

— Co takiego? A znasz' nas Fürstenberg, stolicę kraju?

— Urodziłem się tam.

— A nazwisko, które podałem?

— Brandauer? Jest tylko jeden Brandauer, nadworny kowal księcia.

— Zgadza się! Wziąłem cię za jego syna, ponieważ wyglądasz zupełnie tak jak on gdy był młody. Jesteś marynarzem?

— Tak.

— Na jakim statku?

— Na żadnym. Teraz nigdzie nie jestem najęty.

— Podobasz mi się. Chcesz zaciągnąć się u mnie?

— Gdzie i na jak długo?

— Na czas mego pobytu tutaj. Będę mieszkał na zamku Falkenau.

Te słowa tak mnie zaskoczyły, że omal się nie zdradziłem. Ten człowiek był zatem Nurwanem Paszą, gościem mego ojca. Teraz dopiero wpadłem, przez tę moją nieustającą żądzę przygód, podając owo przybrane nazwisko. Ale przecież było jasne, że jako jego sługa będę miał o wiele więcej okazji by go wybadać, niż gdybym występował w roli gospodarza. Takie to myśli z prędkością błyskawicy przebiegały mi wtedy po głowie, dlatego też odpowiedziałem:

— Jeśli otrzymam godziwą zapłatę, to tak.

— Będziesz ze mnie zadowolony. Zgoda, załatwione?

— Zgoda!

— Jesteś tu znany?

— Tak sobie.

— Gdzie znajduje się zamek Falkenau?

— Tam u góry — wskazałem.

— Udaj się więc tam i zaanonsuj mnie. Oto mój bilet wizytowy. Czy wiesz jakie formalności załatwia się tutaj, kiedy przy pływa się statkiem? To dobrze. Zatrósz się więc także i o to, po tym jak zameldujesz; o moim przybyciu. Papiery statku leżą przygotowane w mojej kajucie.

Wziąłem bilet wizytowy, przeskoczyłem przez burtę na nabrzeże i pospieszyłem najbliższą drogą do zamku. Idąc czułem, że jestem niezwykle podekscytowany. Oto, kiedy stanąłem na pokładzie tuż obok wspomnianej ci kobiety, miły przyjemny zapach jaki płynął od jej szat, wydawał mi się dziwnie znajomy, chociaż za nic nie mogłem sobie uświadomić, gdzie wcześniej dane mi było go poczuć. Nad cienką, opuszczoną na twarz zasłoną, dostrzegłem duże ciemne oczy, które — miałem takie wrażenie przypatrywały mi się w jakiś szczególny sposób. Niczego już więcej, proc małych, obutych w eleganckie trzewiki stopek nie dostrzegłem. Jak to się stało, że ten mahometanin zabrał jedną ze swych żon, bo na pewno ta kobieta nią była, w

zagraniczną podróż? Musiał być albo bardzo zazdrosny albo wolny od uprzedzeń, które nakazują muzułmanom strzec żony i córki przed udziałem w życiu publicznym. I przy tym wszystkim jak się zdaje zrezygnował na czas podróży z wszelkich należnych mu wygód i dostatków, gdyż nie miał ani jednego służącego; marynarzy zaś za takich nie sposób było uważać, wszak zajęci byli statkiem.

Przybywszy do domu wydałem odpowiednie polecenia dotyczące przyjęcia mego gościa, szczególnie surowo zaś nakazałem swej służbie dochowania tajemnicy mego przybranego nazwiska. Dlatego też zabrany został z salonu mój, mogący zdradzić mnie portret. Poza tym moi ludzie na pytanie Nurwana Paszy mieli odpowiadać, że wyjechałem.

Zaledwie zdążyłem wydać rozkazy, zobaczyłem gości, którzy widać szli zaraz za mną, wchodzących przez bramę w ogrodzie. Boczna drogą udałem się więc na nabrzeże, aby zabrać papiery statku. Kiedy znalazłem się na pokładzie kazałem sobie pokazać kajutę kapitana i po chwili miałem dokumenty w ręce. Właśnie zamierzałem ruszyć z powrotem do zamku, kiedy zatrzymała mnie na jachcie, pewna niezwykła rzecz. Znajdująca się naprzeciw kapitańskiej kajuta, posiadała dębową ścianę, która gdy przypadkowo ją dotknąłem, wydała mi się zbyt nagrzana jak na panującą akurat pogodę. Zwróciło to moją uwagę, otwarłem więc przeciwległe drzwi, aby poznać przyczynę tej nadzwyczajnej ciepłoty. Jakież było moje zdziwienie, gdy w mroku jaki tam panował, spostrzegłem maszynę parową, której kocioł opalany był ropą, posiadał bowiem bardzo niewielką objętość. Teraz pojąłem skąd brała się ta nadzwyczajna prędkość jachtu. Pełne wykorzystanie żagli w połączeniu z siłą, której dostarczała maszyna parowa czyniła statek tak szybkim, że żaden inny nie mógł nawet marzyć, by móc go doścignąć.

W drodze do kapitana portu zastanawiałem się nad ową osobliwą okolicznością, że Nurwan Pasza zna twojego ojca oraz nad czymś jeszcze bardziej osobliwym, a mianowicie, że on mnie — nawet jeśli na krótką chwilę, właśnie z nim pomylił. Jak to możliwe? Chyba rzeczywiście Twój ojciec mając moje lata, musiał tak wyglądać jak ja obecnie. Byłby to z pewnością niezwykle wybryk natury. Zapomniałem wszakże, że ty w żaden sposób nie możesz odpowiedzieć mi na to pytanie, byliśmy przecież tak długo z dala od siebie no a wiadomo że z biegiem lat rysy człowieka zmieniają się i to nieraz bardzo znacznie. Zresztą to ciągle deliberowanie i tak na nic się nie zda. W każdym bądź razie chodzi tu o przypadkowe podobieństwo, na które akurat Nurwan Pasza zwrócił uwagę.

Gdy załatwiłem sprawy u kapitana portu, wróciłem z powrotem do zamku, a tam skierowałem swe kroki do pokojów przydzielonych paszy, po to aby powiadomić go, że jego polecenie zostało wykonane. W przedpokoju stał przyniesiony tu w międzyczasie przez

marynarzy ze statku, kufer; którego rozpakowywaniem zajęte były akurat dwie kobiety: nasza zarządczyni i dama, o której sądziłem, że jest jedną z żon paszy. Na odgłos moich kroków podniosła się i odwróciła.

Muszę przyznać, że zgłupiałem w tym momencie zupełnie i zachowałem się niczym kwadratowy osioł. Gdy moje spojrzenie padło na jej nie osłoniętą twarz, zatrzymałem się jak wryty. Przede mną stała owa zachwycająca istota, ku której w dzień biegły moje myśli, a w nocy marzenia, odkąd ujrzałem ją tamtego wieczoru nad Nilem!

Naturalnie musiał ją ten mój idiotyczny wyraz twarzy zdziwić, gdyż spytała trwożliwie:

— Co panu jest? O co chodzi? Już pan wrócił?

A ja znowu jak ten osioł zamiast coś powiedzieć, gapiłem się na nią, aż w końcu jej oblicze spłonęło rumieńcem. Podniosła rękę i opuściła zasłonę, spoza której doszły mnie wypowiedziane przez nią lekko zniecierpliwionym tonem słowa:

— Niech pan już idzie! Proszę czekać dalszych rozkazów; zarządczyni wskaże panu jego pokój.

Dopiero teraz doszedłem do siebie starając się ukryć gdzieś głęboko w mym wnętrzu paralizujące mnie uczucie zdumienia. Jak we śnie odwróciłem się i odszedłem.

Jesteś chyba w stanie wyobrazić sobie co działo się ze mną przez następne godziny. Oto ukochana, ubóstwiana przeze mnie osoba, której nie spodziewałem się już więcej ujrzeć, odnalazła się jednak! Ta, o której myślałem, że jest żoną paszy, to nikt inny tylko Sulejka! Aimée wyznała mi wtedy nad Nilem, że uratowana przeze mnie dama nie ma jeszcze męża. Zatem pasza zabrał ze sobą w podróż swą córkę. Mógłbym krzyczeć głośno z radości! A teraz ona była u mnie, w moim domu, tak blisko mnie! Do tego odniosłem wrażenie, że jej myśli niejedną raz krążyły wokół mojej osoby. Od naszego spotkania tylko jeszcze jeden raz widziałem ją z odsłoniętym obliczem ale czuję się tak, jakby często przyglądała mi się. Wtedy nad Nilem najpierw nie widziała mojej twarzy, potem gdy nieco oprzytomniała, nie było mnie już przy niej. Surowy wschodni zwyczaj kazał mi stamtąd odejść. Niemożliwe jest więc, aby mogła łączyć moją osobę z tym wydarzeniem. A jednak wierzę, że moja obecność znaczy dla niej coś więcej i jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy. Zarządczyni naszego zamku, z którą Sulejka szybko się zaprzyjaźniła, opowiadała, że pytała się o mnie.

Naturalnie, pomna mych wskazówek administratorka, udzieliła tylko bardzo ogólnikowych wyjaśnień, z czego rzecz jasna mój zachwycający gość nie mógł być zadowolony. Ale czy nie jest to zastanawiające? Pomyśl sobie, córka Nurwana Paszy zasięga informacji o jakimś nieznanym marynarzu! Być może znalazłbyś na to całkiem proste wytłumaczenie, że przecież to oczywiste, iż życzy sobie ona wiedzieć coś bliższego o służącym ojca, a z tego wcale nie

wynika, że jest w jakiś sposób mną zainteresowana. Możliwe, że to prawda, chociaż... chociaż! Z drugiej strony wiadomo, że uparty widzi wszystko po swojemu, a tonący chwyta się nawet źdźbła trawy.

Będziesz zdziwiony, gdy dowiesz się, że Nurwan Pasza, ulubieniec padyszacha, jest chrześcijaninem. Jak to możliwe i kim w rzeczywistości jest ten tajemniczy człowiek? Krążące o nim legendy można przyjąć ale z pewnym zastrzeżeniem, skoro nie mówią o nim nic ponad to, iż był odważnym człowiekiem mającym za sobą niezwykłą przeszłość. Zatem Nurwan pasza jest chrześcijaninem. Skoro tak, to oczywiste, że i jego córka wyznaje tę samą wiarę. Od mojej zarządczyni dowiedziałem się, że Sulejka była jeszcze mała, gdy umarła jej matka, i że dorastała w zupełnej samotności, w Konstantynopolu. Jest jedynym dzieckiem paszy, który kochają miłością bezgraniczną. Nigdy nie zabierał jej na swe morskie wyprawy, za wyjątkiem tego właśnie, jednego razu. Aż do tej pory nie bywała w żadnym towarzystwie, wydaje jej się zresztą, że nie tęskni za czymś takim, za największe swe szczęście, uważa zaś to, że znajduje się pod opieką swego ojca.

To wszystko, czego się o niej dowiedziałem, a jak na kochającego człowieka to o wiele za mało. Och, ty moja tajemnicza istoto! Jak wspaniale byłoby, gdybym mógł zrzucić moją maskę i znaleźć się przed tobą z tym radosnym wyznaniem: Sulejko, kocham cię! I mam prawo ci to powiedzieć, bowiem to ja byłem tym, który wydobył cię z nurtów Nilu! Ale moje usta muszą milczeć niczym grób, jednak nie ulega wątpliwości, że właśnie w roli wiernego sługi, a niejako podejmujący swego gościa gospodarz, będę mógł dowiedzieć się czegoś więcej o zamiarach Nurwana Paszy.

Pewnego razu trafiła mi się okazja, dzięki której miałem szansę wniknąć w tajemnicę mojego gościa. Ale wybacz Maksie, nie byłem w stanie tego uczynić. Jestem marynarzem i najchętniej żegluję po wyznaczonym kursie, jeżeli spotkam coś na drodze, wtedy staram się o tym dowiedzieć, ale żeby naruszyć tajemnicę czyjś listu — nie, to nie byłoby w porządku. I cieszę się, że tego nie uczyniłem! Nie mógłbym potem, memu przyszłemu teściowi, nie śmieć się Maksie, gdyż ja rzeczywiście już o nim myślę w ten sposób, spojrzeć prosto w oczy, gdybym miał coś takiego na sumieniu. Być może, w skutek tego straciłem okazję, by przysłużyć się mojej ojczyźnie, ale jestem przekonany, że nie będzie wzięte mi to za złe, ponieważ nie chciałem za żadną cenę zawieść zaufania, jakim mnie obdarzono.

Wieczorem następnego dnia, pasza wręczył mi list, nakazując dostarczyć go jak najszybciej na książęcy dwór, tak wszakże, aby trafił on bezpośrednio do rąk władcy Süderlandii. Było już za późno i następny pociąg do Katharinenstadt miał odejść dopiero rankiem. Ale cóż to przeszkadzało? W stajni czekał przecież mój arabski ogier. Biorąc go do pomocy, z łatwością

mogłem spełnić powierzone mi zadanie jeszcze tej nocy. I właśnie wtedy naszła mnie taka myśl, aby otworzyć list... Ale trwało to tylko jedną chwilę, już w następnej odrzuciłem precz tę niechlubną pokusę. Przygotowałem się do drogi i nie minął kwadrans gdy ruszyłem do stolicy. O północy moja misja w książęcej siedzibie dobiegła końca i w godzinę po wschodzie słońca moim oczom ukazał się ponownie zamek w Falkenau. Gdy już dojeżdżałem, dostrzegłem na balkonie dwie postacie, to pasza i jego piękna córka właśnie tam spożywali śniadanie. Prawie w tej samej chwili dobiegł mnie od strony miasta, donośny gwizd i zaraz potem ujrzałem jak wijący się niczym wąż boa pociąg zawraca najpierw ku wybrzeżu, by następnie zniknąć wśród gór. To właśnie z tego pociągu miałem skorzystać, gdybym zamierzał zwlekać z oddaniem owej pilnej przesyłki aż do rana.

Gdy wjechałem na dziedziniec zamku pasza i Sulejka, oczywiście z zasłoną na twarzy, czekali już na mnie, stojąc na szerokich, granitowych schodach. Kazałem memu ogierowi podejść bliżej, po czym zeskoczyłem na ziemię.

Nurwan z twarzą aż czerwoną od złości wystąpił ku mnie i spytał:

— Do kogo należy ten koń?

— Do barona Falkenau.

— Kto pozwolił ci go dosiąść?

— Zarządczyni.

— Ach tak! Powołując się na mnie odbyłeś sobie konną przejażdżkę, podczas gdy ja wysłałem cię do stolicy, jak mi się zdaje? Jesteś nieposłusznym sługą, a takiego nie potrzebuję. Zwalniam cię!

— Rozkaz ekscelencjo! — bez słowa, odwróciłem się na pięcie i ruszyłem z miejsca, zdążyłem jeszcze zauważyć, że Sulejka, jakby o coś prosząc położyła rękę na ramieniu ojca.

Ten nie spodziewał się widocznie tak bezzwłocznego odejścia swego „służącego”, gdyż nie zrobiłem jeszcze pięciu kroków, kiedy usłyszałem:

— Wilmers! Odwróciłem się znowu.

— Ekscelencjo?

— Dlaczego teraz od razu posłuchałeś?

— By udowodnić, że nie jestem nieposłusznym sługą.

— Jeśli nie jesteś, to dlaczego nie pojechałeś teraz, tym pociągiem do stolicy, po to, aby doręczyć pilną przesyłkę?

— Ekscelencja nie kazał mi nim jechać.

— Czyż nie rozkazałem ci, abyś dostarczył ten list możliwie jak najszybciej? Wieczorem nie było już żadnego pociągu, zatem...

— Zatem udałem się do stolicy konno, ekscelencjo!

— Konno? W tak daleką podróż? To niemożliwe?

— Na takim koniu wszystko jest możliwe. Właśnie wróciłem, a list został przekazany jeszcze o północy.

— To znaczy, że książkę będzie go czytał jeszcze dziś. Przyznaję, myliłem się i skoro sprawy tak się mają, to jestem z ciebie zadowolony. Zostajesz!

— Rozkaz, ekscelencjo!

I zostałem. Oczywiście wyśmiejesz mnie, jeśli ci powiem, że czułem się szczęśliwy, iż potrafiłem sprawić zadowolenie memu „teściowi”, chociaż byłem tylko jego służącym. Tysiąc razy szczęśliwszym czyniło mnie wszakże spostrzeżenie, że Sulejka wstawiła się za mną, a to wystarczyło, aby jej ojcu minęła złość. Sądzisz więc, że uczyniła to z czystej sympatii dla mnie? Z takiej sympatii może się pewnego dnia narodzić nawet miłość. I jeżeli ja dopiero... nie, nie chcę tym tonem, mogę cię jednak zapewnić, że zaczyna mi się coraz bardziej w mojej roli podobać.

Od tego dnia cieszyłem się już szacunkiem paszy. Mam wszakże wrażenie, jakby w tym wszystkim chodziło jeszcze o coś innego. Pasza przyglądał mi się czasami w bardzo dziwny sposób. Być może domyśla się, że nie jestem tym, za kogo się podaję? Albo i też zastanawiał się nad naszym pierwszym spotkaniem, kiedy to wziął mnie za kogoś kto nosi twoje nazwisko...? Gdy mu usługuję to zdarza mi się niekiedy zauważyć, jak jego nieobecny wzrok błądzi nie wiadomo gdzie. On sam potrafi się przez długi czas zupełnie nie odzywać jak człowiek, który wraca ciągle myślami do jakichś odległych i dawno minionych zdarzeń.

Tymczasem przypadek sprawił, że „służący” zyskał u ojca i jego córki jeszcze większe poważanie.

Znasz młodego hrabiego Hohenegg i być może wiesz, że obecnie zatrzymał się ale, z jakiego powodu to nie wiem, w Katharinenstadt. Możliwe, że za sprawą jego szaleństw zaczęła mu się w Norlandii palić ziemia pod nogami, postanowił więc przenieść się gdzieś indziej. Także tutaj nie zasypuje gruszek w popiele i z wolna jego przezwisko „szalony hrabia” staje się znane również i w Süderlandii. Dowiedziałem się tego wszystkiego już po moim przyjeździe, nie podejrzewając nawet, że wkrótce będę miał z nim bardzo niemiłe, przynajmniej dla niego spotkania.

Było to wczoraj po południu, gdy przypadkiem — a może nie, gdyż wiedziałem, że Sulejka tam poszła — skierowałem swe kroki do ogrodu. Nie uszedłem daleko, gdy doszły mnie czyjeś głosy, jeden pełen namiętności, męski i drugi kobiecy. Podeszedłem bliżej miejsca, skąd było je słyhać i dostrzegłem znajdującą się niedaleko mnie, za jakimś krzakiem, Sulejkę. Obok niej

stał „szalony hrabia”. Trzymał dziewczynę za rękę, ta zaś wyglądała na wielce zakłopotaną sytuacją w jakiej się znalazła. Jej policzki pokryte były rumieńcami, ona zaś rozglądała się wkoło jakby mając nadzieję ujrzyć kogoś, kto mógłby wybawić ją z tej opresji. Ze zdenerwowania zapomniała opuścić zasłonę tak, że wyraźnie widziałem jej rysy.

Jak hrabia znalazł się tutaj? Jego obecność mogłem tłumaczyć sobie tylko tym, że przyszedł mnie odwiedzić, jakkolwiek wydawało mi się to nieprawdopodobne, gdyż stosunki pomiędzy rodzinami Hoheneggów, i Falkenau nie układały się zbyt dobrze.

Przybyłem tu w odpowiednim momencie, gdyż mogłem słyszeć hrabiego jak mówił:

— Panienko, proszę nie zabierać tej rączki! Muszę ją ucałować! Pani nie wie nawet z jaką siłą działa na każdego, kto znajdzie się blisko pani, jej spojrzenie...

— Hrabio, niech mnie pan puści! — krzyknęła Sulejka próbując nadaremnie wyswobodzić swą rękę z jego uścisku.

— Puścić panią? Nie, będę trzymał panią przepiękna istotą, aż jej usta...

— Niech pan natychmiast opuści to miejsce, w przeciwnym bowiem razie zacznę wzywać pomocy!

— Ależ niech pani wzywa, mój aniele! Nikt pani tutaj nie usłyszy...

Dwoma susami znalazłem się tuż za nim.

— Nie trzeba będzie wzywać pomocy, gdyż ta już nadeszła. Proszę zostawić tę panią w spokoju i puścić ją!

Zaskoczony hrabia odwrócił się. Wcześniej widywał mnie bardzo rzadko, a ponadto byłem teraz w stroju marynarza, co mogło zmylić, jeśli się mnie nie znało. Naturalnie nie uważał on jakiegoś tam marynarza, za kogoś kim należy się w najmniejszym choćby stopniu przejmować. Śmiejąc się szyderczo objął Sulejkę lewym ramieniem i przyciągnął ją do siebie, zamierzając pocałować. Nic więcej wszakże nie udało mu się zdziałać, gdyż chwyciłem go i oderwałem od dziewczyny z taką siłą, że upadł. Podniósł się szybko i rzucił na mnie.

— Psie, na co się poważyłeś?! Zaduszę cię!

Chciał mnie złapać rękami za szyję, otrzymał jednak bokserki cios w podbródek, po którym runął na ziemię. Uderzenie pięścią dokończyło dzieła. Niecny łajdak leżał teraz bez przytomności na ogrodowej murawie. Gdy się już z tym uporałem Sulejka zdążyła uciec.

Zostawiłem hrabiego i ruszyłem w stronę prowadzącej do ogrodu furtki; nie dotarłem tam jeszcze, gdy ujrzałem zbliżającego się ku mnie paszę, któremu towarzyszył zarządca. Sulejka przybiegła do ojca w wielkim pośpiechu, wszystko mu opowiedziała i pasza natychmiast chciał dać przykładową nauczki łobuzowi, który odważył się znieważyć jego ukochane dziecko. Po drodze przyłączył się doń zarządca.

Nie widziałem jeszcze nigdy człowieka ogarniętego taką wściekłością jak pasza. Jego oczy rzucały na mnie błyskawice, jakbym to ja był owym zoczyńcą, policzki miał blade ze wzburzenia, zaś czarna broda falowała gwałtownie.

— Ekscelencjo, nie musi pan już wymierzać sprawiedliwości temu łajdakowi — krzyknąłem. — Już poniósł karę z mojej ręki.

— Gdzie ten łobuz?

— Leży tam, w głębi ogrodu.

Nie zwracając więcej uwagi na moją osobę ruszył, mijając mnie gwałtownie, zarządca zaś i ja pospieszyliśmy za nim. Kiedy dotarliśmy na miejsce, hrabia nie odzyskał jeszcze przytomności i leżał w tej samej pozycji w jakiej go zostawiłem. Pasza przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, następnie z miną pełną niewypowiedzianej pogardy trącił nieprzytomnego nogą i zwrócił się do zarządcy.

— Jak ten człowiek się tu dostał?

Zapytany zmieszał się nieco.

— Ekscelencjo, hrabia przybył przed godziną i spytał o młodego pana barona. A gdy odpowiedziałem mu, że łaskawy pan wyjechał, wówczas... wówczas...

— Co wtedy?

— Wówczas... starał się dowiedzieć co wiem o panu, ekscelencjo i powodach pańskiej wizyty w Süderlandii.

— Dalej!

— Nie udzieliłem mu rzecz jasna żadnej informacji, oznajmiając jedynie; że może przecież zwrócić się z tym do pana ekscelencjo, osobiście. Zaśmiał się wtedy i stwierdził, że wątpi czy pan poszedłby mu aż tak bardzo na rękę. Następnie poszedł. Jak znalazł się w ogrodzie, tego nie wiem. Być może zobaczył wielmożną panienkę, która ma zwyczaj spacerować tam o tej porze i poszedł za nią.

— Chyba rzeczywiście tak musiało być. Frick wiedziałeś, że on jest hrabią?

— Tak, panienska tak się do niego zwracała.

— I mimo to odważyłeś się wystąpić przeciw niemu? Jesteś dzielny i młodzieńcem i ja nie zapomnę ci tego. Panie zarządco, nie chcę więcej widzieć tu tego człowieka! I niech pan się tym zajmie, żeby tu dłużej nie leżał! A gdyby chciał ze mną rozmawiać, to proszę mu oznajmić, że nie oczekuję jego wizyty.

No i co powiesz o tych moich przygodach? Czy coś podobnego niej mogłoby się zdarzyć w jakimś romansie? Być może nie zgodzisz się z tym poglądem i odpowiesz mi, że pobyt ukochanej w mym domu łatwo wyjaśnić, skoro dałem wtedy nad Nilem towarzysze Sulejki

swój bilet wizytowy, z którego mogła się dokładnie dowiedzieć o moim pochodzeniu i mojej ojczyźnie. Kiedy więc pasza przybył do Süderlandii było oczywiste, że zatrzyma się w domu wybawcy jego córki. A to, że został on ponadto zaproszony przez mego ojca do złożenia wizyty na zamku w Falkenau, mogło być przecież rezultatem dyplomatycznych zabiegów paszy tak, że spotkania z ukochaną bynajmniej nie należy uważać za jakiś cud. Być może takie przypuszczenie jest słuszne, wszakże coś buntuje się we mnie i nie pozwala mi się z tym zgodzić. Jak bowiem należy w takim razie rozumieć to, że ta młoda Turczynka nigdy nie pyta o młodego barona Falkenau? W tej kwestii dokładnie wybadałem naszą zarządczynię, a ona wyznała mi, że córka Nurwana przyjęła wiadomość o wyjeździe młodego pana z całkowitą niefrasobliwością, by nie powiedzieć, obojętnością. Jak to więc możliwe, skoro ona wie, że to ja, czyli baron Falkenau uratowałem jej życie? Nie, mój drogi, jestem przekonany, że ona nie poznała nazwiska swego wybawcy i dlatego uważam spotkanie z nią za cudowne zrządzenie losu.

Drogi Maksie, moja szczęśliwa gwiazda nie świeci już w niedosięgłej dali. Znajduje się teraz blisko mnie, prawie na wyciągnięcie ręki. Stało się to tak nagle i niespodziewanie, że jeszcze nadal nie mogę w to uwierzyć. I z tego właśnie powodu, a także w przeczuciu czekającego mnie szczęścia zwracam się do ciebie; wierz i miej nadzieję także i ty! Chociaż w Twoim liście nie podałeś żadnych nazwisk, natychmiast odgadłem kim jest ta, która spętała Cię więzami miłości. I byłem zdziwiony muszę to przyznać, że odważyłeś się skierować swe oczy na... Byłem zdziwiony, ale nie zaskoczony. Bowiem, mimo swego młodego wieku, zbyt wiele obracałem się poi świecie, by nie wiedzieć, że liczy się nie tylko szlachetne urodzenie, ale i szlachetny duch. I jakkolwiek to pierwsze jest mi przynależne, to nie jestem, przecież aż tak zarozumiały, bym nie mógł całkiem szczerze przyznać iż szlachetny duch jest czymś wyższym. Co się tyczy tego ostatniego to jesteś równy każdemu hrabiemu i każdemu księciu. Nazywam się twoim przyjacielem i jestem dumny z tego, że mogę ci to powiedzieć, i jako Twój przyjaciel właśnie, życzę ci z całego serca żeby to twoje najskrytsze marzenie spełniło się. Naturalnie nie mogę wiedzieć, kiedy i jak. Podobnie jest zresztą i w moim przypadku. Ale to nie szkodzi. Teraz bowiem jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy. Jeśli idzie zaś o przyszłość to wszystko jest w rękach opatrności.

Nie możesz wszak drogi Maksie odmówić mi jednej rzeczy. Otóż moje listy są o wiele bardziej szczegółowe niż twoje. To prawda, że nie jestem skrępowany żadnymi ważnymi tajemnicami państwowymi. No i do tego, mam czas na pisanie. Pasza nie nakłada na mnie zbyt wielu obowiązków, zostaje mi więc sporo wolnych godzin, które wykorzystuję najchętniej, pisząc do ciebie o mojej miłości i o mym szczęściu. Jeszcze do niedawna nie wiedziałem, a

nawet nie przypuszczałem czym jest prawdziwa miłość. Teraz już wiem i czuję, to co ty wiesz i czujesz. I znam cię zbyt dobrze, aby nie być przekonany, iż twoje uczucie jest szczerze i głębokie.

Bądź pewien, że nikt bardziej nie sprzyja twoim życzeniom i marzeniom niż Twój szczerze oddany ci przyjaciel,

Artur von Falkenau.

PS. Już miałem wysłać mój list, gdy usłyszałem nowinę. Jutro wyjeżdżamy. Gdy mówię wyjeżdżamy to mam na „myśli”: paszę, jego córkę i mnie. Ten pierwszy otrzymał list, który wprowadził go w niezwykle podniecenie, zaraz potem kazał pakować się do drogi. Cel podróży na razie nie jest mi znany. Pasza czyni wszystko bardzo dyskretnie tak, że dowiedziałem się jedynie, iż wyruszamy w góry. Najpierw chciał udać się w tę podróż sam, ale Sulejka tak długo go prosiła, aż zgodził się zabrać ją ze sobą. Postawił jednak warunek, abym ja jej towarzyszył, gdyż może się zdarzyć tak, że będzie musiał na pewien czas odłączyć się od niej, a nie chciałby pozostawiać jej bez opieki. Wiesz już teraz jak bardzo się cieszę z tej podróży. Krew uderza mi do głowy na samą myśl, że ta wspaniała istota zostanie przynajmniej na tydzień powierzona mojej opiece, tak długo, zdaniem paszy, potrwa prawdopodobnie ta podróż. Pytanie, czy wiąże się ona z jakimiś dyplomatycznymi planami? Muszę mieć po prostu oczy i uszy otwarte. Jestem przecież tylko służącym, a przed kimś takim nie zawsze mówi się wszystko bez ogródek.

Pora wszak kończyć; pasza zadzwonił właśnie po mnie; na pewno będę j pomagał mu w przygotowaniach do podróży.

Drogi Maksie w nadchodzących dniach będę bardzo szczęśliwy.

Twój Artur.

W CYGAŃSKIM ZAMKU

Księstwo Norlandii dzieli od sąsiadującej z nim Süderlandii, biegnący dwoma równoległymi pasmami z zachodu na wschód, łańcuch gór. Biorą one swój początek gdzieś w dalekich bagnistych dolinach i podnoszą się potem z wolna, coraz wyżej i wyżej, dochodząc w ten sposób w swej środkowej części do znacznej wysokości, stamtąd zaś stopniowo zaczynają opadać ku wybrzeżu, by tam wreszcie zanurzyć swe kamienne stopy w morskich falach. Oba główne pasma, przecięte przez kilka wąskich, trudno dostępnych przełęczy, tworzą pomiędzy sobą długi rząd dolin i wąwozów, do których rozgrzane słoneczne promienie przenikają tylko w południe. Pokrywają je, wyrastające z wilgotnego podłoża, jodłowe i sosnowe lasy, w które z rzadka tylko wstępuje ludzka noga; a jeśli już czasem da się tam usłyszeć szelest czyichś kroków, to najczęściej należeć będą do kłusownika lub przemytnika, który w tej okolicy chętnie oddaje się swemu zajęciu także w biały dzień.

Czasami, dla doraźnych celów i większego bezpieczeństwa powstawały całe grupy szmuglerów; przedzierały się więc potem przez góry i doliny, krzaki i zarośla, długie szeregi dobrze uzbrojonych i obładowanych towarem postaci, gotowe w każdej chwili z karabinem w rękę, bronić powierzonego im ładunku.

Cały ten przemyt spowodowany był, toczącą się właśnie pomiędzy sąsiadującymi za sobą księstwami, wojną celną. Posiadając bardzo podobne bogactwa naturalne, leżąc nad tym samym morzem, były oba te państwa skazane na wieczną rywalizację. Nie brakowało wprawdzie, płynących z dobrej woli prób ustanowienia przyjacielskich stosunków, ale przynosił one rezultat krótkotrwały, gdyż jak się wydaje graniczące ze sobą narody ogarnięte były wzajemną niechęcią.

Fryderyk Ernest, książę Süderlandii był człowiekiem, który udanie kontynuował rodzinne tradycje rządu, skupiając w swym ręku pełnię władzy i nie wtajemniczając nikogo w swe plany. Każdy jego rozkaz stanowił wierne odbicie przypisywanej Ludwikowi XIV sentencji: „Państwo to ja”. Fryderykowi Ernestowi zależało najbardziej na tym, aby chronić mieszkańców Süderlandii przed wszelkimi obcymi wpływami i żeby rządzony przezeń kraj gotowy był zawsze, przeciwstawić się każdemu płynącemu z zewnątrz niebezpieczeństwu.

Być może takie postępowanie wynikało po części z prowadzonej już od kilku dziesięcioleci i stanowiącej jedno wielkie wyzwanie polityki sąsiada, o której decydował obecnie nie kto inny, a sam hrabia Hohenegg.

Wilhelm IV, księżę Norlandii, był władcą o tak łagodnym usposobieniu jak żaden dotąd z jego poprzedników. Niestety dobroć jego serca nie pozostawiała zbyt wiele miejsca dla stanowczości i surowości jaką posiadać musi człowiek decydujący o sprawach najwyższej wagi państwowej. Łaskawość którą księżę wyrażał jednemu, ktoś inny brał za swą krzywdę, a nierzadko i za niesprawiedliwość, co prowadziło do tego, że część mieszkańców Norlandii ubóstwiała swego władcę, podczas gdy inni, kryjąc się co prawda ze swoim niezadowoleniem, z utęsknieniem oczekiwali politycznej odmiany.

Książęca rodzina należała do starej linii dynastii, młodszą tworzyli i hrabiowie Hohenegg. Zgodnie z obowiązującym od dawna prawem gdyby starsza linia wymarła, oni właśnie doszliby do władzy. Obecnie zaś wszystko na to wskazywało, a mówiąc inaczej należało się tego właśnie oba wiać. Książęca para nie została obdarzona potomkiem, ich jedyne dziecko, córka zmarła kilka dni po narodzeniu. Natomiast hrabia von Hohenegg, który wychowywał się wspólnie z księciem, potrafił doskonale wykorzystać nieograniczone wprost zaufanie jakim się cieszył. Obejmując urząd premiera stał się faktycznym władcą kraju i teraz czekał tylko na śmierć księcia, po to by albo samemu zająć jego miejsce, albo usadowić na nim swego syna. Rozumiejąc doskonale nadarzającą się okazję, trzymał w ręku wszystkie nitki władzy; podporządkował sobie armię, posiadał także daleko idący wpływ na politykę zagraniczną. On też właśnie ponosił wyłączną winę, za tak źle układające się stosunki z sąsiednim państwem. Niemalę zdziwienie wywołała więc wiadomość, iż to jego wyłącznym staraniom zawdzięczać należy obecny przyjazd następcy tronu Süderlandii i księżniczki Asty do Fürstenbergu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wizyta ta miała tło polityczne.

* * *

Było już po południu. Dwóch wędrowców podążało wyboistą, górską drogą, która wiodła tutaj aż znad morza i przeciskała się teraz między mrocznymi masywami gór niczym koryto wyschniętego potoku, z którego usunięto największe skalne bloki, aby uczynić go łatwiejszym do przejścia. Podróżni sprawiali wrażenie starych znajomych aczkolwiek ich wygląd zewnętrzny stanowił jaskrawe przeciwieństwo.

Pierwszy z nich był wysokim barczystym mężczyzną. Miał mocno zarośniętą, ogorzałą twarz i bystre szczere oczy, które doskonale pasowały do jego łagodnych rysów. Na głowie nosił bardzo stary kapelusz, którego kolor i gatunek trudny był do określenia. Tułów wędrowca tkwił w ciasnym, seledynowym surducie, którego rękawy były tak krótkie, że odsłaniały spory

kawałek rękawów koszuli, z których z kolei wyglądała para ogromnych, opalonych rąk. Spod szeroko wyłożonego na surduta kołnierzyka koszuli pobłyskiwała chusteczka w białe i czerwone pasy. Do tego nosił jaskrawo żółte spodnie z nankinu i marynarskie, oblepione smołą buty. Idąc kołysał się na boki, tak jak to mają w zwyczaju marynarze, którzy przez wiele lat nie czuli twardego gruntu pod nogami.

Drugi z nich był niewysokiej, ale smukłej postury. Nosił czerwoną, fryzyjską czapkę, spod której wysypywały się długie loki kruczoczarnych włosów. Twarz miała wyraźnie cygańskie rysy, a jego ciemne oczy nie były spokojne nawet przez chwilę. Miał na sobie wygodne ubranie, co bardzo różniło go od olbrzymiego towarzysza. Jedyne ten kołyszący się chód przywodził na myśl dalekie morze i marynarskie zwyczaje...

Byli mniej więcej równi wiekiem, a i myśleli chyba w podobny sposób, na co wskazywał przyjacielski ton ich rozmowy.

— Przekłeta droga, nieprawdaż? — odezwał się olbrzym. — Nigdy bym w to nie uwierzył, że każdy krok może przypominać zderzenie statku z jakąś rafą. Czy ten rejs był rzeczywiście konieczny?

— Muszę się dostać tam, w góry — odrzekł mniejszy. — Jednak mogłeś w tej ostatniej gospodzie zarzucić kotwicę i poczekać na mnie.

— Zarzucić kotwicę? Czyżby cię ugryzł duch okrętowy? Naprawdę sądzisz, że pozwoliłbym tak dzielnego marynarza jak ty wypchnąć na to odludzie, gdzie w każdej chwili grozi mu utonięcie? A kto inny jak nie ty opowiadał mi, że kręci się tu mnóstwo łajdaków i obwiesiów, którym nie można dowierzać, a szmuglerzy i kłusownicy, oni też potrafią się zamienić w piratów. Nie, tam gdzie jesteś ty, jestem i ja, sternik Baldwin Schubert.

— W porządku, jesteśmy przyjaciółmi i będziemy mmi na dobre i złe, dopóki ty znów nie zaciągniesz się na jakiś statek.

— Ja? — spytał zdziwiony Schubert. — Tylko ja? Myślę, że uczynimy to obaj? Czy przypadkiem nie wzięła cię ochota, by wrócić do swoich i zostać szcurem lądowym?

— Wiesz dobrze, że kocham morze, ale dziś nie mogę jeszcze powiedzieć, czy pewne sprawy nie zatrzymają mnie tutaj

— Sprawy? Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! A cóż to za sprawy, mogłyby przeszkodzić komuś takiemu jak bosman Karavey pływać znów po morzach?

— Ano te same, które wyгнаły mnie na wodę i zapędziły aż tutaj.

— Nic a nic o tym nie wiem. Nazywałeś mnie swoim najlepszym przyjacielem, a nie pisałeś na ten temat nawet najmniejszym słowem. Czy to w porządku? Jeśli mi tu zaraz nie powiesz co i jak, to zasłużysz sobie jak nic na to, aby cię przeciągnąć pod okręt.

— No, tylko się nie obrażaj, stary! Wcześniej nie było sensu o tym mówić; teraz wszakże możesz dowiedzieć się wszystkiego.

— No to dobijaj do brzegu!

— Już się robi! Znasz moje pochodzenie i wiesz, że jestem Cyganem, który...

— Głupie gadki! Gitano, Zingaro czy Cygan, wszystko mi jedno! Jesteś dzielnym druhem i ja nie pytam, czy twoja matka była hrabiną czy włóczęgą... chciałem powiedzieć Cyganką.

— No, ty tak;! Ale prócz ciebie istnieją ludzie, którzy zawsze o to pytają. Mój ojciec był *vajdą*, a matką *vajdziną* naszego plemienia. Ja i...

— Stój, stary! Co znaczą te obce słowa?

— Po niemiecku oznaczają one tych, którzy rządzą, stoją na czele plemienia bądź narodu. Ja i moja siostra byliśmy jedynymi dziećmi jakimi obdarowała naszych rodziców Bhowannie.

— Znów jakieś straszne słowo, przy którym można sobie język połamać, jeśli chce sieje prawidłowo wymówić.

— Bhowanie jest boginią naszego narodu. Lilga była ulubienicą całego plemienia, najpiękniejszą ze wszystkich jego dziewcząt. Dawała nam radość i przynosiła szczęście. Najlepiej też umiała patrzeć w przyszłość i przepowiadać los jaki czeka zwykłych śmiertelników. Bardzo wiele młodzieńców z naszego plemienia kochało się w niej, ale ona nie zwracała uwagi na żadnego z nich. A gdy przybyliśmy do Fürstenbergu, to tam właśnie poznała młodego i przystojnego hrabiego, dla którego straciła swe serce.

— Kto to był?

— Pewien wysoko urodzony człowiek, ale łajdak: hrabia von Hohenegg.

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! Może myślała, że zostanie hrabiną?

— Czego jej tam naobiecował, to nie wiem. Ona dała się zbałamucić, opuściła nas i poszła za nim.

— Nie kazaliście jej wrócić z powrotem?

— Chcieliśmy ją stamtąd zabrać, ale się nie dało.

— No przecież zaraz mnie chyba diabli wezmą! Gdybym był jej ojcem albo bratem, stanąłbym z hrabią pokład w pokład i nie obyłoby się rzecz jasna bez abordażu, potem związałbym dziewczynę mocno liną kotwiczną i odpłynąłbym tak szybko, że tamten nie dogoniłby mnie nigdy.

— Hop, hop, hop stary zuchu! Gdyby Cygan chciał przeciwstawić się hrabiemu, to byłby równie szalony jak ten kto w łodzi rybackiej o jednym wiośle chciałby przewrócić pancernik. Musieliśmy pozwolić jej odejść, a sami opuścić okolicę. Kiedy ojciec i matka zmarli, ja miałem zostać *vajdą*, zrezygnowałem jednak z tego i pozostawiłem moich swemu losowi. Ale w końcu

wróciłem, aby spełnić wolę umierającego ojca, zgodnie z którą miałem strzec Lilgi i pamiętać o zemście, gdyby spotkało ją coś złego. Spróbowałem wkroczyć się do pałacu hrabiego, ale zostałem pochwycony i na długi czas wsadzony do więzienia. Kiedy z niego wyszedłem to wcale nie odzyskałem wolności, bowiem siłą zaciągnięto mnie na statek, którego przez wiele lat nie udało mi się opuścić. Tak więc spędziłem na morzu pół życia jako więzień, aż pewnego razu zostaliśmy zaatakowani, doszło do abordażu i musieliśmy się poddać. Dzięki temu odzyskałem wolność; przyjmowałem potem służbę pod różnymi banderami, czekając okazji by móc wrócić do swoich. Teraz mi się to udało i nie ruszę stąd wcześniej, zanim nie porachuję się z hrabią i nie dowiem się jaki los spotkał moją siostrę.

— A kogo chcesz o to pytać, hrabiego? To należało kierować się ku stolicy, a nie pchać się na te przeklęte rafy.

— Hrabia to ostatni człowiek, który powiedziałby mi coś pewnego na ten temat. Nie, pójdę do naszego *lowenji*.

— A co znaczy to słowo z kolei?

— To znaczy mnie więcej, że to człowiek, który ukrywa, chroni.

— Czyli paser albo rajfur? — zaśmiał się sternik.

— Czemu nie! Cygan jest przecież jak ścigane zwierzę, które broni się ile tylko może, jeżeli nie pyta nigdy o prawo. Nasz *lowenji* mieszka na granicy, a *lowenja* jak nazywamy jego chatę nigdy nie może stać opuszczona. Dlatego gdy jeden umiera, jego miejsce zajmuje następny, aby nigdy nie brakowało nam schronienia i pomocy Nowy *lowenji* dziedziczy wszystkie tajemnice swego poprzednika i zawsze go można pytać o wszystko, czego chcielibyśmy się dowiedzieć.

— I czy taka *lowenja*, do pioruna cóż to za słowo, że nie idzie go wymówić, leży na naszym kursie?

— Tak, jeszcze dwie godziny i dojdziemy do niej.

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! Jeszcze dwie godziny? I mówisz to tak spokojnie jakbyś nie wiedział co znaczy głód i pragnienie. Czuję się w środku jak jakiś trójmasztowiec bez ładunku i balastu, który unoszony falami, w każdej chwili gotów jest wywrócić się i pójść na dno.

— Aż tak źle to chyba nie będzie — pocieszał sternika Karavey. — Wstrzymasz póki nie dojdziemy na miejsce. A tam na pewno znajdziemy coś, co będziemy mogli wrzucić i wlać do naszych pustych luków.

— W porządku, wiem, że nie da się inaczej! Ale co będzie jeżeli uda ci się spełnić twe zamiary? Czy wtedy powrócisz znów na statek?

— Naturalnie, jeśli... jeśli sam nie stracę życia — odparł ponuro towarzysz olbrzyma. — W każdym razie nie musisz na mnie czekać. Wiem, że chciałbyś jak najprędzej wziąć znów marynarski żołd i dlatego nie zamierzam być ci dłużej przeszkodą. I tak uczyniłeś dla mnie więcej niż mogłem oczekiwać, ruszając razem ze mną w góry.

Sternik nic na to nie odpowiedział. Karavey zamilkł taktownie. Miał bowiem powód, by wypchnąć z lądu na jakiś statek swojego przyjaciela, chociaż ten dopiero co poczuł ziemię pod nogami.

To była już stara historia. Przed czterema laty sternik, jeszcze wtedy bosman, poznał w pewnym porcie dziewczynę, w której się zakochał i postanowili się pobrać. Ślub miał się odbyć zaraz, gdy tylko on na morzu zarobi tyle, aby móc utrzymać żonę. Wrócił więc na statek i od tamtej pory nie słyszał więcej o swej narzeczonej, czym zresztą wcale się nie przejmował. Nie był człowiekiem nawykłym do pióra i wolałby, jak to miał w zwyczaju powtarzać, wypić tonę słonej wody, niż męczyć się nad tym, aby pokryć atramentem papier. A, że i jego oblubienica nic do niego nie pisała uznał, że widocznie ona też posiadała niechęć do wypisywania epistoł. O czym to zresztą mieliby do siebie pisać? Dla niego sprawa była jasna; albo ona, albo żadna i każde słowo więcej było zbyteczne. Gdzieś przed tygodniem, po długiej morskiej podróży z kieszeniami pełnymi pieniędzy zeszli obaj na ląd, pojechali do miasta, gdzie mieszkała narzeczona sternika i gdzie czekało go ogromne rozczarowanie. Dziewczyna zapomniała o nim i wyszła za kogoś innego. Po weselu wyjechali i nikt nie wiedział dokąd. Zresztą sternik nie miał ochoty jej szukać, opanowała go tylko wielka tęsknota za morzem. Chciał się zaciągnąć na pierwszy lepszy statek. Tylko z największym trudem dał się namówić swemu przyjacielowi by towarzyszył mu w czasie wyprawy w góry.

Myśli, które trzymały się obu wędrowców niebyły najweselsze, toteż dalsza rozmowa nie bardzo się kleiła. Im wyżej pięła się górską drogą, którą podążali, tym okolica stawała się bardziej dzika. Po jakiejś godzinie Cygan skręcił w boczną ścieżkę, gdzie ciemne gałęzie sosen i jodeł uderzały nieustannie o ich głowy. Po żmudnej wędrówce dotarli wreszcie na porośniętą bujnymi paprociami i kłującymi, kolczastymi krzewami polanę, na skraju której stała pamiętająca bardzo dawne czasy chatka.

— To tutaj! — odezwał się Karavey.

Zatrzymał się przed niskimi drzwiami i zapukał w nie. Po chwili dało się słyszeć czyjeś człapanie. Drzwi zostały uchylone i przez wąską szparę wysunął się ogromny orli nos.

— Kto tam jest na zewnątrz? — zacharczał niski głos.

— A kto tu mieszka? — odpowiedział pytaniem na pytanie Cygan.

— Gajowy Tirban.

— A czy to właśnie ty, człowieku?

— Tak.

— A czy ten dom, to *lowenja* wędrownych Cyganów?

— A co pan przez to rozumiesz?

— Pytam, czy to ty człowieku jesteś *lowenji*!

— Hm! Kim pan jest i jak brzmi pańskie nazwisko?

— Nazywam się Karavey.

— Karavey? Brat Lilgi, który kiedyś miał być naszym *vajdq*, ale został wysłany na wielką wodę, przez hrabiego?

— Tak, to ja.

Teraz drzwi otwarły się na oścież i ukazała się w nich zgrzybiała postać. Była bardzo pochylona, ale jej małe, chytre oczka błyszczały jeszcze młodzieńczym ogniem, zaś ruch z jakim starzec wystąpił naprzeciw przybyłym i wyciągnął ku nim chudą rękę był szybki i pełen życia.

— Witam cię panie i Bhowannie niech błogosławi temu, że chciałeś wstąpić do mej ubogiej chaty. Kim jest człowiek, który ci towarzyszy?

— To mój serdeczny przyjaciel.

— Zatem niech i on wejdzie! Pozwólcie do środka i bądźcie łaskawi zadowolić się tym co wam mogę ofiarować!

Weszli do niskiego pomieszczenia, w którym prócz nędznego posłania znajdował się tylko stół zбитy ze zwykłych desek i takie same dwie ławy.

— Wymieniłeś imię mej siostry — zaczął Karavey gdy usiedli. — Czy ona jeszcze żyje?

— Żyje i rządzi nadal swym plemieniem.

— Ona żyje!

Karavey wypowiedział tylko te dwa słowa, ale zawarta w nich była cała miłość jaką otaczał siostrę. Przez chwilę w ubogiej izbie zapanowała radosna cisza.

— Gdzie mogę ją znaleźć? — spytał, gdy tylko ochłonął z wrażenia.

— W jej zamku.

— Bhowannie niech będą dzięki! Zatem jeszcze dziś będę ją mógł uścisnąć! Powiedz mi, czy któryś z mężczyzn naszego plemienia jest jej mężem?

— Nie.

— A czy ma... czy ma... dzieci?

— Nie... tego nie wiem.

— No dobrze! A teraz Tirbanie przygotuj szybko jakiś posiłek dla mego przyjaciela i dla mnie. Mamy za sobą daleką drogę i bardzo byśmy byli radzi pociągnąć tęgi łyk czegoś mocniejszego.

Starzec podszedł do swego nędznego legowiska, przesunął na bok służący mu za łożo worek, ukazując małe drzwi. Zniknął za nimi i po chwili pojawił się niosąc olbrzymi dzban i poleć szynki, który wystarczyłby na cały dzień dla czterech lądowych szczurów.

— Siadźcie teraz, proszę przy moim skromnym stole i posilcie się tym co przygotował wasz sługa.

Obaj przybysze nie kazali sobie tego drugi raz powtarzać i „ostro” zabrali się do roboty. Sternik pierwszy złapał za dzban i uczynił tak potężny haust, że zdawało się, iż nie będzie miał on końca. Kiedy wreszcie go odstawił, rzekł uśmiechając się półgębkiem:

— Nie powiem, żeby mi ten „skromny stół” nie spodobał się. Skąd masz Tirbanie, takie drogie wino i szynkę?

— No, ma się te swoje znajomości — odparł taktownie starzec. — Cygańska królowa nie jest biedna i nie pozwala swym poddanym umrzeć z głodu.

Sternik z bosmanem poczynali sobie przy stole bardzo dzielnie tak, że w niedługim czasie, po winie i szynce pozostały tylko wspomnienia. Karavey wytarł bezceremonialnie palce w spodnie i podniósł się.

— Dziękuję ci Tirbanie za twą gościnność. Bhowannie wszystko ci wynagrodzi. My musimy teraz już iść.

— Już chcesz mnie opuścić i pójść dalej nie opowiedziawszy mi wcześniej o tym, co przeżyłeś przez te wszystkie lata?

— Tak, na mnie już czas. Teraz, gdy wiem, że Lilga jeszcze żyje, nie zaznam spokoju, dopóki jej nie ujrzę. Wszakże zapomniałbym o czymś. Jak brzmi teraz hasło, dzięki któremu będziemy mogli dojść do celu, nie zatrzymywani przez nikogo?

— Hasło? — spytał Tirban i uśmiechnął się szczerze. — Jest łatwe do zapamiętania, brzmi bowiem: Karavey!

— Jak? Karavey? — powtórzył zaskoczony Cygan. — To wspaniała muzyka dla mych uszu, dowodzi ona bowiem, że Lilga nie zapomniała jeszcze o mnie i nadał darzy swą siostrzaną miłością. O Bhowannie, pobłogosław ją za to!

* * *

Wąska ścieżka wychodząca z polany, na której stała chatka Tirbana, wiodą w górę, wpadając w gęsty jodłowy las. Im wyżej szło się tą dróżką, która już per chwili stawała się widoczna, tylko dla najbystrzejszego oka, tym w lesie było widniej. Gdzieś po godzinie skończyły się drzewa, a ich miejsce zajęły niskie sosnowe zarośla. Za to okolica robiła się coraz bardziej skalista i dzika. Zdawać by się mogło, że od niepamiętnych czasów, zamieszkał tu ród jakichś olbrzymów, owe skalne bloki przypominające ogromne kule służyć mogły im chyba tylko do zabawy, zaś pionowe skalne ściany, strzelające hen wysoko w niebo, były dla nich schodami, po których kroczyli w dół, gdy opuszczali na krótko swe podniebne kwatery, wzniesione tam gdzie tylko orzeł zatacza swe kręgi i buduje gniazda.

Wysoko w górze, gdzie wśród skalnych rumowisk ukazują się wysepki' rosnącej na tym marnym podłożu kosodrzewiny, ciągnie się wkoło nagiego, stromego szczytu, wąski, liczący nie więcej niż dwie stopy szerokości, gzyms. Na lewo od niego rozwiera się przepaść, zaś z jego prawej strony wystaje, prawie pionowo w górę skalista ściana. Tylko ktoś, komu nieznaną są zawroty głowy, mógłby się czuć na tym szlaku, pomiędzy niebem a ziemią bezpiecznie. Po około dziesięciu minutach marszu dochodzi się, do miejsca, w którym skała cofa się, tworząc jakby półkolistą przestrzeń, na której mogłoby się zmieścić około trzydziestu ludzi. Widok jaki się stąd roztacza jest porywający. Oto właśnie zaszło słońce i po całej zachodniej części nieba rozlało się morze purpurowego atramentu. Szczyty gór otaczają obłoki mgły, różowoczerwonego koloru, jakby chciały za ów pocałunek zachodzącego słońca zatracić się z wdzięczności. Tymczasem gdzieś daleko w dole da się widzieć obozujące cienie wieczoru, czekające chwili, kiedy zajdzie ostatni promień słońca.

Takim to czarodziejskim widokiem można było rozkoszować się w tym odosobnionym od świata miejscu. Jednak dwunastu leżących tam na ziemi mężczyzn, nie wykazywało żadnego zrozumienia dla otaczającego ich piękna. Być może ten prawdziwy cud natury nie był dla nich niczym nowym, zdążyli się już do niego przyzwyczaić. Ubiory wskazywały na to, iż są Cyganami. Stłoczeni grali w coś, mocno pobrudzonymi kartami, nie zapominając przy tym robić użytku z krążącej wkoło butli.

Światło zachodzącego słońca, było tu w górze jeszcze wystarczająco mocne, aby dało się ujrzeć, że w miejscu, gdzie góra cofnęła się w tył znajduje się pieczara.

Wejście do niej było zatarasowane, grający bowiem w karty Cyganie rozsiedli się przed nim tak, jakby mieli strzec znajdującego się w środku skarbu.

Gdyby jednak komuś udało się niepostrzeżenie wyminąć tych pilnujących wejścia strażników, to zdziwiłby się bardzo tym co ujrzałby wewnątrz. Pieczara była zamieszкана, zaś całe jej wyposażenie składało się wyłącznie z kilku leżących jedna na drugiej derek, służących

za posłanie i z dwóch glinianych naczyń, spełniających widocznie rolę naczyń kuchennych. W głębi znajdował się jeszcze drugi otwór, prowadzący do jednego, a może i wielu podobnych skalnych mieszkań.

No, a mieszkanka pieczary? Była to stara, ubrana niezwykle barwnie kobieta, która siedziała na jednej z derek, niedaleko wejścia. Każdy kto ją znał, wiedział, że to Lilga, cygańska królowa. Jej zamyślane spojrzenie skierowane było w dal, tam gdzie słoneczna gwiazda kończy swą codzienną wędrówkę; nie sposób jednak odpowiedzieć na pytanie czy ów cudowny zachód słońca przyciągnął choćby na jedną chwilę uwagę Cyganki. W lewej ręce trzymała całe mnóstwo papierów. Musiały one posiadać dla niej wielką wartość, co widać było po sposobie w jaki je przekładała. Siedząc tak i traktując te papiery niemal jak karty, z których się wróży, przypominała Lilga jedną z owych starogermańskich Norn, które mając w swych rękach los zwykłych śmiertelników, kierują nimi za pomocą niewidzialnych nici.

Wreszcie stara Cyganka podjęła chyba jakąś decyzję. Złożyła bowiem starannie papiery, owinęła je w chustkę i mały pakuneczek zniknął u niej, za pazuchą. Następnie wstała i podeszła do wejścia.

— Horgi!

Młody mężczyzna podniósł się i wszedł do pieczary.

— Masz jakieś nowe wiadomości dla mnie?

Głos Cyganki był nieco zmęczony, jakby to mówienie kosztowało ją sporo wysiłku, chociaż spojrzenie jej przenikliwych oczu przeczyło przypuszczeniu, że straciła ona cokolwiek ze swej wcześniejszej żywotności.

— Nie — odpowiedział zapytany.

— A co robi nasz drogi Ambrozy Natter, który zadaje sobie tyle trudu, aby mnie znaleźć?

Horgi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Och *vajdzino*, ten to został dokładnie wystrychnięty na dudka. Jego szpiedzy podążają teraz za podstawionym przeze mnie człowiekiem, którego ja parę dni temu — wiesz przecież, pani jak dobrze znam się na tych sprawach — przebrałem w babskie kiecki i do tego wszystkiego wymalowałem mu jeszcze gębę szminką. Teraz więc szukają cię na północy kraju, podczas gdy my czatujemy tu na południowej granicy na grube ryby, które nam już nie uciekną.

Vajdzina zaczęła się śmiać.

— Tak, uczyniłeś to bardzo zręcznie. Przynajmniej przez jakiś czas nie będziemy mieli na karku tego typka, ma się rozumieć dotąd, aż nie spostrzeże, że został okpiony. Co wiesz o synu kowala?

— Jemu Natter ostro następuje na pięty. Niestety doktor mimo całej swej wiedzy nie wydaje się postępować tak mądrze jak my; mógłby bowiem i on postarać się o sobowtóra. Jeśli chodzi o resztę to należy mu się pełne uznanie! Zdumiewa mnie to, że potrafi tak dobrze pilnować tego łajdaka Nattera, chociaż każdy jego, najmniejszy nawet krok jest nieustannie obserwowany.

Lilga pokiwała głową w zamyśleniu.

— Tak, on jest ulepiony z całkiem specjalnej gliny, wiem o tym dobrze. Mam nadzieję, że ani na chwilę nie tracicie go z oczu?

— Niczego się nie obawiaj pani! Natter i towarzysze nie mogą mu nic uczynić. Czuwa bowiem nad nim, niczym tarcza potężnej Bhowannie, ręka Boinjarów.

Vajdzina milczała przez chwilę, zanim powiedziała z wahaniem:

— A Katom... a Nurwan Pasza? Kiedy on przybędzie na spotkanie?

— Nasi ludzie donieśli, że ma jeszcze dzień drogi, aby dotrzeć na umówione miejsce. Także doktor Brandauer, jak już o tym wczoraj mówiłem zjawi się we właściwym czasie.

— Bhowannie niech będą dzięki! Czyli, że spotkają się razem trzy osoby, od których zależeć będzie przyszły los Norlandii. W porządku Horgi! Możesz odejść.

Kiedy została sama, usiadła i zakryła twarz rękami.

— A więc on przybywa... i przybędzie tu na pewno... Katombo, ukochany mej młodości... ten jedyny, którego naprawdę, kochałam. Przybywa teraz, pokazując mi przez to jak bardzo się omyliłam. Och, gdybym poznała się na nim wcześniej!

Łzy płynęły jej między palcami, a całym ciałem wstrząsało głuche łkanie. Wspomnienie nieudanego życia znowu ją pokonało. Od tych ponurych i smutnych myśli oderwał ją nagle odgłos czyichś kroków. Jeden z Cyganów stanął u wejścia do pieczary. Szybkim ruchem dłoni odgarnęła włosy z twarzy i już znowu była starą kobietą, królową Boinjarów.

— Czego chcesz Czemba? — spytała.

— Pani, na zewnątrz jest dwóch mężczyzn, którzy chcieliby z tobą mówić.

— Co to za jedni? Nie zapytałeś ich jak się nazywają?

— Nie chcę tego powiedzieć, ale znają hasło.

— Opisz mi ich!

— Jeden jest wysoki i barczysty, a sposób w jaki się trzyma i chodzi wskazują, że to może być marynarz; ten drugi zaś o wiele mniejszy, wygląda na jednego z nas.

— Powiedz im, żeby weszli, ale bądź w pobliżu, gdyby miało się okazać, że to szpiegdy!

Czemba oddalił się i po chwili pojawili się niespodziewani goście: sternik Baldwin Schubert i Karavey.

— Kim jesteście i kto podał wam hasło?

Sternik wlepił zdumione oczy w *vajdzinę*. Karavey rzekł natomiast:

— Hasło przekazał nam *lowenji!* — mówiąc to zbliżył się do Lilgi. — Spójrz na mnie teraz, a może sama odgadniesz me imię! Myślałaś tysiące razy o tym, który je nosi?

Już przy pierwszych słowach Karaveya, Cyganka nastawiła bacznie uszu. Teraz ujęła go za rękę i pociągnęła bliżej wejścia, ponieważ w środku zrobiło się już ciemno. Patrząc mu przenikliwie w oczy, wykonała ręką gest najwyższego zdumienia, po czym osunęła się wolno i ciężko na kolana wyciągając ku bratu swe ramiona.

— Karavey!

Bosman objął *vajdzinę*, przeciskając ją do piersi. Nie widział swej siostry długie lata. Żal i smutek rozorały ich serca niczym pług ziemię, ale kto temu był winien? Lilga, niegdyś najcudniejszy kwiat Boinjarów, teraz zwiędły i pomarszczony...

— Karavey, wybacz mi!

— Już dawno to uczyniłem.

Pocziwemu sternikowi łzy stanęły w oczach. Nie mógł się już powstrzymać i podszedł bliżej!

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! To jest dopiero radosna i szczęśliwa chwila! Pozwól, niech cię uściskam przyjacielu i ciebie Lilgo też, jeśli nie masz nic przeciw temu! Ja to mógłbym się tak radować, gdybym moją... moją... narzeczoną...

Umilkł. Pojął, że to nie było właściwe miejsce do mówienia o jego sercowych sprawach.

— Kim jest ten człowiek? — spytała Lilga.

— Nazywa się Baldwin Schubert i jest moim najlepszym przyjacielem. Możesz spokojnie podać mu rękę, gdyż zasługuje na to.

Vajdzina przyjrzała się olbrzymowi uważnie i podała mu prawą rękę. Jej oczy prześlizgnęły się po twarzy sternika i zatrzymały na liniach jego ciężkiej dłoni. Wydawało się, że przez chwilę czytała w nich, następnie pociągnęła przyjaciela swego brata przed pieczarę i wskazała lewą rękę w kierunku, gdzie zaszło słońce. Nad szczytami gór widać było jeszcze gasnącą czerwień.

— Bogini dnia odeszła i góry okryły się kolorem smutku. Ale tylko na krótką chwilę, na kilka godzin. Gdyż już niedługo nadejdzie znów, otoczona promienistym blaskiem... także ty spotkasz znów swą gwiazdę, tę, którą myślałeś już więcej nie ujrzeć, spotkasz ją, a wraz z nią... to coś, czym ją obdarowałeś.

Po tych słowach brzmiących niczym wróżba, Cyganka puściła rękę sternika i w następnej chwili zniknęła w pieczarze. Schubert spoglądał na nią osłupiały.

— Do stu tysięcy grzmotów! Co to było? Co ona miała na myśli? Czy mógłbyś mi to wytłumaczyć, Karavey?

— Dlaczego nie? — zaśmiał się pytany — Jej słowa były przecież jasne. Mogły dotyczyć tylko twej zaginionej narzeczonej.

— Ale jak może ona udowodnić to, że spotkam się znów z moją ukochaną, a także, gdzie i kiedy to się zdarzy?

— Tego niestety nie wiem. Mogę powiedzieć tylko tyle, że moja siostra, o czym dzisiaj ci zresztą opowiadałem posiada niezwykły dar wróżenia i nikt z naszego plemienia nie potrafi jej w tym dorównać, a o ile mi wiadomo, nigdy dotąd nie omyliła się w swych przepowiedniach.

— No, ale to coś, o którym mówiła! Miałby... miałby... Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! Jeżeli już, to żeby to był chłopiec... chłopiec!

— Możesz być spokojny, stary! Przyszłość odsłoni nam to, co dziś zakrywa jeszcze przed naszymi oczami. Radziłby teraz, abyśmy weszli do pieczary, ponieważ jeśli nie wszystko mi się przywidziało, to czeka nas tam uczta, jaka nam starym, morskim wilkom nie trafia się co dzień!

KARCZMA PRZEMYTNIKÓW

Niecałe dwie godziny drogi od granicy, leży otoczone zewsząd stromymi górami miasteczko Waldenburg, do którego z trudem dociera jedynie droga pocztowa. W bok od niej, przy szlaku dla jucnych zwierząt, niemal w środku lasu, stoi piętrowy dom. Nad jego drzwiami znajduje się żelazna tablica, na której mocno już wytarty i z trudem dający się odczytać napis głosi: „Gospoda.” Jeżeli ktoś obcy spyta, czy zdarza się jakimś spragnionym wędrowcom odwiedzić tę skromną oberżę słyszy, że tak. Wszakże jemu samemu przyjdzie, przeważnie nadaremnie czekać, by ujrzeć tam w ciągu dnia, choćby jednego gościa.

Tylko wtajemniczony wie, że często przemykają cichaczem do karczmy jakieś postacie, które później równie po kryjomu ją opuszczają, i wie on także, że nocami stara zadymiona izba z trudem może pomieścić owych tajemniczych gości.

Kiedy stoi się przed drzwiami karczmy to ma się widok zarówno na dolinę jak i na wijącą się licznymi zakolami drogę. Czy ta przecinka nie została zrobiona przypadkiem, w jakimś określonym celu? Być może iż to karczmarzowi właśnie zależało na tym, aby móc zawsze ze swej ukrytej siedziby mieć widok na to, co się dzieje na drodze.

Z tyłu karczmy znajdował się mały ogródek, z ciosanym stołem i takimi samymi ławami. Przy stole siedziały trzy osoby: karczmarz, sternik i bosman. Wszyscy trzej prowadzili ze sobą niezwykle ożywioną rozmowę, pijąc przy tym tego ze stojącego przed nimi kamionkowego dzbana. Co jakiś czas, któryś z nich rzucał przelotne spojrzenie na ciągnącą się w dole drogę, a ściślej na kilka jej os tanich zakrętów. Wyglądało jakby jeszcze na kogoś czekali.

— Mówię wam — tłumaczył karczmarz, — że „Tygrys” Czarnego Kapitana był trójmasztowcem, który łatwo pomylić z dużą fregatą. Rozmawiałem z jednym takim, co służył na statku zdobytym przez Czarnego i miał dzięki temu wyborną okazję, żeby sobie dokładnie korsarza obejrzeć.

— Bzdury! — mruknął pod nosem Karavey. — Tylko ja wam mogę powiedzieć co to za statek ten „Tygrys”. Jest to korweta z dziewięcioma działami, widziałem ją.

— Tak sądzisz? — spytał sternik nie mając ochoty się z tym zgodzić. — Daję ci moje słowo, że jest to dwumasztowy bryg z łacińskimi żaglami. Kiedy przed laty pływałem na „Jaskółce”, spotkaliśmy go i chcieliśmy nawiązać z nim rozmowę, ale minął nas nie zwracając w ogóle uwagi, traktując nas jak wyjącego do księżycy psa.

— To niezwykle — nie mógł się nadziwić karczmarz. — Trójmasztowiec, korweta, dwumasztowy bryg z łacińskimi żaglami, sam diabeł by się w tym nie połapał! Jeżeli o mnie

chodzi to w życiu jeszcze nie widziałem pirackiego okrętu. Chciałbym jedynie wiedzieć, czy ten jego kapitan rzeczywiście był Murzynem, jak to ludzie opowiadają i co się z nim stało. Od jakiegoś czasu nic o nim nie słyhać.

Karavey zaśmiał się w duchu. Lilga wyjawiała mu wczoraj, kto kryje się pod nazwiskiem Nurwan Pasza, więc on najlepiej mógłby odpowiedzieć na pytanie, kim właściwie jest Czarny Kapitan. Naturalnie nie miał wcale zamiaru mówić o tym karczmarzowi, dlatego odrzekł:

— W każdym razie wiemy, że ten kapitan to doświadczony, a zarazem śmiały żeglarz. Słyszałem jak mówiono, że „Tygrys” potrafił płynąć przy pełnym wietrze na wszystkich żaglach, kto mógłby mu w tym dorównać? Ktoś inny widział pędzącego pirata, mimo iż czynił to siłą ledwie połowy swych żagli; a to jest już sztuka, której właściwie nie sposób dokonać. A położyć statek w dryf w czasie największego sztormu, to dla niego drobnostka. Nie ma drugiego takiego żeglarza na świecie, który potrafiłby tak kierować statkiem jak Czarny Kapitan. Musiał się tego nauczyć od samego diabła.

— Hm — powiedział karczmarz, — są chyba gdzieś jeszcze ludzie, którzy potrafią dobrze żeglować i nie ustępują w tym Czarnemu.

— Tak sądzicie, gospodarzu? A któż taki, dajmy na to, mógłby to być?

— Nie słyszeliście jeszcze takiego nazwiska, Falkenau?

— Falkenau? Do pioruna, toż to prawda, ten istotnie mógłby się mierzyć z kapitanem „Tygrysa”. Ale gdzie on teraz przebywa?

— Znajduje się we Wschodnich Indiach, albo na Oceanie Spokojnym. Ten młodzik ma niewiele więcej niż dwadzieścia lat, ale to istny, wcielony diabeł, gotów pójść wszędzie, a nawet skoczyć w ogień. Weźmy pod uwagę ostatnią wojnę Süderlandii z jej południowym sąsiadem, jak wielkie wtedy oddał nam zasługi!

— Znacie go?

— Widziałem go kiedyś, ale tylko z daleka.

— No, a kiedy to było i gdzie?

— Właśnie w czasie wspomnianej wojny, w której wziął udział jako ochotnik. Musicie bowiem wiedzieć że jestem süderlandczykiem i przez wiele lat służyłem w südelandzkiej flocie. Dopiero od ostatniej wojny przebywam za granicą, udało mi się bowiem tutaj znaleźć skromne źródło utrzymania.

— Ale jak właściwie doszło do tego, że Falkenau został ochotnikiem Süderlandzkiej armii?

— Wiecie zapewne, że jeszcze do niedawna Norlandia jako potęga morską nie liczyła się zupełnie. Było więc jasne, że młody Falkenau może zdobyć o wiele większe wykształcenie jako oficer marynarki u nas, niż w swojej ojczyźnie. Poza tym posiada on po tamtej stronie

liczne posiadłości ziemskie, więc myśl o ochotniczej służbie w Süderlandii mogła przyjść mu do głowy sama.

— No, ale o jego zasługach, o których mówiliście wcześniej, niewiele mi wiadomo. A cóż takiego on dokonał?

— Myślę, że ma się czym pochwalić. Po zwycięstwie nad nieprzyjacielską flotą, ścigaliśmy ją jeszcze, aż do wybrzeży. Tam znalazła się ona przy ujściu jednej z rzek, strzeżonym przez silną twierdzę, schronienie. Nie mogąc tam dopłynąć musieliśmy zastosować blokadę. Całe oblężenie to nudna historia, a byłaby jeszcze nudniejsza, gdyby obie strony nie starały się sobie co jakiś czas dokuczać; jedynie takie drobne zdarzenia wносиły nieco życia do sennej atmosfery, jaka się tam wtedy wytworzyła. W jednym z nich wziął udział porucznik Artur von Falkenau, który został potem komandorem. Pewnego razu zaczęto mówić, że komendant twierdzy wydaje dla oficerów marynarki bal, czy coś w tym rodzaju. Sam Falkenau przyniósł zresztą tę wiadomość. Nadarzyła się świetna okazja aby spłatać nieprzyjacielowi jakiegoś figła. Dlatego postanowiono wysłać na przeszpiegi jakiegoś odważnego i sprytnego człowieka, po to aby sprawdził, czy ta pogłoska jest prawdziwa.

— Naturalnie wybrano do tego zadania porucznika Falkenau?

— Nie, sam się zgłosił. Było już po południu, kiedy łódź, która miała wysadzić go na brzeg, odpłynęła. Dotarła do brzegu w ustronnym, nie zamieszkałym miejscu, zdała od ujścia rzeki. Falkenau odziany w strój marynarza ze statku handlowego miał ze sobą tylko nóż i rewolwer. Udało mu się dotrzeć szczęśliwie w wyznaczone miejsce, gdzie dowiedział się, że zapowiedziana feta dojdzie do skutku. W międzyczasie zrobił się wieczór i oficerowie zaczęli schodzić ze statku na ląd, i kierować się do twierdzy.

— Do wszystkich diabłów, w takim razie musiał przyjść z wiadomością o balu za późno. Nim wrócił pewnie był już ranek.

— On doszedł do tego samego wniosku, dlatego postanowił działać na własną rękę. Udał się na pokład okrętu flagowego i...

— Okrętu flagowego? To szalony pomysł!

— Niezupełnie. Było wiadomo, że my, czyli oblegający twierdzę nie zdecydujemy się na to, aby płynąć w górę rzeki, dlatego nasi wrogowie czuli się bezpieczni, no i wszyscy oficerowie za wyjątkiem młodego chorążego otrzymali pozwolenie pójścia na bal. Chorąży nie mógł narwanie nic zrobić, najwyżej trochę się pozłościć. Chcąc go udobruchać zostawiono mu pewną ilość rumu i cukru, aby przygotował dla siebie i załogi solidną porcję grogu. Właśnie był tym zajęty gdy Falkenau poprosił ze swej łodzi o pozwolenie wejścia na pokład. Na pytanie czego chce odpowiedział, że zamierza zaciągnąć się u nich na służbę i chce przedstawić się

kapitanowi. Został wpuszczony i przepytany o posiadane umiejętności oraz nazwisko. Chorąży był tak zadowolony z uzyskanych odpowiedzi, że nie namyślając się wiele, pozwolił zostać porucznikowi na pokładzie do powrotu kapitana, robiąc nadzieję pracy. Falkenau został całkiem nieźle przyjęty przez załogę, jego zapowiedź wstąpienia do służby oraz kilka flaszek rumu tytułem „wpisowego” spotkało się z wielkim aplauzem. Następnie chorąży dał zezwolenie i kucharz zszedł na dół po przygotowany grog.

— Pomysł był zatem dobry chociaż niebezpieczny.

— Zauważcie, że w przeciągu tych kilku godzin, trunki musiały zrobić swoje. Nie mam na myśli prawdziwego pijaństwa, gdyż załoga była zbyt liczna, a przypadająca na jedną głowę porcja za mała, ale i tak wszyscy się pospali, nawet młody chorąży zszedł na dół, aby się na chwilę położyć na hamaku. Uważano, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Nocna wachta przysiadła na zwoju lin i drzemała, straż na dziobie pochrapywała przytulona do jakiejś lawety, a starszy bosman, który winien nad wszystkim czuwać, siedział z kucharzem w kambuzie, gdzie zajmowali się troskliwie swoją porcją grogu. Wtedy Falkenau opuścił się na linie w dół i popłynął na łodzi, którą przybył, w stronę liny kotwicznej, wyciągnął nóż i przeciął ją. Okręt trzymał się jeszcze na dwóch zapasowych kotwicach, a gdy te także zostały odcięte, zaczął z wolna ruszać.

— Do wszystkich diabłów, cóż za odwaga! — zdumiał się Schubert. — Teraz uwiązał łódź i z powrotem wślizgnął się na pokład. Tam przez ten czas nic się nie zmieniło. Pospieszył więc do steru, który był zablokowany. Odwiązał linę, przełożył dźwignię w pożądanym kierunku i unieruchomił ją ponownie. Następnie położył się na zwiniętym żaglu, w pobliżu przedniego luku i czekał na dalsze wydarzenia. Pogoda była sprzyjająca. Nad wodą unosiły się opary gęstej mgły, a pokład moczyła drobna mżawka. Fale rzeki zabrały już okręt ze sobą, jednak płynął w tak cichym, jednostajnym rytmie, że przy tym i przy słabej widoczności można było przysiąc, że nadal stoi na kotwicy.

Upłynęły dwie godziny. Zadzwoniono i wachty zostały zmienione. Ludzie byli mocno zaspani; ci więc, którzy zeszli z posterunku natychmiast zapadali w sen, ci zaś co rozpoczynali dopiero służbę, kładli się od razu gdziekolwiek, gdzie mogli znaleźć schronienie przed deszczem. Okręt nadal płynął bardzo cicho, szykując się już na spotkanie z morzem. Tymczasem mgła zelżała nieco i wachtowy stojący na rozprzy, osłaniając twarz kołnierzem peleryny spoglądał w deszcz. Nagle dostrzegł przed sobą jakieś światła, jedno od sterburty, a drugie od bakburty. Podniósł więc alarm i już po chwili zjawił się chorąży.

— Co się stało?

— Widzę dwa światła, tu i jeszcze tam!

— To statki, które płyną prosto na nas. Czyżby nieprzyjaciel chciał napaść na nas z nienacka? Heej ludzie! Wszyscy...

Chorąży nie zdążył jednak wydać rozkazu do końca, gdyż od uderzenia pięścią przez Falkenaua padł bez czucia na pokład. Potem nasz dzielny porucznik zarygłował klapę przeciwsztormową przedniego luku, zamykając pod pokładem znajdujących się tam ludzi. Wcześniej uwięził pozostałych członków załogi i teraz musiał rozprawić się z czterema pełniącymi służbę marynarzami, tych na rozpry spotkał ten sam los co i chorążego; po czym błyskawicznie zostali związani. Wachtowy przy sterburcie nie zauważył niczego, gdyż spał w najlepsze, podobnie zresztą ja i ten przy bakburcie. W taki oto sposób dzielny porucznik stał się panem na pokładzie i udało mu się to w ostatniej chwili, gdyż zaraz potem, gdzie z przodu rozległo się wołanie:

— Statek ahój! Coście za jedni?

— Nieprzyjacielski okręt flagowy, zdobyty i dowodzony przez porucznika von Falkenau!
— odpowiedział.

Nie bardzo dano temu wiarę, bowiem okręt flagowy wroga, oczywiście z dzielnym porucznikiem na pokładzie dotarł do linii, na której ustawiliśmy blokadę i zamierzał właśnie wpłynąć pomiędzy dwa okręty naszej floty. Falkenau widząc, że nadchodzi decydujący moment, podał hasło, dzięki któremu poznano go i mógł zacząć działać. Skoczył do steru, zerwał linę i śmiałym manewrem zbliżył się do naszego okrętu. W jednej chwili zarzucono bosaki i ze trzydziestu ludzi przeskoczyło na pokład porwanego okrętu wroga, witając się radośnie z jego zdobywcą; ale czy można się temu dziwić, skoro, możecie mi wierzyć, nikomu nie przyszło wcześniej nawet na myśl, iż można w pojedynkę załatwić całą załogę trójmasztowego okrętu wojennego. Hałas zbudził zamkniętych pod pokładem nieprzyjacielskich marynarzy. Chcieli wydostać się na górę, ale tylko z wielkim trudem udało im się wyłamać zarygłowaną klapę luku, a gdy wyszli na górę czekali już na nich w pełnej gotowości. Następny nasz okręt także zdążył podpłynąć zupełnie blisko, z drugiej strony zdobytego flagowca, było więc dosyć ludzi, aby poradzić sobie z ewentualnym oporem wroga. O wschodzie słońca Falkenau stał przed admirałem, który przekazał mu dowództwo nad zdobytym okrętem i zezwolił zabrać go w ojczyste strony. Poza tym otrzymał wysoki order i rangę komandora porucznika za owo niezwykle śmiałe i ryzykowne przedsięwzięcie, na które żaden inny, dzielny oficer nigdy by się poważył. I wtedy właśnie, gdy przepływał obok nas zdobyczym okrętem, widziałem go z daleka. Ale czy potrafiłbym go poznać, gdybym teraz go spotkał, tego nie wiem. Wkrótce po tej historii, którą wam opowiedziałem, Falkenau wrócił do Norlandii, gdzie otrzymał równorzędny stopień oficerski. No i co sądzicie o tym wszystkim?

Pod koniec opowieści sternik nie mówił już nic, siedział tylko z rozdziawioną gębą i przysłuchiwał się słowom karczmarza. Teraz rąbnął pięścią w stół, aż dzban podskoczył w górę i zawołał:

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! Jeśli nie przyznacie natychmiast, że nałgaliście ile wlezie, to zgmiotę was zaraz na papkę. To bowiem niemożliwe żeby taką rzecz udało się zrobić!

Karczmarz podniósł dzban do ust i pociągnął zeń zdrowo, z wielką starannością otarł brodę i rzekł:

— Mogą mnie wysmarować dziegciem i przeciągnąć pod okrętem, jeżeli powiedziałem choć jedno nieprawdziwe słowo. Ta historia jest znana w całej Süderlandii. Wróble ćwierkają o niej na dachu, a dzieci muszą się uczyć w szkole.

— Powiadacie więc panie, że to nie była żadna blaga?

— Nawet mi to na myśl nie przyszło?

— Jeśli więc rzeczywiście tak się sprawy miały, to — następne potężne uderzenie pięścią zachwiało stołem — to, marzę tylko o jednym, aby ujrzeć na własne oczy tego morowego chłopca. I nie dam mu spokoju tak długo, aż nie pozwoli mi się zaciągnąć na jego statek. To dopiero moja matka miałaby radość!

* * *

Podczas gdy w karczmie rozmowa toczyła się w najlepsze, krętą pocztową drogą piał się wolno w górę odkryty powóz. Na koźle siedział młody człowiek, który po ubiorze sądząc, musiał być służącym. Jednak było w nim coś takiego, co nasuwało przypuszczenie, iż ta wspaniale zbudowana postać nie nawykła do noszenia stroju lokaja.

Zdawał się być w zupełności pochłonięty podziwianiem górskiej okolicy, podczas gdy w rzeczywistości dbał o to, by nie uronić ani jednej sylaby z prowadzonej przez siedzące w środku powozu dwie osoby.

Jedną z nich był okazały mężczyzna, powyżej czterdziestki, którego ogorzałe oblicze osłaniała czarna broda. Obok niego siedziała młoda, niezwykle piękna dziewczyna o południowych rysach. Miała odrzuconą zasłonę i ciekawym wzrokiem oglądała tę obcą dla siebie okolicę, przy czym wyraźnie dało się zauważyć, że ta podróż w góry sprawiała jej przyjemność.

Domyślny czytelnik już wie, że podróżującymi byli: Nurwan Pasza, jego córka i podający się za Fricka Wilmersa, młody baron Falkenau.

— Jak daleko jeszcze do celu, papo? — ciągnęła rozpoczętą rozmowę Sulejka.

— Jeszcze jakieś pół godziny

— A czy to pewne, że przekroczyliśmy już granicę i znajdujemy się w Norlandii?

— Tak, to pewne.

— Bardzo mnie to cieszy.

Pasza spojrzał na córkę zdziwiony.

— A to dlaczego?

— Przecież dobrze wiesz, papo!

— Ja? Zupełnie nic nie wiem, córeczko.

— Mówisz tak, jakbyś już zapomniał, że ten, który ocalił mi życie pochodzi z Norlandii?

Nie jesteś przecież taki zapominalski.

Pasza uśmiechnął się.

— Zgadza się! W każdym razie nie zapomniałbym nazwiska mego wybawcy — powiedział przybierając szelmowski wyraz twarzy.

Sulejka zrobiła nadąsaną minę.

— Ależ papo, jak możesz być taki wstrętny. Tak jakbyś nie wiedział, że to nie ja jestem temu winna! Ten człowiek zostawił przecież swą wizytówkę nie mnie, lecz mojej przyjaciółce, a ona ją zgubiła. Jest mi bardzo przykro, że jeszcze dotąd nie podziękowałam memu wybawcy.

— Może uda ci się go w końcu odszukać.

— Ja też na to liczę, póki co wiem tylko tyle, że był on komandorem porucznikiem norlandzkiej marynarki wojennej. To wszystko czego się zdarzyła dowiedzieć o nim moja przyjaciółka.

— Nie wykluczone, że dojdziemy w końcu do tego, kto to był. Norlandzkie siły morskie nie są zbyt wielkie, nie będzie więc trudno chyba ustalić, który z ich oficerów pływał w tym czasie po egipskich wodach.

— Zajmiesz się więc tą sprawą, papo?

Pasza śmiejąc się spojrzał na jej dziecinne jeszcze oblicze.

— Tak bardzo ci zależy na tym, aby go znaleźć? Sprzykrzyło ci się już moje towarzystwo i tęsknisz za jakąś odmianą?

— Jak możesz coś podobnego w ogóle mówić! — odparła, patrząc na ojca z wyrzutem. — Wiesz bardzo dobrze, że najlepiej czuję się gdy ty jesteś przy mnie, no i jeszcze w towarzystwie naszego Fri... naszego służącego. I za niczym więcej nie tęsknię.

Chociaż rozmowa toczyła się po francusku i prowadzona była półgłosem, to Artur usłyszał i zrozumiał każde słowo. Mocno zaczęło bić jego serce po tym, co powiedziała Sulejka!

— Znosisz zatem dobrze obecność Fricka? Cieszy mnie to, gdyż ja także cenię go i szanuję. Jest możliwe, że będę musiał na dłuższy czas powierzyć cię jego opiece.

Popatrzyła ze strachem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Nie zamierzasz chyba odejść i mnie zostawić?

— Może tak się stać, ale teraz jest jeszcze zbyt wcześnie by o tym mówić. Wszystko zależy od tego czy powiodą się plany pewnego powstania. Ale to tajemnica, o której właściwie powinienem milczeć, chociaż wiem, że mojemu dziecku mogę zaufać.

— Wyjaw mi ją, papo! Jeśli nie będę nic wiedziała, to łatwo wtedy mogę popełnić jakiś błąd, który mógłby ci zaszkodzić.

Pasza zerknął badawczo na Wilmersa. Ten jednak sprawiał wrażenie tak zapatrzonego w górski krajobraz, jakby na świecie nie istniała żadna inna rzecz godna uwagi. Nurwan pokiwał z zadowoleniem głową

— Masz rację, kochanie. Posłuchaj, wszystko wskazuje na to, iż wkrótce wybuchnie wojna między Norlandią a Süderlandią, tymczasem Süderlandia nie posiada żadnego wybitnego znawcy spraw morskich, w związku z czym zaproponowano mi objęcie dowództwa nad ich flotą wojenną.

— I zgodziłeś się na to?

— Tak, ale tylko pod pewnymi warunkami. Otóż książę Norlandii jest dobrym człowiekiem, za to berło wymknęło mu się już prawie całkowicie z ręki. Rządy sprawuje właściwie hrabia Hohenegg, o którym ci już kiedyś opowiadałem. Ten chce tylko władzy i to równej tej, jaką posiada książę, dlatego też zawarł z Süderlandią potajemny układ. W Norlandii ma wybuchnąć rewolucja, a wtedy we wszystko wmiesza się Süderlandia, odsunie od władzy obecnego księcia i wyniesie na tron hrabiego.

— To straszna niesprawiedliwość, papo! No, a co Süderlandia będzie z tego miała?

— Przede wszystkim wzmocni swą potęgę, zawierając korzystne dla siebie traktaty. Poza tym księżniczka Asta, wychodząc za syna hrabiego, zostanie księżną Norlandii.

— I ty zamierzasz się do tego przyczynić? Chcesz, aby hrabia został księciem?

Przez ogorzałą twarz kapudyna paszy przemknął dziwny grymas, zaś jego głos zabrzmiał nieswojo, gdy rzekł:

— Wiesz, że twój ojciec chce tylko dobra i nienawidzi wszelkiego zła. To co teraz powiedziałem musi ci wystarczyć, moje dziecko! Sama zrozumiesz, że o pewnych szczegółach należało milczeć, abym wtajemniczając cię w sprawę nie wyrządził sam sobie szkody. Zastanów się tylko nad tym, co powiem, że jeśli rzeczywiście obejmę dowództwo Süderlandzkiej floty, to niestety będę zmuszony podjąć walkę przeciwko obecnym gospodarzom.

— Jak to?

— Stary Falkenau jest bez wątpienia najtęższą głową w norlandzkiej armii. Sądzę, że i on weźmie udział w tej walce, gdyż także i jemu, rzecz jasna za sprawą hrabiego, który nie darzy go sympatią, nie zostanie powierzone żadne ważne stanowisko. Jego syn, baron Artur, który mimo swego młodego wieku dosłużył się stopnia komandora porucznika, jest jedynym wilkiem morskim w Norlandii, którego uważam za równego sobie. W każdym razie będę go traktował jako swego osobistego wroga. No, przygotuj się moje dziecko! Jesteśmy już prawie u celu. Tam u góry czeka już na nas gościnną karczma.

— Zdumiewa mnie papo, jak dobrze znasz tę okolicę.

— Nie musisz się temu dziwić, gdyż jako młody chłopiec, bywałem często w tych stronach, znam tu prawie każde drzewo i kamień.

— Czy zostaniemy tutaj na dłużej?

— Tego nie wiem. Myślę, że z dzień lub dwa.

— Cieszę się bardzo, czy będziemy mogli chodzić na wycieczki?

— Musiałbym mieć na to czas. Zresztą — dodał, gdy ujrzał na jej twarzy cień zawodu — jest przecież Frick. Przez ten czas on będzie twoim przewodnikiem i z nim możesz biegać po górach ile tylko chcesz.

Występujący tu w roli służącego baron pilnie nadstawiał uszu, by nie stracić niczego z toczącej się z tyłu rozmowy. To czego się teraz dowiedział, zdumiało go. Nurwan Pasza, ojciec jego ukochanej był w rzeczywistości politycznym przeciwnikiem, prócz tego związanym jeszcze z wrogami Norlandii! Hrabia Hohenegg chciał zostać księciem! Co za szalona myśl! Jednak mimo tak wielkiego niebezpieczeństwa jakie groziło jego ojczyźnie, on zupełnie nie wiedział jak ma temu przeciwdziałać. Oczywiście, że powinien powiadomić o tym co usłyszał odpowiednie władze. Do kogo jednak miał się w tej sprawie zwrócić? Było dla niego jasne, że skoro hrabia potrafi utrzymać w tajemnicy swe zdradzieckie plany, to musi mu się to udawać dzięki poparciu jakichś wysoko postawionych kół. W takim razie jest bardzo możliwe, że jego list trafiłby w niewłaściwe ręce, przynosząc odwrotny od zamierzonego skutek. Młody baron nie mógł zajmować się dłużej kłębiącymi mu się w głowie myślami, gdyż powóz dotarł w pobliże karczmy.

Tam już dawno zauważono zbliżający się powóz, sternik dojrzał go pierwszy, informując o tym niezwłocznie pozostałych. Podnieśli się od stołu i wszyscy spoglądali z zaciekawieniem na nadjeżdżających.

Kiedy powóz zniknął za ostatnim zakrętem, a po chwili znów się ukazał, Schubert złapał stojącego obok niego karczmarza za ramię.

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! Kto to jest?

— Kto?

— No ten w powozie!

— Znasz go?

— No, przecież! To jest... to jest Katombo!

Zdumiony bosman zwrócił się do swego przyjaciela.

— Co powiedziałeś? Znasz Katombo? Nic o tym nie wiedziałem.

Sternik wyglądał na zmieszanego.

— Dlaczego nie miałbym go znać? Służyłem wtedy na angielskim okręcie wojennym jako majtek i byłem przy tym jak... no, ale to jest historia, o której wolałbym nie mówić. W każdym razie widziałem go wówczas dokładnie i mogę postawić pancernik przeciw zwykłej łajbie, że ten czarnobrody to Katombo. Ale, ale ten cud siedzący obok niego, to prawdziwa madonna. Niech mnie diabli porwą, jeżeli ona nie jest piękniejsza niż moja... niż moja..., która mnie zrobiła na szaro jak mało kto.

Także karczmarz przyglądał się bacznie pasażerom nadjeżdżającego powozu. W pewnej chwili przyłożył dłoń do czoła, by lepiej widzieć, po czym rzekł:

— Popatrzcie na tego młodego człowieka, który siedzi na koźle.

— A co się stało? — spytał sternik.

— Opowiadałem wam przecież o tym sławnym komandorze Falkenau.

— Tak i co z tego?

— Bo ten człowiek jest podobny do Falkenau jak dwie krople wody.

— Nie uderzyło wam czasem do głowy, gospodarzu? Nie widzicie, że to zwykły służący?

Karczmarz niezbyt o tym przekonany, kiwał głową.

— Klnę się na wszystkich szmuglerów i przemytników świata! Takiego podobieństwa nie widziałem jeszcze nigdy w życiu. Gdyby ten człowiek nosił na sobie marynarskie ubranie zamiast tej liberii, to byłbym gotów przysiąc, że to właśnie on.

— Nie rozśmieszaj nas! Skąd Falkenau miałby się wziąć tutaj, w samym środku górskich lasów! Wyjdźmy lepiej przed oberżę! Tamci zaraz będą.

Nie trwało to długo, gdy ujrzeli przyjezdnych, nadchodzących wąską ścieżką. Pasza wraz z córką szli na przedzie, z tyłu za nimi postępował, dźwigając podrózne torby, Frick Wilmers.

Podczas, gdy zgięty w pół karczmarz kłaniał się swym gościom, wzrok Paszy spoczął na Karaveyu, który przypatrywał mu się z wielką uwagą. Już w następnej chwili Nurwan podszedł do niego.

— Czy dobrze widzę, czy też moje oczy mnie mylą? Od naszego ostatniego spotkania upłynęło z górą dwadzieścia lat, ale tej twarzy nie zapomniałem. Karavey, przyjacielu, bracie, czy to naprawdę ty?

Błysk wielkiej radości pojawił się na twarzy bosmana.

— Tak to ja, Karavey, witaj, Katombo! Bhowannie niech będą dzięki, że po tak długiej rozłące, znowu zeszyły się nasze drogi.

Rzucili się sobie w ramiona, wielki admirał padyszacha i mały, pogardzany przez cały świat, Cygan. Kiedy pierwsza radość ze spotkania minęła, pasza spytał:

— Karavey, powiedz jak się „jej” powodzi?

— Wiedzie się jej dobrze i jest szczęśliwa, że nie gniewasz się na nią.

— Kiedy będę mógł ją zobaczyć?

— Pojawi się, gdy przybędzie tu jeszcze ktoś na kogo czeka.

— Kto taki?

— Zobaczysz go sam. Baldwinie, czy nie poszedłbyś przekazać *vajdzinie* wiadomości, że ten za którym tak tęskniła, już jest?

Sternik skinął głową i ruszył w kierunku pobliskiego szczytu. Około pięćdziesięciu metrów w górę znajdowała się wśród porastającego zbocze lasu, mała polanka. Kiedy tam dotarł wyciągnął z torby białą chustkę, rozciągnął ją na środku poręby, przyłożył kamieniami, aby nie zdmuchnął jej wiatr i udał się z powrotem do karczmy. Gdy wychodził z lasu, zobaczył obok powozu paszy, jeszcze jakiś inny, który przyjechał właśnie z przeciwnej strony. Wytwornie odziany jegomość zmierzał w kierunku gospody, tymczasem jego stangret, wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna zajmował się końmi. Sternik podszedł do drągała.

— Przyjechaliście z Fürstebergu?

Spytany obrzucił zdziwionym wzrokiem wyrosłego jakby spod ziemi olbrzyma.

— Tak, jeśli oczywiście nie macie nic przeciwko temu, panie.

— Czy ten elegant, który wszedł do gospody, to aby nie doktor Brandauer?

— Jeśli doprze wiecie panie kto to jest, to nie musicie chypa się mnie pytać.

Znajome dźwięki sprawiły, że sternik w jednej chwili poznał kogo ma przed sobą.

— Wy nie jesteście przecież stangretem, panie, czyż nie tak?

— Ani py mi to głowy nie przyszło. Jestem starszym czeladnikiem w dworskiej kuźni i rusznikarni Prandauera.

— Wasi rodzice jeszcze żyją, panie?

— Nie.

— A macie jakiś innych krewnych?

— Nie, tylko jednego prata, który został marynarzem.

— I nazywacie się panie Tomasz Schubert?

— Do diabła, a wy panie skąd znacie moje nazwisko?

— Zaś wasz brat nazywa się Baldwin?

— Tak, Paldwin. Nie widziałem go już ze dwadzieścia lat. Ale jak to możliwe, że znacie i jego nazwisko?

— Ponieważ... ponieważ Tomaszu, poznałem cię od razu, po twojej wymowie; a ty jeszcze nie wiesz kim jestem?

— Coś zaczyna mi świtać! Nie jesteś ty może Paldwin, ten który przywoził dla mnie wyporne Ampalemy? Do diabła, ależ to radość! Chodź niech cię uściskam, jeśli to rzeczywiście ty jesteś tym starym, doprym uciekinierem! Witaj pręcie!

W tym samym czasie doszło w karczmie do jeszcze jednego spotkania. Maks chciał wejść właśnie do środka przez otwarte drzwi i byłby się w tym, momencie o mało co nie zderzył z wychodzącym Frickiem Wilmersem, śpieszącym do powozu po jakąś zapomnianą rzecz. Na widok doktora krzyknął zdumiony.

— Maks! Maks Brandauer! Czy to możliwe? Jak tu się znalazłeś?

Ten spojrział zdumiony na człowieka w stroju służącego, który zwracał się do niego tak poufale, ale poznał Artura i chwycił go w swe objęcia.

— Arturze, to ty? Ciebie spodziewałbym się spotkać tutaj najmniej. Nie chcesz mi chyba powiedzieć...

— Zaczekaj! Czy otrzymałeś mój ostatni list, który wysłałem z Karlshafen?

— Oczywiście.

— Napisałem ci w nim, że będę towarzyszył paszy w jego podróży, wszakże nie miałem najmniejszego pojęcia dokąd konkretnie się udajemy. Może wszedłbyś jednak na chwilę do mego pokoju? Jestem teraz marynarzem i nazywam się Frick Wilmers, muszę w tej roli pozostać jeszcze ja czas. Pasza nie powinien na razie wiedzieć, że się znamy.

Kiedy zajęli miejsca w cichym, gwarantującym dyskrecję pokoju, chwycił swego przyjaciela za rękę i spytał:

— No i jak tam z twoją gwiazdą? Z listu, który otrzymałem wynika, że i jej można się tutaj spodziewać.

— Rzeczywiście — odrzekł Artur promieniejąc na twarzy. — Szkoda tylko, że nie mogę ci jej przedstawić. Wszystko przez to przekłete udawanie.

— No, chyba niedługo się to skończy.

— Tak sądzisz? Zaraz, przypomniałeś mi coś. Posłuchaj, czego się dowiedziałem. Bardzo dobrze się stało, że spotkałem właśnie ciebie, jesteś bowiem jedynym, któremu mogę się zwierzyć. No więc... będzie wojna między Norlandią i Süderlandią.

— O tym już wiem.

— Tym lepiej. Ale na pewno nie słyszałeś jeszcze, że u nas wybuchnie rewolucja.

— O tym też już słyszałem.

— O... tym... też? — spytał zaskoczony Artur. — Skąd masz te wiadomości?

— Później ci to wyjaśnię, zresztą mam ci bardzo wiele do powiedzenia.

— Jestem niezmiernie ciekaw. Ale to, co teraz ci powiem wstrząśnie tobą do głębi; w zbliżającej się wojnie, Nurwan Pasza obejmie dowództwo nad flotą wojenną Süderlandii.

— Także i o tym zdążyłem się już dowiedzieć, chociaż dopiero przed dwoma dniami.

— Człowieku, czy ty jesteś wszechwiedzący? Kto ci o tym powiedział?

— Cyganka Lilga.

— To jest... niemożliwe? Skąd Lilga miałaby znać sekret, o którym nikt nie ma nawet pojęcia?

— Dla mnie to również pozostaje zagadką. Faktem jest natomiast, że przedwczoraj otrzymałem od niej list, w którym prócz tej wiadomości było również zaproszenie do przyjazdu tutaj. A całe to spotkanie ma dotyczyć podobno jakichś bardzo ważnych spraw.

— Wygląda więc na to, że również i Nurwan Pasza został tu zaproszony przez Lilgę.

— Nie wątpię w to ani trochę — przytaknął Maks.

— O co w takim razie tu chodzi, do licha?

— Mam pewien pogląd na tę sprawę, ale nie wiem czy powinienem teraz o tym mówić. Czy masz jeszcze dla mnie jakąś nowinę?

— Tak, coś co dotyczy cię osobiście. Księżniczka Asta von Süderland, którą ty... którą ty znasz już jak sądzę... ma zostać hrabiną Hohenegg.

Doktor spojrział na swego przyjaciela, zaśmiał się cicho i rzekł:

— Ma zostać hrabiną Hohenegg, ale nią nie zostanie. O to nie należy się martwić.

Zadziwiasz mnie coraz bardziej. Skąd możesz być tego pewien.?’

— Stąd mianowicie, iż nie zostanie spełniony potrzebny do tego warunek.

— Jaki warunek masz znów na myśli?

— Ten, że hrabia Hohenegg będzie księciem.

— Człowieku... ty jesteś rzeczywiście wszechwiedzący! Właśnie tę nowinę miałem przygotowaną dla ciebie na sam koniec, żeby cię ostatecznie zadziwić. I po to człowiek przybiera obce nazwisko i stara się ze wszystkich sił poznać ważne tajemnice, by kiedy uda mu

się już coś podsłuchać, dowiaduje się, że cały jego trud poszedł na marne, gdyż owa tajemnica od dawna tajemnicą nie jest. Niech diabli wezmą całe to szpiegowanie! Przy tym zajęciu nie czekają na człowieka żadne laury.

To oburzenie Artura było tak komiczne, że doktor wybuchnął śmiechem.

— Sądzę, że będziesz jednak zadowolony, przyjacielu! Bardzo chętnie podzielę się z tobą laurami, które zdobyłem.

— Dziękuję ci bardzo, ale niczego nie przyjmę. Czy książę wie o tym wszystkim?

— Tak wie, i zostały już podjęte wszelkie niezbędne kroki, po to, by winni zdrady stanu wpadli w zastawione przez siebie sidła.

— Dzięki Bogu! W takim razie jestem spokojny. Pozwolisz, że odejdę! Nikt nie powinien widzieć nas razem, by nie powstało podejrzenie, iż mój strój służącego to tylko przebranie. Tymczasem bądź zdrów i nie zapomnij, że obecnie jestem marynarzem, Frickiem Wilmersem.

W gościnnej izbie karczmy jeszcze chyba nigdy dotąd nie było tak osobliwie mieszanego towarzystwa jak tego wieczoru. Rozbiło się ono na dwie grupy: jedną tworzyli pasza, jego córka i Frick Wilmers, drugą zaś Maks, Tomasz, jego brat Baldwin i Karavey.

Przy jednym ze stołów prym wiedli Tomasz z bratem. Właśnie zabrał głos starszy czeladnik:

— Ta Cyganka każe długo na siebie czekać. Wszakże nie miałym przeciwko temu, gdyby któryś z was poczęstował mnie Ampalemą.

Sternik pogrzebał ze spokojem w torbie, po czym wyciągnął wielką bulwę tytoniu do żucia.

— Masz, ty stary kowalski miechu.

— Piękne dzięki Paldwinie! Sam sobie połam na tym zępy. Hejże karczmarzu!

Właściciel gospody poszedł do Tomasza, gotów spełnić każde jego życzenie. Mimo swego krótkiego pobytu tutaj, obaj bracia zdążyli już de wieść, że nie wylewają za kołnierz, nie mogąc się przy tym nachwalić jakości podawanych im trunków. Wypijali ogromne ilości wszystkiego, ale gdy przychodziło do płacenia, to nie żalowali grosza.

— Macie tu gospodarzu Ampalemy? — spytał kowal.

— Nie.

— W takim razie wystarajcie się zaraz o jakieś, po jak nie to trzepa pędzie zamknąć tę gospodę! A zresztą przynieście co tam macie!

Karczmarz poszedł poszukać czegoś, czym mógłby zadowolić gościa, tymczasem Maks wyciągnął ze swej pełnej cygarnicy jedną sztukę i podał ją Tomaszowi.

— Może poczęstujesz się moim, Tomaszu?

Ten wziął cygaro, a następnie uniósł w górę brwi.

— Ampalema?

— Niestety, nie — odrzekł, śmiejąc się Maks. — To tylko Habana.

— Habana? Też dobra, jeśli akurat nie ma pod ręką najlepszej marki. Paldwinie — zwrócił się do brata — czy Cyganka już wie, że ci, których oczekiwała, przypyli?

— Na pewno. Sam ją przecież o tym powiadomiłem, dając umówiony znak.

— Dając znak? Jaki?

— Niedaleko stąd znajduje się leśna polana, widoczna z miejsca, w którym obozuje Lilga. Wiadomość miała zostać przekazana za pomocą białej chusty. Najpierw przybył Nurwa Pasza, rozciągnąłem więc chustę na porębie. Potem przyjechaliście wy, więc zabrałem ją stamtąd. To wszystko.

— Całkiem niezły pomysł! Ale czy Lilga rzeczywiście...

Tomasz przerwał. Drzwi otwarły się i w progu stanęła ta, o której właśnie była mowa. Obrzuciła szybkim spojrzeniem obecnych. Czy wiedziała, kogo oprócz tych, na których czekała zastanie tutaj? Jeśli nie, to i tak nie dała niczego po sobie poznać. Na Arturze jej wzrok zatrzymał się o ułamek sekundy dłużej, niż na pozostałych, potem jednak spoczął na obliczu Nurwana.

On zaś, gdy tylko Lilga weszła podniósł się. I teraz prawie po dwudziestu pięciu latach, stało znów na przeciw siebie dwoje ludzi, tak sobie kiedyś bliskich, a których los odsunął tak daleko. Przypatrywali się sobie wnikliwie, jakby szukając jedno w rysach długiego, podobieństwa do kogoś, kogo obraz być może wspominali.

Dzień wcześniej *vajdzina* zaskoczona niespodziewanym pojawieniem się brata nie potrafiła, będąc przecież tylko słabą kobietą ukryć swych uczuć wzruszenia. Na dzisiejsze spotkanie, mogła się już przygotować. Tylko uważny obserwator mógł zauważyć, że jej smagła twarz pociemniała jeszcze bardziej.

Z pozostałych osób znajdujących się w karczmie, jeden jedyny Karavey wiedział co łączy wielkiego admirała padyszacha i Cygankę. Musiało więc to spotkanie stanowić dla wszystkich nie lada zagadkę. Lilga, która zatrzymała się przez chwilę w progu, weszła do środka, kierując się prosto do Nurwana Paszy. Podała mu rękę i powiedziała tym tak dobrze znanym, niewzruszonym tonem:

— To Bhowannie sprawia, iż róże które kwitną, muszą zwiędnąć. Dziękuję ci, że przyjąłeś moje zaproszenie. Kim jest ta dziewczyna u twego boku?

— To moja córka, me jedyne dziecko i ono powie ci, że bardzo jestem szczęśliwy, i że znalazłem w końcu swą miłość.

Vajdzina słuchając tego co mówił, pochyliła głowę lekko w bok, jakby zdziwił ją ton jego głosu, a kiedy skończył zwróciła się ku Sulejce. Spojrzała dziewczynie głęboko w oczy i twarz jej ożyła, a wargi drżały, gdy mówiła:

— Dlaczego syn ziemi miałby się smucić tym, że zwiędła jedna róża? Obok przecież rozkwitła druga i dzięki niej łatwiej będzie zapomnieć o wszystkich cierpieniach. Moje dziecko, podaj mi swą dłoń!

Dziewczyna z uśmiechem wyciągnęła ku Cygance prawą rękę. Lilga uważnie przyglądała się zapisanym na niej liniom, a jej twarz promieniała coraz bardziej.

— Nie obawiaj się wody, ona przyniesie ci radość i szczęście. Daleko na południu on spotkał cię w falach wielkiej rzeki, na północy ty spotkasz jego, pływającego po morskiej głębinie pośród ognia i huku bitewnego zgiełku. Wtedy dowiesz się jak blisko ciebie on zawsze był.

Sulejka zaczerwieniła się, również Artur był bardzo zdumiony. Skąd Cyganka mogła wiedzieć o tym spotkaniu nad Nilem? Zdziwienie młodego barona wzrosło jeszcze bardziej, gdy Lilga skierowała swój przenikliwy wzrok na niego.

— Również i wy podajcie mi swoją rękę mój piękny panie.

Dlaczego Lilga wybrała właśnie jego? Czyżby przejrzała go i dowiedziała się kim jest? Może istotnie posiadała jakieś nadzwyczajne zdolności, których pozbawieni są zwykli śmiertelnicy, albo... odgrywa przed nim komedię? Już chciał odmówić, gdy Cyganka błyskawicznie złapała go za rękę i przytrzymała mocno w swojej. Po chwili, rzekła.

— Tego co widzi wieszczka nie skryje żaden strój, ani szata. Przyjaciela twego będzie zdobić korona, ty zaś doczekasz się wielkich zaszczytów. Hrabiowie i książęta przebywają teraz w górach, a w niewielkiej chatce żyje władczyni całego narodu.

Wypowiedziawszy te słowa odwróciła się na pięcie, pozbawiając całkowicie ogłupiałego Artura możliwości zabrania głosu i rzekła do karczmarza:

— Czy izba, w której mamy się naradzać jest już przygotowana?

— Tak, pani.

— Zatem prowadź nas, to znaczy: paszę, doktora i mnie! I postaraj się, żeby nikt nam nie przeszkadzał!

Karczmarz otworzył drzwi i ruszył przodem. *Vajdzina* podążyła za nim,; nie troszcząc się wcale czy pozostali zaproszeni idą również. Ale przecież ona była tu dzisiaj królową i nie musiała się na nikogo oglądać.

Nie minął nawet kwadrans, gdy Nurwan Pasza, Maks Brandauer i Liga zasiedli wspólnie do ważnej narady, która przeciągnęła się aż do późnej nocy. Debatowali ze sobą tylko: syn kowala,

dawny kapitan piratów oraz Cyganką nikomu więc nie przyszłoby nawet na myśl, że w tej małej izdebce odbywało się posiedzenie, od którego zależeć miały losy dwóch sąsiadujących ze sobą państw.

NA ZAMKU FALKENEU

Burzliwy i deszczowy wieczór okrył swymi skrzydłami stolicę Süderlandii. Światło ulicznych latarni z trudem przebijało się przez strugi spadającej z nieba ulewy.

Kogo konieczność, ani obowiązek nie zmuszały do wyjścia na ulicę, ten z całą pewnością nie opuszczał swego domowego zacisza.

A jednak, gdyby jakiś obserwator znalazł się wtedy na jednym z przedmieść Katharinenstadt mógłby zauważyć w bladym świetle latarni przemykające gdzieś postacie. A gdyby jeszcze spróbował pójść za nimi, spostrzegłby, że wszystkie zmierzają w tym samym kierunku, a mianowicie, ku licznie odwiedzanemu przy tej pogodzie miejscu zabaw, które oddalone od miasta, leży samotnie na skraju lasu.

Nie wiadomo, czy to lejący strugami deszcz, czy może jakaś inna przyczyna kazały wszystkim tym ludziom otulać się tak szczelnie, by o ile to możliwe, nikt nie zauważył ich twarzy? Zdarzyło się więc, że gdy jeden z nich mijał szybkim krokiem drugiego, to nie padło żadne słowo pozdrowienia, chociaż było pewne, że łączy ich ta sama sprawa. Ku opisanemu miejscu toczyły się również liczne powozy i karety. Osobliwe było także i to, że nie podjeżdżały one na samo miejsce spotkania, lecz zatrzymywały się w pewnym oddaleniu, gdzie ich pasażerowie wysiadali.

Wśród spieszących w tamtą stronę przechodniów dało się wyłowić jedynie dwóch takich, którzy trzymali się razem. Jeden z nich był wysoki i barczysty, drugi zaś mały i smukły.

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! — wymyślał olbrzym. — Cóż to za brak dyscypliny i obyczajowości!

— Co?

— Mówię wyraźnie, że te powozy mijają nas nie zważając, czy może jeszcze chodzą po tej ziemi jakieś inne istoty. Ten ostatni o mało mnie nie obalił, a do tego obryzgał błotem, aż po samą kotwicę.

— No to zejść na bok.

— Też coś! Woda mi nie szkodzi, ale ta bryja! Popatrz tam! Widać jakieś światła między drzewami. Czy to do tamtego portu mamy zawinąć?

— W każdym razie tak by wynikało z opisu.

— Co za słowo musimy tam powiedzieć?

— Odplacić pięknym za nadobne.

— O, zdaje się tutaj droga skręca No to kurs na sterburtę!

Znaleźli się przed budynkiem, w którym świeciło się tylko w jednym oknie. Drzwi były zamknięte. Karavey zapukał. Po kilku sekundach usłyszeli kroki, a potem pytanie:

— Kto tam?

— Goście.

— Czego chcą?

— Odpłacić pięknym za nadobne.

Drzwi zostały odryglowane.

— Proszę do środka! Wejście jest na wprost.

Ruszyli po omacku w ciemnościach, aż doszli do następnych drzwi i znów zapukali. Znaleźli się w małym pomieszczeniu, wypełnionym płaszczami, kapeluszami i parasolami. Pozwalało to domyślać się, że przybyła tu spora liczba ludzi. Człowiek, który otworzył drzwi przyglądał się im podejrzliwie.

— Kim jesteście?

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! — odrzekł niezadowolony sternik. — Czy wyglądamy chociaż trochę na zdrajców, albo szpiegów? Podaliśmy hasło i to wystarczy! Gdzie odbywa się zebranie?

— Nie byliście tu nigdy przedtem, więc dlatego się pytam. Zresztą to mój obowiązek.

— W porządku. Ja się nazywam Baldwin Schubert, a to jest mój przyjaciel Karavey.

— Dobrze! Przejdźcie przez tamte drzwi. Wcześniej jednak chciałbym się dowiedzieć, czy mam was zaprowadzić do jakiejś konkretnej osoby?

— To się dopiero okaże.

Przez wskazane drzwi weszli do jasno oświetlonego pomieszczenia, którego okna były szczelnie zasłonięte. Na ławach i krzesłach siedziało ponad sto osób, różnych stanów, obecni byli również oficerowie. W głębi na mównicy stał młody człowiek, który skończył właśnie swoje wystąpienie. Po sali biegał tu i tam kelner, obsługując gości. Wystarczyło, że sternik go tylko dojrzał, a już poweselała mu mina.

— Hej bosmanie, tutaj jest jeszcze miejsce! No, dziś taka pogoda, że nie da się wyjść z gospody. To co, golniesz sobie jednego?

— O to chyba nie musisz się pytać?

— Kelner!

Głośnie wołanie przebiegło przez salę i w jednej chwili oczy wszystkich skierowały się na dwóch mężczyzn, których powierzchowność wzbudziła zrozumiałą sensację.

Pojawił się kelner.

— Panowie sobie życzą?

— Dwa głębsze i przewodniczącego!

Kelner wyglądał jakby mu odebrało mowę. Nie wykluczone, iż był on człowiekiem małymównym.

— Panowie życzą sobie pana przewodniczącego?

— Tak, niech pan nam go tu przyśle!

Okazało się, że przewodniczącym był ów człowiek, który skończył przed chwilą przemówienie. Gdy tylko kelner przekazał mu życzenie sternika i bosmana podszedł do nich i serdecznie uściśnął dłonie.

— Nie należycie panowie jak mi się zdaje do wtajemniczonych, gdyż musiałbym was znać. Dlatego przypuszczam, że jesteście posłańcami.

— To prawda.

— Przychodzicie od Lilgi?

— Tak, od niej. Mam panu przekazać ten list. Przewodniczący wziął go, otworzył i przeczytał, twarz mu pojaśniała, a oczy rozbłysły. Szybkim krokiem wszedł na mównicę.

— Bracia! Nadszedł moment, na który czekaliśmy. Właśnie otrzymałem list od naszych braci sprzymierzeńców, który wzywa nas do natychmiastowego działania. Ruchy wojsk na granicy, każą spodziewać się lada chwila ich wtargnięcia do Norlandii. Tam zaś przygotowane już jest i to w najdrobniejszych szczegółach, powstanie. Najmniejsza, nieprzewidziana okoliczność spowodować może lawinę okropnych i strasznych wydarzeń. Musimy być przygotowani na wszystko. Powstanie w Norlandii, w odróżnieniu od naszego nie znajduje dla siebie żadnych uzasadnionych powodów i jest niczym innym jak tylko spiskiem przeciwko obecnemu władcy. Hrabia Hohenegg ubiega się o tron i zamierza dostać się nań w drodze zamachu stanu. Gotów jest w tym celu pozbawić życia tysiące ludzi, jakkolwiek wszystko to na nic, gdyż jego intrygi zostały odkryte i ani chybi wpadnie w zastawione przez samego siebie sieci. Bracia jesteśmy rozsądniejsi niż ów hrabia, który dla zdobycia władzy nie waha się doprowadzić do tego, by naród wystąpił przeciw prawowitemu władcy. My zachowujemy wszelką niezbędną ostrożność. Nikt się nie domyśla, że tu w samym sercu Süderlandii żarzy się ogień, który po tamtej stronie powinien zapłonąć z całą mocą. A gdy księżę Norlandii posłucha tych, którzy mu sprzyjają i dokona odpowiednich dla naszych czasów reform, to wszyscy jego poddani powitają to z największą radością, a powstanie zmieni się w ruchpoparcia dla jego osoby. Nasze wojska zostaną wtedy same i ośmieszone, nie mając kogo wspierać, zaś rząd Süderlandzki skompromituje się przed całym światem, co jak najbardziej odpowiada naszym planom. Jestem zdania, że powinniśmy ten blamaż rządu wykorzystać i dopomóc w tym.

Głośne okrzyki aprobaty nagrodziły te słowa, mówca zaś kontynuował

— Najlepiej, gdyby udało się nam zdeorganizować działalność armii, paraliżując wszelkie podejmowane przez nią posunięcia, zarówno strategiczne jak i taktyczne, należy zająć się unieruchomieniem naszej marynarki. Wiemy, że jedna z jej flot zamierza zdobyć Ollermünde, norlandzki port wojenny, by następnie doprowadzić do blokady wybrzeża. Temu należy zapobiec. Są wśród nas wysocy oficerowie marynarki im będzie łatwiej zrealizować to przedsięwzięcie. Pozwolicie, że odczytam teraz ten list, a potem będziemy się naradzać!

Wiadomości przekazane przez Lilgę wywołały entuzjastyczny nastrój. Nie mogli się nadziwić, że była ona tak dobrze poinformowana. Następnie zaczęły się obrady, ale sternik i Karavey zupełnie się tym nie interesowali.

Po pewnym czasie znów podszedł do nich przewodniczący.

— Panowie, jesteście jak mi się zdaje, marynarzami?

— Tak — odpowiedział Schubert. — Ja jestem sternikiem a mój przyjaciel bosmanem i obaj pochodzimy z Norlandii.

— Czy mógłbym wam panowie powierzyć pewną misję?

— Ma się rozumieć.

— Czy byliście już panowie kiedyś w Karlshafen?

— Tak, wiele razy.

— Trzeba dostarczyć komandorowi porucznikowi Arturowi von Falkenau list, który nie może dostać się w niczyje inne ręce. Przyjdźcie więc jutro wczesnym rankiem. Właściciel tego domu da wam pismo. Pamiętajcie, że robicie to nie tylko dla nas i Lilgi, ale również dla waszej ojczyzny.

* * *

Przy ujściu wpadającej do morza rzeki leży największy port Süderlandii, Karlshafen. U stóp góry, wokół której wznosi się półkolem miasto, ciągną się zewnętrzne umocnienia twierdzy, podczas gdy oba leżące na prawo i lewo od rzeki forty, niczym groźni strażnicy spoglądają daleko w morze. Zbocza góry pokrywają owocowe sady, wiejskie domki, letnie zamki i inne równie znakomite posesje, które z całą pewnością służą przedstawicielom najwyższych sfer za miejsca wypoczynku.

Wśród tych wytwornych budowli jedna wyróżnia się szczególnie swym położeniem i pięknem. Jest to wzniesiony w mauretańskim stylu zamek, który jakimś dziwnym sposobem

należy do Norlandczyka, barona von Falkenau. Przebywa on jednak w swej posiadłości bardzo rzadko, podobnie zresztą jak i jego syn Artur, który najczęściej spędza czas zdała od lądu.

* * *

Sternik Schubert i jego przyjaciel Karavey przybyli do Karlshafen pociągiem. Droga do zamku Falkenau wiodła wzdłuż portu. Sternik zatrzymywał się więc co krok, przyglądając się wszystkiemu z miną znawcy.

— Hm, — stwierdził — tu się coś dzieje.

— Co?

— Nie widzisz, że wszystkie okręty gotowe są do wypłynięcia.

— Coś nie bardzo na to wygląda.

— No bo pozory mylą, stary druhu! O pewnych przedsięwzięciach nikt nie powinien wiedzieć, plotkarzy bowiem nigdy nie brakuje. Zobacz tylko, od rana nie wpłynął do portu żaden statek.

— Czy uważasz, że omawiany na wczorajszym spotkaniu spiskowców plan, należałoby wprowadzić w życie? Mam na myśli unieruchomienie marynarki, po to, by nie można było użyć jej w decydującym momencie.

— Jestem o tym przekonany. Gdyby plan ten powiódł się, nam Norlandczykom byłby na rękę. A z drugiej strony jeśli się nie powiedzie, może kosztować organizatorów życie.

— Hm, wiele dałbym za to, aby móc być w Norlandii. Jest przecież piekielnie nieprzyjemnie wiedzieć, że niedługo zaczną gwizdać kule, a my ciągle znajdujemy się w nieprzyjacielskim kraju. A co będzie, jeśli nas zamkną?

— Masz rację. Czasy są takie, że trzeba mieć swoje papiery w najlepszym porządku. Zresztą od wczoraj twoja siostra zaczyna mnie ciekawić coraz bardziej. Wszystko wie, wszystko widzi i trzyma w swym ręku nici wszystkich wydarzeń, nie tylko tam w Norlandii ale i tu. Skąd u niej taka wiedza?

— Daj sobie z tym spokój, stary tego się nigdy nie dowiesz. Nawet ja, jej brat nie potrafię ci tego wyjaśnić. Patrz tam, na tę małą zabawkę! Co to może być za rodzaj łodzi?

— Rzeczywiście, osobliwe maszty. Jak żyję nie widziałem czegoś podobnego na żadnym jachcie. To chyba musi być prywatny statek, należący najprawdopodobniej do jakiegoś zwariowanego Anglika. Przydałoby się jednak go obejrzeć!

— Chodź — upomniał Baldwina Karavey, — musimy się dostać do zamku! Potem możemy zawinąć gdzieś i golnąć sobie niezgorzej.

Sternik przyjrzał się wznoszącej się przed nimi górze.

— To chyba ruszamy do zamku dróżką, która przypomina drabinę linową.

Ledwie zdążyli na nią wejść, gdy Karavey zatrzymał się nagle.

— Stop! Widzisz tego marynarza, który żegluje w dół?

— Naturalnie, przecież to Frick Wilmers!

— Skąd on idzie?

— Jak to skąd? Wraca od paszy, którego jest służącym, a który mieszka jako gość w zamku Falkenau.

— Hm, przypominasz sobie jak właściciel karczmy w górach mówił, że ten człowiek jest podobny do komandora Falkenau. Czyżby rzeczywiście to był on?

— W takim razie dlaczego udaje marynarza?

— Dla żartu, nie wiesz, że ludzie z wyższych sfer lubią tak robić?

— No, ale tam w górach występował jako służący.

— Już się o to nie martw. Gdyby jakaś dziewczyna była jak piękna mała feluka, też bym jej usługiwał, nawet gdybym był królem.

— Ciekawe co powie, gdy nas zobaczy?

— Zaraz się dowiesz, chodź!

Złapał sternika za ramię i wciągnął go w pobliskie krzaki. Artur przeszedł obok, niczego nie zauważywszy. Ledwie ich minął, Karavey zawołał za nim półgłosem:

— Panie kapitanie!

Zawołany odwrócił się natychmiast. Z zarośli wygrzebały się dwie postacie, na wpół zmieszany sternik i mający niezwykle przebiegłą twarz bosman.

— Przepraszam, kogo tu wiatry przyniosły, marynarza Fricka czy pana komandora Artura von Falkenau?

— Chwileczkę a o co chodzi?

— Udajemy się właśnie na górę, aby odnaleźć pana komandora.

— A czego od niego chcecie?

— To możemy powiedzieć tylko jemu osobiście.

Artur rozejrzał się dokoła, aby upewnić się czy nie są podsłuchiwani.

— To ja. Co macie mi do powiedzenia?

— Hm, za pozwoleniem, ale musimy mieć pewność co do tego, gdyż wiadomość, którą przynosimy nie może wpaść w niepowołane ręce. Mógłby pan nam udowodnić, że mówi prawdę?

— Nic prostszego! Chodźcie proszę, za mną na zamek!

Odwrócił się i ruszył tą samą drogą, którą przyszedł. Gdy dotarli do zamku, zaprowadził ich prosto do mieszkania zarządcy, gdzie zastali jego żonę.

— No, matko Horn, proszę podać tym panom moje nazwisko, ale to prawdziwe.

Kobieta skłoniła się nisko przed Arturem.

— Wedle rozkazu, łaskawy panie! — następnie zwróciła się ku marynarzom. — Osoba, z którą macie zaszczyt panowie rozmawiać, to baron Artur von Falkenau, komandor porucznik...

— Już dobrze wystarczy! — przerwał jej Artur. — No, a teraz moi panowie, czy jesteście przekonani?

Karavey zdjął bez słowa swą frygijską czapkę, odchylił podszewkę i wyciągnął stamtąd list. Komador szybko zaczął czytać:

Panie komandorze, dowiedzieliśmy się, że w najbliższych dniach pańska osoba ma zostać aresztowana, by w nadchodzącej wojnie, pozbawić Norlandię zdolnego oficera marynarki wojennej. Ponieważ nasze cele są różne od tych, które zamierza realizować rząd naszego kraju, dlatego zdecydowaliśmy powiadomić pana o grożącym mu niebezpieczeństwie. Oczywiście zależeć będzie tylko wyłącznie od pana, czy zechce nam uwierzyć, czy nie. Proszę wszakże w najbliższym czasie mieć się na baczności.

Prawdziwi Süderlandzcy przyjaciele.

Z każdym przeczytanym słowem mina Artura poważniała coraz bardziej. Zamyślony złożył list i schował do kieszeni.

— Opowiedzcie mi panowie jak weszliście w jego posiadanie? Sternik i bosman poinformowali więc młodego barona o treści pisma jakie Lilga wysłała do Süderlandii, na zebranie spiskowców. Wspomnieli również o wygłoszonym tam przemówieniu. Komador słuchał z uwagą, a gdy skończyli, przeszedł zadumany kilka razy po pokoju, potem zatrzymał się przy oknie i spojrzał na port.

— Jesteście Norlandczykami?

— Tak.

— Na urlopie?

— Chwilowo bez przydziału.

— A co zamierzacie teraz robić?

— Hm — mruknął sternik, — gdyby to było możliwe to przy pierwszej okazji wrócilibyśmy do Norlandii. Coś mi się zdaje, że niedługo przyda się tam każda para mocnych pięści.

— Macie rację. A czy zechcielibyście mi towarzyszyć?

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! To jest właśnie to, co by nam najlepiej pasowało.

— Istnieje jednak pewien szkopuł. Czy zaznajomiono was z treścią listu, który dostarczyliście?

— Nie, ale możemy się jej domyślić; zapewne został pan ostrzeżony.

— Tak. Süderlandczycy chcą mnie pojmać. Dlatego trudno byłoby, o ile w ogóle jest to możliwe, wydostać się stąd w zwyczajny sposób. Gdybyście natomiast przyłączyli się do mnie, wtedy byłoby łatwiej wystrychnąć Süderlandczyków na dudków. Czy zauważyliście w porcie taki mały jacht?

— Tak.

— Myślę, że bardzo by się nam, przydał. Należy wprawdzie do Nurwana Paszy, mojego gościa, ale chyba nie byłby na mnie zły do końca życia, gdybym go sobie od niego na pewien czas pożyczył. Dobrowolnie jednaki by mi go nie dał i to jest powód, dla którego potrzebuję waszej pomocy. Musimy bowiem poradzić sobie z załogą tego jachtu, chociaż to nie powinno być zbyt trudne, gdyż składa się ona jedynie z dwóch ludzi. Przyglądałem, się wam w górach i sądzę, że mogę na was polegać. Poradzicie i sobie z obsługą tej łodzi?

— Jasne, przecież to nic trudnego! — stwierdził sternik.

— No to załatwione. Zgoda?

— Zgoda! — krzyknął zadowolony sternik.

— Zgoda! — powtórzył bosman.

— W takim razie dziękuję wam. Wprawdzie nie mogę jeszcze teraz i powiedzieć, kiedy będę was potrzebował, ale dowiecie się tego w stosownej chwili. Tymczasem jesteście moimi gośćmi. Matko Horn, proszę dopilnować, aby ci panowie dobrze się tutaj czuli. Pasza, rzecz jasna nie może o niczym wiedzieć, dlatego byłoby dobrze, żeby was tu nie zauważył. Widział was bowiem u Lilgi i mógłby nabrać jakichś podejrzeń.

* * *

Nad lądem i morzem stał pogodny, piękny dzień. Promienie słońca tańczyły złotymi, srebrnymi i purpurowymi odblaskami po morskich falach, a gdy zanurzał się w nich wioślarz,

bądź z głębin wyfruwająca ryba, to zdawało się, że wkoło sypią się diamenty, perły i rubiny. Z wysokich brzegów' nachylała się w dół bujna roślinność, której mocna, soczysta zieleń potrafiłaby orzeźwić zmęczone oczy.

Na górze, w znajdującej się na zamku Falkeneu altanie, siedziała Sulejka. Obok niej zajęła miejsce zarządczyni zamku, która z założonymi na nosie binoklami naprawiała pończochy. Wiedziała, że nie musi się tego prozaicznego, ale bardzo potrzebnego zajęcia, przed tą młodą Turczynką wstydić; przeciwnie, te małe rączki już nieraz jej pomogły.

Obie damy, pogrążone były w rozmowie.

— I ta wielka podróż w ogóle pani nie zmęczyła? — spytała matka Horn.

— Ani trochę, czuję się nawet silniejsza. A czy pani zauważyła, że stałam się ładniejsza? Teraz mam opaloną twarz, a przedtem byłam taka blada, czyż nie?

— Ależ oczywiście moje dziecko, teraz wyglądasz dużo zdrowiej. No, ale wielu mężczyzn woli białe buzie.

— To są tacy? Papa mówi, że lubi brązowe policzki, bo one świadczą o zdrowiu. Istnieje nawet takie przekonanie, że ludzie chorzy są zawsze bladzi. Niech pani pomyśli, jakby to dziwnie wyglądało, gdyby nasz marynarz miał bladą twarz.

— Nasz marynarz? Kto taki?

— No, Frick.

— Ach tak, właśnie, przecież to jest „nasz” marynarz. I rzeczywiście on tak dobrze spisał się podczas podróży?

— Bardzo dobrze, chociaż ciągle musiałam go besztać. Gdyby mógł to wyciągałby spod moich nóg najmniejszy nawet kamyk i w ogóle nie pamiętał o sobie ciągle tylko myślał, jakby tu jeszcze naszą podróż uczynić mniej męczącą i przyjemniejszą. Bardzo bym chciała, żeby on nie był ani marynarzem, ani służącym.

— Nie? To kim miałby być?

— No... no kapudynem paszą, albo generałem albo... albo baronem.

— A dlaczego właśnie kimś takim, moje dziecko?

— Ponieważ... właściwie to dokładnie nie wiem, może dlatego, że wtedy też i on mógłby kazać, aby służono mu tak pięknie, jak on służy teraz nam i... dlatego, że ja życzyłabym mu tego z całego serca.

Matka Horn uśmiechnęła się do siebie w duchu, rozumiejąc co Sulejka ma na myśli.

— No, a czy wtedy moje dziecko, jego towarzystwo byłoby dla pani miłe?

— Tak, gdyż on w ogóle nie przypomina ani marynarza, ani służącego. Kiedy wyda mu się jakiś rozkaz, to widać, że wykonuje go z radością i nie ma w tym żadnej uniżoności. Zresztą

rozkazuje mu tylko papa, ja zawsze go proszę, a gdy mówię do niego przyjacielskim tonem, to on patrzy na mnie..., że gdyby ktoś inny tak na mnie patrzył, to nie pozwoliłabym mu na to.

— Dlaczego, moje dziecko?

— Dlatego... dlatego, nie wiem jak mam to wyrazić, ale wydaje mi się, że tak można patrzeć tylko na kogoś, kogo się lubi.

— Mówiła pani, moje dziecko, że jego towarzystwo byłoby pani właściwie to jest to samo, jakby go pani lubiła.

Rozmowa przyjęła zupełnie niezamierzony kierunek. Sulejka zaczerwieniła się.

— Chyba tego wszystkiego nie rozumiem i dlatego chciałam przede żeby był kapudynem paszą, generałem albo jakimś baronem. Naprawdę myślę, że to by do niego pasowało. Ale, ale czy widzi pani ten parowiec który wpływa do portu? — spytała dziewczyna zmieniając temat.

— Tam? Tak, a ilu ma pasażerów na pokładzie?

— Może jest tam również i baron, ten komandor porucznik.

— Chyba nie, gdyby tak było, to przesłałby wcześniej wiadomość. Chciałabyś go zobaczyć, moje dziecko?

— Tak, bardzo wiele o nim słyszałam. Jest przecież najlepszym i najodważniejszym oficerem norlandzkiej marynarki wojennej.

— Tak, to prawda. A nasz stary pan, jego ojciec, jest najlepszym i najodważniejszym oficerem armii lądowej w Norlandii. Zresztą obecnie nie ma on z wojskiem nic do czynienia. Niech pani patrzy, moje dziecko, parowiec zacumował i pasażerowie schodzą na ląd.

— Rzeczywiście jest ich bardzo wielu; dzielni ludzie. Statek bowiem wygląda jakby przybył z daleka. Czy zauważyła pani tego pana z siwymi włosami? To musi być ktoś zacny, gdyż ma ze sobą służącego.

— A tego? Tak, cóż moje oczy nie są już tak ostre ja pani. Widzę wprawdzie... rany boskie, dziecinko, przecież to mój łaskawy pan!

— Stary czy młody?

— Oczywiście, że stary, młody nie mógłby mieć jeszcze takiej siwej głowy. Co za radość! Muszę natychmiast pobiec do domu i zatroszczyć się, aby go należycie powitano. Chodźmy!

— Niech pani na razie przywita go sama.

— Dobrze, w takim razie ty moje dziecko zostań tutaj, ja muszę lecieć. I „poleciała” ogrodową dróżką, z prędkością o jaką nikt by osoby w jej wieku nawet nie podejrzewał. Pierwszym kogo spotkała, był Frick Wilmers.

— Łaskawy... chciałam powiedzieć Frick, czy pan wie, kto właśnie przyplłynął statkiem?

— Teraz?

— Łaskawy pan. Zaraz będzie tutaj. Musimy go hucznie przywitać.

— Stop! Do tego nie może dojść.

— Dlaczego?

— Mam swoje powody. Nikt nie może wiedzieć, że on przyjechał. Niech powie o tym wyłącznie swemu mężowi, a poza tym zachowa całkowitą dyskrecję. Ja wyjdę mu na spotkanie.

Podszedł do małej furtki i zobaczył, że baron ze służącym byli w połowie drogi do zamku. Baron także spostrzegł swego syna i zaczął mu radośnie machać. Artur położył palec na ustach. Ojciec zrozumiał i pozostałą część drogi przebył w milczeniu. Syn przyjął go w chłodny, choć uprzejmy sposób.

— Pan do kogo?

— Do młodego pana barona.

— Nie ma go, wyjechał.

— Och, a pan kim jest?

— Nazywam się Frick Wilmers i jestem marynarzem, a teraz również służącym Nurwana Paszy, który bawi obecnie na zamku.

— Ach tak! — uśmiechnął się ze zrozumieniem baron — No to już wiem, kogo mam przed sobą. A teraz niech pan zgadnie, kim ja jestem.

— Tego nie wiem.

— Jestem właścicielem tego zamku.

— Och! Baron von Falkenau? Proszę mi wybaczyć! Nie miałem zaszczytu wcześniej pana poznać. Czy to służący łaskawego pana?

— Tak, jest u mnie niedawno. Artur zwrócił się teraz do służącego.

— Widzi pan tam, obok tego wielkiego holendra mały jacht?

— Tak.

Proszę się udać więc natychmiast z rzeczami pana barona na pokład tego jachtu! Gdyby pana pytano, to proszę powiedzieć, że to z rozkazu kapudyna paszy. Sternik może już rozpalić pod kotłem i niech załatwi zgodę na opuszczenie portu. Jacht musi być w każdej chwili gotów do wypłynięcia. Proszę zostać na jachcie i nie schodzić na ląd. Nikt nie może wiedzieć, że pan baron przyjechał.

Służący spojrział na swego pana. Ten skinął mu twierdząco głową.

— Uczyn tak i nie opuszczaj jachtu, dopóki nie otrzymasz mego rozkazu.

Służący zabrał kufer i ruszył z powrotem. Ojciec i syn zostali sami.

— Co to za powitanie, Arturze?

— Nie tutaj, ojczy! Chodź do domu! Pasza zajęty jest akurat pisaniem, a nie powinien cię na razie widzieć. Kiedy nie będziemy sami, to pamiętaj, że jestem służącym.

— Gdzie mieszka Nurwan?

— W twoich komnatach.

— A jego córka?

— W narożnym pokoju wieży.

— Coś mi się zdaje, że wybrałaś dla niej najpiękniejsze miejsce. No, a gdzie ty się zatrzymałaś? Chyba nie u siebie, twoje pokoje są przecie zbyt eleganckie jak na zwykłego marynarza.

— Zamieszkałem w przyległym do pałacu domu.

Przeszli przez ogród, dziedziniec i zatrzymali się przed stojącym obok zamku budynkiem. Przy drzwiach stał zarządca wraz z żoną.

— Cicho! — rozkazał Artur. — Gdzie jest służba?

— W zamku.

— Nie mogą się dowiedzieć, że ojciec przyjechał. Chodź papo.

Gdy weszli do izby, którą obecnie zajmował, Artur objął i serdecznie ucałował ojca.

— Witaj kochany i najdroższy papo! Ale jak to się stało, że przybyłeś tak niespodziewanie?

— Zostałem telegraficznie wezwany przez księcia. Sprawami dyplomatycznymi podczas mojej nieobecności będzie się zajmował mój zastępca. Mimo nakazanego mi pośpiechu postanowiłem wpaść na chwilę tutaj, aby się zobaczyć z tobą. To wszystko. Co się tyczy zaś tego nagłego wezwania, to rozumiesz, że nie mogę o tym mówić. Nie bardzo potrafię zgadnąć, co kazało ci odgrywać rolę służącego i przyjmować mnie w tak tajemniczy sposób.

— Jeśli o mnie chodzi, to jestem w stanie zaspokoić twoją ciekawość. Posłuchaj.

Artur opowiedział o swym pierwszym spotkaniu z kapudynem paszą, podobnie jak i o spotkaniu na wodach Nilu Sulejki. Gdy skończył, sięgnął do torby i wyciągnął z niej list.

— Przeczytaj, to otrzymałem wczoraj.

Baron przebiegł wzrokiem pismo. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie i wątpliwość.

— I jesteś przekonany, że owo ostrzeżenie nie jest jakimś głupim żartem, po to, aby nas wywieść w pole?

— Na początku sądziłem podobnie, papo! Ale kiedy rozważyłem całą sytuację, biorąc pod uwagę to co wiem o tajnym sprzysiężeniu w Süderlandii, to nie mam wątpliwości.

— Ale czy człowiek ma prawo, aby posuwać się do czegoś takiego?

— To samo powiedziałem, czy jakieś prawo nakazuje prowadzić wojnę przy użyciu perfidnych i podstępnych środków?

- Więc naprawdę chcesz wyjechać, mój chłopcze?
- Tak. Oczywiście nie uczynię tego bez ciebie.
- A jakim statkiem?
- Jeśli o to pytasz... tak się szczęśliwie składa, że w porcie stoi jacht Nurwana Paszy.
- Aha! Czy to znaczy, że odda nam go do naszej dyspozycji?
- Nie. Po pierwsze sam go będzie potrzebował, a ponadto, jesteśmy przecież przeciwnikami. Nie powinien więc w żaden sposób nam pomagać, nawet gdyby z osobistych względów chciał to zrobić.
- Zatem chcesz wejść w posiadanie jachtu nie mówiąc nic o tym paszy?
- Tak. Nawet wymyśliłem prosty plan. Wynająłem dwóch marynarzy, jako moich służących i z ich pomocą będzie można podejść tych z jachtu.
- To nie jest konieczne. Znam tych ludzi jeszcze z Konstantynopola. Pasza udostępnił mi kilka razy swój jacht, abym mógł udać się na małą przejażdżkę. Nie będą więc robić trudności, gdy się tam zjawię.
- Tym lepiej, jeśli nie będziemy musieli odwoływać się do użycia siły. Niczym innym bowiem nie dopłyniemy tak prędko do Norlandii jak łodzią paszy. Zaraz, kto tam przyszedł?
- Oficerowie, na pewno szukają ciebie. Wiedzą, że cię nie ma?
- Oczywiście papo. To komendant garnizonu z trzema podporucznikami; byli tu już w dniu mego przyjazdu. Są z nich wielcy służbiści.
- No a twoje przebranie?
- Nic o tym nie wiedzą, nie widzieli mnie.
- Również zarządca zauważył przybyszy. Wyszedł na schody i powitał ich.
- Czy pan jest zarządcą zamku Falkenau?
- Do usług, panie pułkowniku!
- Czy zastaliśmy paszę?
- Tak.
- A pana komadora von Falkenau?
- Nie, wyjechał.
- Aha! — zabrzmiało to tonem pełnym ulgi. — Dokąd?
- Nie wiadomo. Łaskawy pan często rusza na krótkie przejażdżki, ale nigdy nie mówi dokąd.
- A kiedy wróci?
- Dziś, jutro, pojutrze, albo i jeszcze później, nie wiem.

— Hm! Gdy tylko wróci niech pan o tym koniecznie zamelduje. Mam mu coś niezwykle ważnego do powiedzenia, dlatego muszę z nim rozmawiać, natychmiast gdy się pojawi.

— Zamelduję o tym, panie pułkowniku.

— Czy wie pan gdzie przebywa obecnie jego ojciec?

— W Konstantynopolu.

— Pięknie — komendant zwrócił się do swoich towarzyszy. — Moi panowie, w takim razie na dzisiaj to wszystko. Możecie wracać! A pan niech mnie zamelduje paszy! — rozkazał zarządcy.

Po chwili zarządca wrócił i spytał baronów:

— Słyszeli jaśnie panowie wszystko?

— Tak — odrzekł stary baron. — No, dobrze się spisał. Czy nie usłyszał tam może czegoś na górze?

— Łaskawy pan wie przecież, że nie podsłuchuję, widziałem natomiast, że pułkownik nim wszedł do paszy wyciągnął jakiś ogromny dokument. Była na nim książęca pieczęć.

— To wystarczy. No, a nie domyśla się dlaczego pułkownik pytał o nas?

— Nie.

— Miał rozkaz aresztować nas.

— To niemożliwe! — krzyknął wierny sługa przerażony.

— A jednak!

— To prawda — dodał Artur. — Odplywamy stąd jak najprędzej. Niech powie żonie, żeby zapakowała szybko moją bieliznę i ubrania! Za kwadrans wychodzimy.

— A gdzie odesłać kufer?

— Na dół, na jacht paszy. Wystarczy do tego dwóch służących. I niech powiadomi tych norlandzkich marynarzy, żeby czekali na nas w porcie. Tylko szybko!

Zarządca, ciągle nie ochłonawszy z przerażenia oddalił się, a za moment zjawiła się matka Horn. Cały jej wygląd świadczył o wielkim wzburzeniu.

— O mój Ty Panie Jezu, moi kochani, dobrzy panowie, czy coś takiego jest w ogóle możliwe! Łaskawy pan przecież dopiero przyjechał, a już musi ruszać w drogę. To jest... och, no tak, a ja tu stoję i opowiadam! Trzeba mi zaraz wszystko pakować! Za dziesięć minut będę gotowa.

Zniknęła równie szybko jak się pojawiła. Artur wyciągnął z bocznej kieszeni jakiś papier.

— To się może bardzo przydać, ojczy.

— Co to jest?

— Plan Karlshafen, który potajemnie narysowałem. Obejrzyj go!

— Wspaniała rzecz! — rzekł po chwili baron.

— Jeśli księżę obdarzy mnie zaufaniem i jeśli znajdzie się dość okrętów to zdobycie miasta, mimo wszystkich umocnień i min, nie zajmie wiele czasu.

— Możesz być spokojny, księżę ci ufa.

— Ale okręty! Hrabia, którego przejrzałem już dokładnie, celowo doprowadził do rozproszenia floty. U wybrzeży Norlandii nie widać żadnych żagli, tak więc o ataku morskim nie ma nawet co myśleć.

— Wydaje mi się, że ta sytuacja już się zmieniła. W czasie mojej podróży widzieliśmy wiele norlandzkich okrętów, które co wiatru w żaglach spieszyły w ojczyste strony.

— Och, to byłoby wielkie szczęście!

— Rozmawialiśmy nawet z załogą jednego z tych okrętów. Płynęli do Ollermünde. Popatrz! Zdaje się, że pułkownik wraca.

— Tak i pasza z nim jest. Mam nadzieję, że nie będzie akurat teraz czegoś ode mnie potrzebował.

Nurwan pasza odprowadził oficera aż do bramy, po czym ruszył z powrotem. Na jego obliczu malowała się wielka powaga. Widocznie wizyta pułkownika musiała dotyczyć czegoś bardzo ważnego. Zamiast jednak iść do siebie, wszedł do zajmowanej obecnie przez Artura izby. Nie spostrzegł wszakże starego barona, gdyż ten stał w głębi.

— Frick, szykuj się natychmiast do konnej przejażdżki!

— A dokąd ekscelencjo?

— Do Katharinenstadt. Nie ma bowiem teraz żadnego pociągu, ale jeśli popędzisz żwawo, to zdążysz tam przed następnym.

— A do kogo mam się udać, ekscelencjo?

— Prosto do księcia, któremu przekażesz list...

Pasza zaniemówił, dostrzegł właśnie barona, którego poznał i był widać, że zaskoczyło go to zupełnie.

— Pan baron!... Pan tutaj? Baron podszedł bliżej.

— Jak pan widzi. Czy mogę się z panem przywitać, czy...

— Ależ oczywiście — odparł Nurwan, serdecznie wyciągając ręce. — Ale kiedy pan przyjechał?

— Dopiero co. Odnalazłem pańskiego służącego, aby go spytać czy pan jest zajęty, chciałem się bowiem od razu z panem zobaczyć, gdy tymczasem okazało się, że złożył panu wizytę pułkownik.

— Właśnie wyszedł. A ja byłbym zupełnie zapomniał... hm, panie baronie, jestem w bardzo kłopotliwym położeniu względem pańskiej osoby.

— Jak to?

— Przyjaźń nakazuje mi wyznać panu coś niezwykle ważnego, podczas gdy...

Umilkł wyraźnie zmieszany. Przerwane zdanie kontynuował dalej baron:

— Podczas, gdy obowiązek panu na to nie pozwala, czyż nie tak? Ja wszakże jestem w tym szczęśliwym położeniu, że mogę pomóc panu ten dylemat rozwiązać. Otóż pułkownik powiadomił pana, że zdecydowano aresztować zarówno mnie jak i mojego syna.

— A więc został pan już poinformowany?

— Pomińmy to. Pytam tylko, czy uważa pan za swój obowiązek wziąć w tym czynny udział?

— Absolutnie nie. Wprawdzie nie powinienem robić niczego co stałoby w sprzeczności z moim poczuciem obowiązku, ale nawet gdybym nie miał wobec pana długu wdzięczności za udzieloną mi gościnę, to i tak nie widziałbym żadnego powodu, dla którego miałbym pomagać zbirom.

— Dziękuję panu ekscelencjo.

— Co zamierza pan zatem uczynić?

— Wyjechać natychmiast.

— A jak?

— To gwarantowany sposób, nie chcę jednak go ujawniać, mając na uwadze pańskie poczucie obowiązku.

— Oddałbym panu do dyspozycji mój jacht, ale muszę wyznać, być może zresztą pana to zaskoczy, że powierzono mi właśnie naczelne dowództwo Süderlandzkiej marynarki wojennej. W związku z tym żałuję, ale...

— Rozumiem pana doskonale, ekscelencjo. W ciągu kwadransa będzie pan wiedział jakiego to sposobu użyłem, aby wyjechać i sam pan potem przyzna że trudno było o lepszy.

— A pański syn, baronie? Jego również szukają.

— Domyślił się wszystkiego wcześniej i teraz jest prawie bezpieczny.

— To znaczy, że tutaj się nie pojawi?

— Zapewne nie. Natomiast jeśli chodzi o inne sprawy to proszę traktować zamek Falkenau jak swój i mieszkać tu dokąd pan będzie chciał.

— A więc musimy się rozstać!

Uścisnęli sobie ręce, a pasza udzieliwszy baronowi niezbędnych ostrzeżeń opuścił izbę. Zaraz potem nadeszła zarządczyni.

— Wszystko spakowane łaskawy panie.

— To dobrze — odparł Artur. — Niech pani posłucha, matko Horn, ani pasza, ani jego córka nie mogą się jeszcze dowiedzieć kim jestem. Resztę poleceń przekaże pani mój ojciec. Czy kufer już odesłany?

— Tak.

— Na mnie już czas. Zejdę na dół ścieżką, a ojciec dotrze tam inną drogą. Do widzenia, matko Horn!

Poczciwa kobieta otarła oczy rąbkiem fartucha.

— Mój Ty Panie Jezu, a to ci niedola i nieszczęście! Co powie panienska Sulejka, która ma pana w takim wielkim poważaniu?

— Naprawdę?

— Oczywiście. Niedawno sama słyszałam jak mówiła, iż chciałaby, żeby pan był kapudynem paszą, generałem albo baronem.

— Tak? A dlaczego?

— Dlatego, że wtedy..., że wtedy mogłaby zostać pana żoną.

— Tak powiedziała?

— Nie, tak nie, ale mówiła jeszcze coś takiego, że już ja wiem jak się sprawy mają. Och, mój łaskawy panie, z niej byłaby taka baronowa, że drugiej się nie znajdzie!

— Możliwe. No, do widzenia.

Pożegnawszy się Artur ruszył w drogę. Gdy przechodził przez dziedziniec, pospieszył do parkowej altany, którą Sulejka wybrała sobie na ulubione miejsce. Siedziała tam właśnie i widziała jak nadchodzi.

— Frick, pan mnie szuka?

— Tak, chciałbym się z panią pożegnać.

— To niemożliwe! Dlaczego pan chce odejść? Mój ojciec panu kazał, czy też może pana obraził?

— Nie.

— A więc dlaczego? Proszę mi powiedzieć!

— Jestem marynarzem i podwładnym księcia Norlandii, któremu składałem przysięgę na wierność. Pani ojciec służy księciu Süderlandii, naszemu obecnemu wrogowi. Dlatego muszę do kraju.

— Teraz rozumiem. Czemu jednak zdecydował się pan wyjechać tak nagle?

— Tego dowie się pani od paszy. Wszakże nie odchodzę na zawsze.

— Będzie chciał pan wrócić?

— Tak, o ile nie spotkamy się wcześniej. Żegnam panią.

— Ja też pana żegnam, Frick! I dziękuję panu za wszystko co pan uczynił dla mnie i dla niego ojca. Chciałabym, aby pan mógł do nas wrócić!

— Idę na wojnę, łaskawa pani. Na pewno dowie się pani wkrótce od paszy co z tego wszystkiego może wyniknąć. Mogę paść w boju, tymczasem myślę o zamku Falkenau i o gwieździe, która nad nim wzeszła. Jeśli nie zginę, wtedy zobaczymy się znowu i przyprowadzę pani kogoś, kto na pewno od dawna tęskni, aby móc jeszcze raz popatrzeć na panią z bliska, jak wtedy nad Nilem.

Przy ostatnich słowach Sulejka zaczerwieniła się, teraz jednak podniosła szybko oczy.

— Nad Nilem? Kogo pan ma na myśli?

— Pewnego człowieka, który miał to szczęście wyciągnąć panią z nurtów rzeki na brzeg.

— Jego? Och, czy to możliwe... zna go pan?

— Tak.

— Kto to jest? Jak się nazywa?

— Artur von Falkenau, komandor porucznik, syn hrabiego Wiktora, do którego należy ten zamek.

— Skąd pan to wie?

— Byłem wtedy razem z nim i teraz też z nim będę. Żegnam panią!

Chciała jeszcze o coś spytać ale jego już nie było. To czego się dowiedziała poruszyło ją do głębi. Opadła na fotel i pogrzyżała się w myślach. Z zadumy wyrwały ją kroki nadchodzącej zarządczyni.

— Proszę do mnie prędko tu przyjść, matko Horn! Mam pani coś ważnego do powiedzenia.

— Cóż takiego, moje dziecko?

— Wiem już kim on jest.

— Kto taki?

— Ten... och, matko Horn, to taka radosna wiadomość, że zupełnie nie wiem co się ze mną dzieje. Niech pani zgadnie sama kogo odkryłam?

— Hm., kogo więc?

— Człowieka, który mnie wyłowił z fal Nilu i uratował mi życie. Zna pani tę historię, opowiadałam przecież.

— Tak, pamiętam. Kogo pani zatem odkryła?

— Na pewno pani zgadnie, bo zna pani tę osobę.

— Kto to może być? Nawet jeśli ją znam to i tak się pomylę.

— Jest norlandzkiin oficerem marynarki wojennej, w stopniu komandora.

- Coś takiego? Mój młody pan? — zarządczyni udawała zdziwienie.
- Tak, on. Niech pani tylko pomyśli, właśnie on uratował mi życie, jego ojciec jest przyjacielem mego papy, a ja mieszkam w jego domu, nie mając o tym najmniejszego pojęcia.
- Niesłychane! A od kogo się pani tego dowiedziała?
- Od Fricka Wilmersa.
- Ach, od niego!
- I proszę sobie wyobrazić, że Frick był tam wtedy razem z komandorem i wszystko to widział.
- Tak, w to wierzę.
- Wierzy pani w to? Dlaczego?
- No... przecież to on pani powiedział.
- No, tak! Ale oprócz tego nie mogłam się już nic więcej dowiedzieć.
- A to czemu?
- Ponieważ on odszedł. Wie pani już o tym?
- Tak, ale mogła go pani przedtem wypytać!
- Odszedł tak prędko, że nie zdążyłam. Ale, jeżeli nie polegnie to wróci. Obiecał mi to!
- Jeżeli nie polegnie? Gdzie niby miałby polec?
- Na wojnie. Ale to jeszcze tajemnica i proszę za nic w świecie z tym się nie zdradzić.
- Niczego nie zdradzę. Więc Frick Wilmers poszedł na wojnę?
- Tak i jego komandor też, najpierw właśnie udał się do niego.
- Mój Ty Panie Jezu, a to kłopot, bieda, nieszczęście!
- Oj tak..., ale niech pani patrzy, tam na dole, nasz jacht! Wydaje mi się, że kotwica została podniesiona.
- Rzeczywiście, tak to wygląda, moje dziecko!
- Co ten nasz sternik wyprawia? Nic mi nie wiadomo, aby ojciec rozkazał wypłynąć w morze.
- A kim jest ten człowiek, który stoi tam z tyłu?
- Na tylnym pokładzie? To jest, ależ to jest Frick. Z jego ruchów wynika, że to on dowodzi, a przecież jest tylko zwykłym marynarzem!
- Czy może taki marynarz dowodzić jachtem?
- Nie, a już z pewnością nie naszym.
- No to teraz będzie musiał tego dokonać. Wiedziałam, że poszedł na jacht, bo kazał tam zanieść swoje rzeczy.
- Ale czy to z polecenia papy?

— Nie, pani ojciec nie wie, że Frick wyjechał.

— Nie? Muszę w takim razie szybko go o tym powiadomić. Na pewno nie zauważył, że jacht wypływa w morze. Chodźmy do niego.

* * *

Kiedy Artur dotarł do portu, zastał czekających tam na niego sternika i Karaveya. W kilku słowach wyjaśnił sytuację, po czym ruszyli w stronę jachtu. Właśnie wchodził na pokład stary baron, który zwrócił się do sternika.

— Pamiętasz mnie jeszcze?

— Tak, efendi!

— Wiesz, że twój pan powierzył jacht w moje ręce?

— Rozkazuj panie, ja będę posłuszny.

— Czy rozпалиłeś już pod ukrytym kotłem?

— Spełniłem wszystkie polecenia. Statek jest gotów do drogi.

— Wypływamy więc natychmiast. Ten człowiek jest moim synem i on przejmie dowództwo. Ci dwaj mężczyźni, którzy mu towarzyszą zabierają się z nami.

Już po kilku minutach wijąca bryza wydeła podniesione żagle jachtu, a jego smukła sylwetka nabierając coraz większej prędkości zaczęła kierować się ku otwartemu morzu. Stojący na tylnym pokładzie Artur przyłożył do oczu lunetę i skierował ją na zamek Falkenau. Na dachu wysokiej, ogrodowej altany ujrzał kapudyna paszę i jego córkę. Nurwan także trzymał w ręku lunetę i spoglądał na jacht.

— Ojczy, proszę cię, podejdź do mnie! — zwrócił się do barona.

— Co się stało?

— Pasza zauważył, że jego statek wypływa w morze. Wejdź na wanty i pomachaj mu chustką, żeby mógł cię poznać.

— Sądzisz, że dzięki temu unikniemy pościgu?

— Oczywiście; natomiast jeśli pasza nie dowie się, kto uprowadził jacht, niechybnie ruszy za nami.

Baron wdrapał się na wanty, chwycił się mocno lewą ręką liny, prawą wyciągnął chusteczkę i zaczął nią machać. Pasza musiał go poznać gdyż pokiwał mu w taki sam sposób. Teraz Artur wiedział, że Nurwan nie będzie niepokoił się o losy swego statku.

W krótkim czasie jacht zostawił za sobą port i znalazł się na pełnym morzu, nie można go już było dojrzeć z brzegu. Płynęli na północ, rejs odbywał się z taką prędkością, że poza słynnym „Tygrysem” Czarnego Kapitana mogli stawać w zawody z każdym statkiem.

* * *

Następnego dnia, wczesnym rankiem, przed zamkiem Falkenau zatrzymał się jeździec. Był to jakiś oficer. Musiał mocno pukać w bramę, aby mu otwarto.

— Nurwan Pasza? — spytał przybysz zarządcę, którzy mu otworzył.

— Jest tam, ale jeszcze śpi.

— Proszę go zbudzić i zameldować, oto moja wizytówka. Ja tymczasem zaczekam w ogrodzie.

Horn pojawił się po dziesięciu minutach i zaprowadził czekającego do paszy. Nurwan przyjął gościa w salonie.

— Przybywam od jego wysokości, księcia — powiedział oficer, — aby przekazać panu ten list.

Pasza zmarszczył czoło.

— Zawiera zapewne jakieś polecenie dla mnie. Pan jest adiutantem przybocznym księcia i zna pan chyba jego treść, tak?

— Tak. To mnie był dyktowany.

Pasza rozerwał kopertę i przebiegł oczami tekst.

— Jest tak jak myślałem; proszę za mną! Zaprowadził oficera na balkon, skąd roztaczał się widok na cały port.

— Księżę napisał w liście, że moje warunki zostały przyjęte. Jego wysokość był tak łaskaw i powierzył mi dowództwo nad znajdującą się w Karlshafen flotą; tylko ja pytam się pana gdzie ta flota jest? Czy zauważył pan jakiś najmniejszy jej ślad?

— Hm! Co tu się stało?

— Jeszcze wczoraj w porcie znajdowało się sześć okrętów wojennych; nocą gdzieś przepadły. Proszę niech pan wraca i zamelduje o tym księciu, a także poprosi go w moim imieniu o wyjaśnienie tej sprawy.

— Nic nie rozumiem.

— Czy kapitanowie tych okrętów mogli wypłynąć stąd bez rozkazu?

— Nie.

— No widzi pan. Proszę zatem spytać o to księcia. Ja nie mogę niczego zrobić dopóki nie otrzymam odpowiedzi.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby ekscelencja mi towarzyszył?

Pasza zaprzeczył.

— Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ja nie ubiegałem się o dowództwo nad flotą, lecz poproszono mnie, abym zechciał je objąć. Jeśli nie otrzymam dziś do wieczora stosownych wyjaśnień, wtedy wyjeżdżam. Teraz natomiast pozwoli pan, poruczniku, że go pożegnam.

Pasza uklonił się i odszedł, a na wpół zdumiony oficer opuścił zamek. Sulejka siedziała w swej ulubionej altanie i rozmyślała o owym dziwnym rozstaniu z Frickiem Wilmersem. Nagle ujrzała biegnącą ku niej zarządczynię.

— Mój Ty Panie Jezu, moje dziecko, a to ci nieszczęście!

— Co się stało, matko Horn?

— Co się stało? Coś najgorszego! Och! Och!

— Proszę, niech pani mnie nie starszy. Niech pani wreszcie powie.

— Co się stało? Zaraz się pani dowie! Wie pani co powiedział Friederich Schiller, który napisał wiele pięknych poematów?

— Co takiego?

— I wtedy kobiety zmieniają się w hieny!

— To jest straszne!

— Tak, to jest okropne i przerażające.

— Ale dlaczego z kobiet powstaną hieny?

— Dlatego... dlatego, że wybuchnie rewolucja!

— Rewolucja?

— Rewolucja, bunt, rebelia, zamach stanu i przelew krwi.

. — Proszę mi powiedzieć, gdzie ta straszna rzecz wybuchła?

— Gdzie? Mój Ty Panie! Tutaj, w Süderlandii mamy rewolucję!

— Co? Proszę powiedzieć mi coś więcej.

— Jeszcze więcej? Mój Ty Panie Jezu, powiedziałam już tyle, że wszystko jest jasne! Rebelia wybuchła w stolicy i objęła cały kraj, nawet wojsko. Księżę musiał uciekać, podobnie jak i następca tronu, który jest gdzieś w pobliżu armii, nad granicą. Tylko ona może uratować sytuację.

— Skąd pani to wszystko wie?

— Przyszedł telegram z wiadomością, niech pani popatrzy w dół, na miasto i na te powywieszane wszędzie czerwone flagi. U nas też panuje wielkie zamieszanie.

— A co mówi na to, ojciec Horn?

— Narzeka, lamentuje i jest zupełnie zrozpaczony.

— A czy mój papa wie o tym?

— Oczywiście!

— I co o tym sądzi?

— Kiwa tylko głową i uśmiecha się, uśmiecha się i kiwa głową, ale żeby coś mówił, to nie, w ogóle nic nie mówi.

— Biegnę do niego. Musi mi wyjaśnić, co się dzieje. Chciała odejść, ale matka Horn zatrzymała ją.

— Zaczekaj dziecinko, proszę przez chwilę, nie zdążyłam ci jeszcze wszystkiego powiedzieć.

— A o czym pani zapomniała?

— O czym? O czymś najgorszym co tylko można sobie wyobrazić.

— O najgorszym? Przecież powiedziała pani przed chwilą, że tym najgorszym jest rewolucja.

— Tak, ale nie w Süderlandii, lecz w Norlandii.

— Co? Rewolucja miałaby wybuchnąć także w Norlandii? To niemożliwe!

— Dobrze by było, gdyby pani miała rację! Ale niestety to prawda.

— Skąd pani ma tę przerażającą wiadomość?

— Wczoraj późno w nocy nadszedł telegram. Starano się to zataić, ale bezskutecznie. Już widzę co się stanie, skoro tutejsi rebelianci zechcą naśladować Norlandczyków.

— A co było w tym telegramie?

— Przerazające wieści! Księżę został zamordowany, a wraz z nim cały dwór. Nasza kochana księżniczka przepadła, nikt nie wie gdzie, a całą stolicę utopiono po prostu we krwi. Połowa mieszkańców Norlandii zginęła.

— Na litość boską, matko Horn, coś się pani przywidziało!

— Nie, to prawda. Wszystkie ulice zasłane są trupami. O mój biedny, łaskawy pan! Och, biedny komandor!

— Sądzi pani, że oni obaj znajdowali się w tym czasie w Fürstenbergu?

— W drodze do stolicy! — odrzekła zarządczyni.

Wzmianka o komandorze, przy którym rzecz jasna znajdować miał Frick, wywołała u dziewczyny wielki niepokój. Nie mogła już dłużej usiedzieć w altanie.

— To przerażające! Muszę iść do ojca, aby dowiedzieć się, co on o tym sądzi.

— Tak idź dziecinko! A potem wróć do mnie i powiedz mi co usłyszałaś. Mój Ty Panie Jezu, chciałabym tylko wiedzieć, czy ktoś w ogóle przeżył.

Obie naraz opuściły altanę, zarządczyni wracała do siebie, Sulejka pobiegła do ojca. Pasza zaprowadził ją na balkon, tam gdzie rankiem stał z oficerem.

— Powstanie nie jest aż tak niebezpieczne, moje dziecko. Na jego czele znajdują się ludzie szlachetni. Nie pozwolą na żadne akty barbarzyństwa. Mimo to, opuścimy Karlshafen jutro, wczesnym świtem.

— A dokąd się udamy?

— Do Norlandii.

— Pociągiem?

— Nie, statkiem

— Ale którym? Przecież nasz jacht już odpłynął.

— Odzyskamy go, a teraz skorzystamy z naszego żagło–parowca i odszukamy przyjaciela Falkenau.

— To prawda, papo?

— Naturalnie! Spójrz tam, w tamtą stronę!

— Na ten biały żagiel?

— Tak Zgadnij co to za statek?

— Chyba nie nasz żagło–parowiec?

— Właśnie on. Otrzymał ode mnie rozkaz, aby dzisiaj przyплыł, na wypadek gdybym go potrzebował. Tak też się stało, jednak z zupełnie innej przyczyny.

— Czy zawinie do portu?

— Nie. Będzie krążył niedaleko od wybrzeża. Dostaniemy się na niego łodzią. Chodźmy się pakować!

Gdy Sulejka chciała opuścić balkon, weszła zarządczyni.

— Mój Ty Panie Jezu! Nastąpiła trwoga i nieszczęście, których końca nie widać! Niech pan wybaczysz ekscelencjo, ale nie mogłam inaczej, musiałam tu przyjść, aby to panu powiedzieć.

— Co mianowicie?

— Przyszła nowa wiadomość.

— Z Katharinenstadt?

— Nie, z Norlandii.

— Myślałem, że połączenie zostało przez rewolucjonistów zerwane?

— Tak, ale oni je znowu przywrócili. Nadciąga potężna armia powstańców. Uzbrojeni są w kosy, cepy, halabardy, maczugi chcą zdobyć Süderlandię i zrównać ją z ziemią. Gdzie ja się ukryję przed tymi barbarzyńcami, kiedy przyjdą mnie zamordować?

Pasza słysząc obawy starej kobiety zaczął się śmiać.

— Ależ niech się pani uspokoi, obiecuję, że nikt nie uczyni pani nic złego. A teraz proszę zabrać ze sobą mą córkę.

Zarządczyni zamku, nieco uspokojona oddaliła się z dziewczyną.

ŚWIĘTO SIĘDMIU BRACI

Nad stolicą Norlandii zapadł zmierzch, tymczasem przed drzwiami dworskiej kuźni, zgodnie ze zwyczajem, siedziało po skończonej pracy gawędząc, troje czeladników.

— No teraz, nareszcie opowiesz nam Tomaszu wszystko! Gdzie to więc bywałeś? — spytał Henryk eks-artyleryzista.

— Daleko i wysoko w górach!

— Tylko bez głupich kawałów! Czyżby ta podróż była aż taką tajemnicą, że nie możesz nic o niej powiedzieć?

— Nie, ale jakiś tam artylerzysta nie musi zaraz wszystkiego wiedzieć. Czy Parpara Seidenmüller pytała o mnie?

— O ciebie? Nawet jej to do głowy nie przyszło. Nieprawdaż Kazimierzu?

Były grenadier pociągnął mocno ze swej fajki, dmuchnął dymem wkoło a następnie stwierdził, kiwając znacząco głową:

— Nie, to właściwie nie tak!

— Widzisz ty stary łgarzu! — oburzył się Tomasz. — Kazimierz to uczciwe chłopisko, zawsze mówi prawdę. Ty zaś jesteś człowiekiem, który... no przecież, który wcześniej był w artylerii. Wstydziliłps się!

— Co ty tam wiesz, stary kawalerzysto! My mamy do czynienia z prawdziwą bronią; dzięki temu wygrywamy bitwy i...

— I łżemy jak najęci — wpadł mu w słowo Tomasz. — Czyż nie jest tak, Kazimierzu?

Zapytany przytaknął z rozważą:

— Tak, właściwie tak.

— Nie, to wcale nie tak — odezwał się Henryk. — Wy to myślicie, że ja nic nie robię tylko blaguję, po prostu jesteście za głupi, aby pojąć, że artylerzysta może wszystkiego dokonać. Zaraz, czy to przypadkiem nie nadchodzi służący księcia?

— Rzeczywiście, to osopisty służący jego wysokości. Zdaje mi się, że idzie do młodego pana.

Istotnie, służący skierował się wprost do domu, gdzie siedziała cała rodzina czekając na niego. Przywitał się i wyniszczył cel wizyty.

— Mam zameldować, że jego wysokość udaje się dzisiaj incognito do opery.

— Dobrze — odpowiedział Maks. — Kiedy księżę wychodzi?

— Już opuścił zamek.

— A kiedy wraca?

— Późno, bowiem po operze zamierza odbyć przejażdżkę łódką.

— Dziękuję i dobranoc — powiedział syn kowala.

— Dobranoc.

Służący się oddalił, zaś Maks zwrócił się do ojca.

— Taka ostrożność jest konieczna. Nawet osobisty służący nie potrzebuje wiedzieć, że książę ma jakieś inne plany. Ty ojciec udasz się do ogrodu hrabiego i będziesz pilnował wejścia na tajne schody, a gdy wrócę poinformujesz mnie o wszystkim. Idę.

Zabrał nóż, rewolwer i wyszedł przed dom, gdzie siedzieli czeladnicy.

— Macie czas? — spytał. Natychmiast podnieśli się wszyscy trzej.

— Oczywiście! — odparł Tomasz.

— Chcę, żebyście mi towarzyszyli; ale nikt nie śmie się dowiedzieć, gdzie byliśmy, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy. Ta przechadzka nie będzie bezpieczna. Możliwe, że przyjdzie się mi nawet bić. Dlatego zabierzcie ze sobą młoty i sznury.

W ciągu minuty wszyscy trzej byli gotowi.

— Nasz droga wiedzie przez miasto, a potem dalej aż do ruin klasztoru — ciągnął Maks. — Nie możemy być widziani razem, musimy się rozdzielić. Każdy niech obierze sobie jakąś drogę i spotkamy się w zaroślach za miastem.

Maks poszedł pierwszy, krył się jak tylko mógł. Unikając głównych ulic skierował się ku rzece i tak doszedł na umówione spotkanie. Było ciemno jednak jego przyjście zostało zauważone, bowiem gdy tylko skrył się w zaroślach doszło go ciche pytanie:

— Kto tam?

— Brandauer — odparł równie cicho.

— Sam?

— Brakuje jeszcze czeladników, ale zaraz tu będą.

— To dobrze, bowiem w ruinach musimy być wcześniej od innych. Czy jesteś odpowiednio uzbrojony?

— Tak, wasza wysokość! A pan również kapitanie?

— Tak jest — potwierdził czyjś głos.

Książę uznał, że powinien się osobiście przekonać o nocnych działaniach tajnego sprzysiężenia. Dzisiaj przypadał akurat dziesiąty lipca, Święto Siedmiu Braci, a tego właśnie dnia spiskowcy mieli się spotkać, by wyznaczyć datę wybuchu rebelii. Pierwotnie jaśnie pan planował pójść na te nocną eskapadę sam, ale w końcu został namówiony przez Maksa, aby

wziąć kogoś ze sobą. Wybór padł na kapitana Emila Helbiga. Ze względu na swą prawość i nieposzlakowaną uczciwość cieszył się najwyższym zaufaniem księcia.

Upłynęła chwila, gdy dał się słyszeć jakiś szmer. Maks poznając po krokach, spytał:

— Kazimierz?

— Tak, właściwie tak.

— Chodź tu bliżej.

Zaraz po nim nadeszli Tomasz i Henryk. Następnie sześciu mężczyzn ruszyło w stronę ruin. Gdy doszli do podnóża góry, Maks poprowadził wszystkich wąską pnącą się ostro wzwyz ścieżką, z której korzystał już wcześniej. Dla księcia był to spory wysiłek, w rezultacie dotarli do ruin później niż zamierzali. Mimo to na górze nie było jeszcze nikogo.

— Chodźcie ze mną! — rozkazał Maks czeladnikom. Poprowadził ich ku stojącemu poza obrębem ruin murowi, którego zwalona część tworzyła rodzaj jamy, mogącej stanowić zupełnie dobrą kryjówkę.

— Tu się ukryjcie! Jeśli nic się nie zdarzy, to czekajcie aż przyjdę po was; gdybyśmy wszakże potrzebowali waszej pomocy, wtedy udam kumkającą żabę, wy zaś pospieszycie natychmiast tam, skąd dobiegnie mój głos. Co będzie dalej to się zobaczy.

— Wedle rozkazu, panie doktorze! — odezwał się Tomasz i wszedł do kryjówki.

Obaj pozostali uczynili to samo, a Maks wrócił do księcia.

— Dokąd chcesz nas zaprowadzić? — spytał księżę.

— Na razie zaczekamy tutaj przy wejściu. Pana kapitana ulokowałbym tak, aby obserwować czy wszyscy spiskowcy schodzą do studni.

Tak też uczyniono. Kapitan położył się za załomem muru, a Maks wraz księciem zajęli miejsca w krzakach, z dołu drogi.

Po pewnym czasie rozległy się kroki. Należały do dwóch osób, które zatrzymały się bardzo blisko podsłuchujących.

— Ten mniejszy z nich to Natter — szepnął Maks do księcia.

— Nie ma jeszcze nikogo! — usłyszeli obaj głos zwolennika oświecenia.

— Jesteś tego pewien? — spytał towarzysz Nattera.

— Tak, przecież musiałby już stać strażnik. On przychodzi jako pierwszy.

— Zatem zjawiliśmy się za wcześnie?

— Tak.

— A czy przypadkiem nie może znaleźć się tu ktoś obcy?

— Nie sędzę. Kto miałby o tej godzinie szukać czegoś tu, na górze? Poza tym to miejsce cieszy się złą sławą. Nocą nie ośmieli się przyjść tutaj żaden człowiek, mówi się bowiem, że w

ruinach klasztoru straszą dusze zmarłych mnichów, każdemu kto zbliży się do nich przynoszą śmierć i zgubę.

— Wy oczywiście nie zaprzeczacie temu przesądowi?

— Jasne, że nie — zaśmiał się Natter. — Bardzo się przydaje. Zresztą jesteśmy tu chyba po raz ostatni.

— Jak to?

— Zaszły bowiem takie okoliczności, które zmuszają nas do jak najszybszego działania.

Dowiesz się zresztą wszystkiego później. Będę mówił o tym na zebraniu.

— Czy hrabia również przyjdzie?

— Nie. Zaznajomię go z naszymi decyzjami później.

— Jeszcze dzisiaj?

— Natychmiast gdy tylko skończymy. Słuchaj! Chyba nadchodzi strażnik.

Rzeczywiście, ktoś szedł bardzo ostrożnie.

— Skąd? — spytał Natter półgłosem.

— Z pola walki.

— Dokąd?

— Ku zwycięstwu.

— W porządku. Możesz przystąpić do swych obowiązków. My idziemy I dalej.

Poszli w kierunku studni, zaś świeżo przybyły człowiek pozostał, obejmując straż. Co pewien czas pojawili się kolejni spiskowcy i po podaniu hasła przechodzili dalej, kierując się na tajne spotkanie w studziennej kryjówce. Maks i ksiązę naliczyli ponad dwadzieścia postaci.

Wyglądało na to, że zjawili się już wszyscy, gdyż strażnik oddalił się kilka kroków w bok i położył w trawie.

— Co robimy? — spytał ksiązę szeptem.

— Zastanówmy się nad tym, wasza wysokość!

— Możemy obezwładnić tego człowieka, ale tak żeby nie zdołał nawet pisnąć, a potem zatrzymać tamtych w studni, dopóki nie nadejdzie pomoc i wtedy poradzimy sobie również i z nimi.

— Czy mógłbym zaproponować inne rozwiązanie?

— Mów, Maks!

— Gdyby hrabia był z nimi i gdybyśmy byli przekonani, że mają ze sobą wszystkie ważne dokumenty, to plan waszej wysokości byłby znakomity, gdyż pojmalibyśmy głównych przywódców spisku, a także wpadłyby w nasze ręce wszelkie niezbędne dowody dotyczące ich zbrodniczych zamiarów. Ale żaden z obu tych warunków nie został spełniony. Jeśli więc

schwytny tych ludzi, nie podsłuchawszy ich uprzednio, nigdy nie będziemy mogli im udowodnić czegokolwiek. Jest bardzo prawdopodobne, że żaden z nich nie przyzna się do niczego i hrabia jako główny winowajca wymknie się nam z rąk.

— Masz rację; co chcesz zatem zrobić?

— Słyszeliśmy, że Natter zamierza natychmiast po zakończeniu zebrania odwiedzić hrabiego. Możemy ich tam podsłuchać. No, a potem...

— ...a potem — przerwał rozgorączkowany książę — zaaresztuję ich.

— Pan wybaczy, wasza wysokość, ale to byłoby niebezpieczne.

— Jak to?

— Tym tajnym przejściem mogą się przedostać najwyżej dwie osoby, a więc tylko my dwaj udamy się do biblioteki hrabiego. Wtedy byłoby dwóch na dwóch, ale w momencie gdybyśmy chcieli ich pochwycić, wystarczyłby jeden okrzyk hrabiego i to nas by pojmano. Otacza się on swymi poplecznikami i gdyby chciał się nas pozbyć bez śladu, kto wówczas udowodni mu, że to zdarzyło się właśnie u niego?

— Twój ojciec czekający na nas w jego ogrodzie.

— Gdyby wasza wysokość gdzieś zaginęła, ojciec nie miałby możliwości przeciwstawić się potędze hrabiego. Któż może wiedzieć jak daleko sięgają wpływy tego człowieka; tak więc nawet starania ludzi prawych i uczciwych skazane byłyby na niepowodzenie.

— Widzisz wszystko w zbyt czarnych kolorach. Czyżby dążenia władcy, który pragnie wyłącznie dobra swego ludu, miałyby tak łatwo ulec zapomnieniu i spotkać się z taką niewdzięcznością?

— Wasza wysokość, aż mnie korci by powiedzieć tu ostre słowo, ale przecież nie mogę tego uczynić.

— Możesz!

— Wasza wysokość mówi tu o jakimś władcy. Ale kto jest i kto był tym władcą? Wiem, że to pytanie może pozbawić mnie i moich bliskich przychylności, ale odważę się je postawić. Dlaczego liczba niezadowolonych urosła do takich rozmiarów? Gdyby to wola księcia obowiązywała w Norlandii, cały kraj błogosławiłby swego władcę. Wszakże jego książęca moc miała w ostatnim czasie niewielki wpływ na to w jaki sposób stojący na czele rządu hrabia nadużywał zaufania, którym został obdarzony. Ja jestem synem kowala; lubię uczciwość i szczerłość; rozumiem także pojęcie prawdziwej siły. Dlatego wziąłbym młot i bez zastanowienia uderzyłbym nim prosto w łeb węża i całe to otaczające go robactwo, umiejące zatruć swym jadem dobrą wolę, szlachetność i łaskawość!

Umilkł. Książę nie odezwał się. Słowa młodego Brandauera były bardzo ryzykowne, ale prawdziwe. Po kilku minutach poczuł jak dłoń księcia uściśliła jego rękę.

— Wielkie dzięki!

To było wszystko co książę powiedział. Znów minęła chwila, gdy książę zaczął mówić dalej:

— To znaczy, że teraz pozwolimy wszystkim odejść?

— Z wyjątkiem jednego.

— Nattera?

— Nie. Ten nie przyznałby się do niczego. To zagmatwałoby tylko jeszcze bardziej całą sprawę, my zaś potrzebujemy jasności, aby móc rozwikłać jego intrygi. Sądzę, że możemy pochwycić pierwszego lepszego.

— Ktoś taki też niczego nie powie. Sam obawiałeś się, że od żadnego z nich nic da się nic wyciągnąć.

— Ale tylko w tym wypadku gdybyśmy ich pojмали wszystkich razem. Jest bowiem różnica między zgodnym z prawem aresztowaniem, a tajemniczym zniknięciem osoby, która znajduje się nagle w zupełnie dla siebie niejasnej sytuacji.

— Chyba jest w tym sporo racji, proszę cię więc czyń odpowiednie przygotowania.

— Nie są one potrzebne. Tomasz podobnie jak ja zna tu każdą pędz ziemi, gdyż, o czym wasza wysokość wie, od pewnego czasu jesteśmy obaj na tropie owego sprzysiężenia. Kiedy spotkanie się skończy, wasza wysokość zostanie z innymi z tyłu, podczas gdy ja i Tomasz pospieszymy na dół, aby wyprzedzić spiskowców. Potem wszystko potoczyć się musi błyskawicznie.

Na tym rozmowa się skończyła i minęło sporo czasu nim ponownie dał się słyszeć hałas. To podniósł się z ziemi strażnik i wrócił na swe poprzednie miejsce. Usłyszał, że uczestnicy tajnego spotkania zaczynają opuszczać studnię. Po wyjściu na powierzchnię, rozchodzili się pojedynczo w milczeniu, pochód zamykał strażnik.

Ledwie tylko zniknął Maks się podniósł.

— Wasza wysokość, proszę zaczekać jeszcze kwadrans! Potem zejdzie pan wraz z pozostałymi główną drogą. Ja biegnę z Tomaszem na dół.

Pospieszył w stronę czeladników.

— Tomaszu, czy odważysz się wraz ze mną zejść szybko na dół?

— Wedle rozkazu i uczynię to niczym kocur!

— Zatem naprzód, musimy ich wyminąć! Wy obaj idźcie w stronę ruin, gdzie na was czekają.

Tak szybko jak zezwalała na to ciemność ześlizgnął się z Tomaszem po opadającej stromo w dół ścieżce. Udało im się i nie zauważeni przez nikogo znaleźli się na dole. Tylko Tomasz sapał trochę.

— Do stu piorunów, to wspaniała rzecz taka góra nocą. Zjeżdża się z niej prędzej niż pociągiem. Na taką wycieczkę mogłaby też zaprać się moja Parpara Seidenmüller. Ależ py miała przy tym radości.

— Możliwe — uśmiechnął się Maks. — Ale teraz musimy myśleć o czymś innym, a nie o Barbarze. Musimy pojmać jednego ze spiskowców. Za chwilę zaczną tędy przechodzić. Ja zostanę tutaj, ty natomiast zaczniesz się po przeciwnej stronie. Jak wiesz, idą oni zawsze w pewnych odstępach.

Wypiorę jednego, znajdę go od tyłu i ścisnę za gardło. Kiedy to zobaczysz natychmiast skrepujesz go, aby nie mógł się ruszać, gdy będą szli następni.

— Do stu piorunów, panie doktorze, nareszcie zdarza się jakaś przygoda. Ścisnę tego zpója tak, że nie pędzie mógł z siepie wydać jednego tchnienia.

Ukryli się w krzakach. Wkrótce pojawił się, idący na czele Natter, którego niewysoka postać dała się łatwo rozpoznać. Trzydzieści do czterdziestu kroków za nim szedł następny ze spiskowców, potem kolejny. W taki sposób minęło ich jedenastu. Wzrok Brandauera przyzwyczał się już na tyle do ciemności, że mógł wszystko dokładnie rozróżnić. Właśnie nadchodził dwunasty, trzynasty zaś znajdował się jeszcze przed zakrętem. Maks pozwolił minąć się mężczyźnie. Następnie wstał, jednym susem znalazł się tuż za nim i mocnym chwytem złapał go za kark, tak że tamten zaskoczony nawet nie pisnął.

— Tomaszu! — zawołał szeptem Maks.

— Już jestem. Trzymam go!

— Szybko, w krzaki z nim!

Człowiek, którego złapali znajdował się teraz w stalowym uścisku czeladnika kowalskiego i nie był w stanie nawet ruszyć palcem, jeszcze nim zamajaczyła postać następnego ze schodzących. Tak trwało, dopóki nie przeszli wszyscy.

— Masz sznury? — spytał Maks.

— Wedle rozkazu!

— Więc zwiąż mu ręce na plecach!

Schwytany człowiek pogodzony ze swym losem nie stawiał oporu. Kiedy został skrepowany, Maks przyjrzał się jego twarzy i rozpoznał.

— Ach, czy to możliwe? Pan radca dworu von Braunsfeld! Jak to się stało, że pan również należy do zwolenników oświecenia?

Zdemaskowany nic nie odpowiedział, ale jego głęboki oddech zdradzał wzburzenie, które starał się za wszelką cenę ukryć.

— No dobrze, niech pana milczy! Już za chwilę odzyska pan mowę.

Pojawił się książę w towarzystwie kapitana i obu czeladników.

— Masz któregoś? — spytał książę Maksa.

— Tak.

— Znasz go?

— Tak. Oto on. Czyjego wysokość chciałby się mu przyjrzeć?

Książę podszedł bliżej i poznał pojmanego.

— Pan radca! Muszę przyznać, że jestem wielce zaskoczony! Mój kanclerz i zaufany człowiek wśród zdrajców stanu!

Teraz odezwał się schwytany.

— Wasza wysokość, jestem niewinny. Wprawdzie okoliczności świadczą przeciwko mnie, ale ja mogę wszystko wyjaśnić.

— Niech więc pan uczyni to natychmiast!

— Nie należę do zdrajców.

— Proszę to udowodnić!

— Czyniono mi z ich strony różne propozycje, obiecując w zamian nadzwyczajne korzyści. Ja wszakże przystąpiłem do nich tylko dla zachowania pozorów, w istocie chciałem poznać zamiary zwolenników oświecenia po to, aby wyjawić je waszej wysokości.

— Bardzo mądrze pan to wymyślił! Od kiedy jest pan człowiekiem tego stowarzyszenia.

— Gdzieś od miesiąca.

— I przejrzał pan ich zamiary?

— Na razie nie. Istnieje tam cała hierarchia, a ja nie należę niestety do najbardziej wtajemniczonych.

— Aha, teraz rozumiem. Pan chciał się w ten sposób wykpić, nie udzielając przy tym żadnej odpowiedzi, ale to się panu nie udało. Jestem bowiem mocno przekonany, iż należy pan do nich od wielu miesięcy, i że zalicza się pan również do tych jak pan to nazwał, wtajemniczonych. Tylko bowiem komuś takiemu przyznaje się wstęp na obrady jakie toczyły się dzisiaj w studni. Niech pan się więc zastanowi. Nikt jeszcze nie wie o pańskiej obecnej sytuacji, ale jedynie szczere wyznanie wszystkiego może pana ocalić!

— Mogę przysiąc, że powiedziałem prawdę. Niczego więcej nie mogę wyznać, bo niczego jeszcze nie wiem.

— Kłamstwo! — wtrącił Maks. — Cieszył się pan całkowitym zaufaniem Ambrożego Nattera. Znam zasady jego postępowania, jeśli trzeba nie cofnie się przed morderstwem. Każdy człowiek stowarzyszenia znajduje się pod jego tajną i baczną kontrolą. Gdyby nie poświęcił się pan sprawie, z całym oddaniem leżałby pan już dawno po drugiej stronie wąwozu, który służy mu za miejsce straceń. Wasza wysokość, nie mamy czasu na zbędne rozmowy. Co pan postanowił odnośnie pojmanego?

Książę zwrócił się do Helbiga:

— Przekazuję go w pańskie ręce, kapitanie! Ci trzej dzielni ludzie wesprą pana i razem zatroszczycie się o to, aby więzień nie uciekł. Zaprowadzi go pan do jego mieszkania, ale w taki sposób, aby nie rzucało się to w oczy. Jego sprzymierzeńcy nie powinni się niczego domyślać. Tam proszę pilnować go dotąd, aż nie podejmę dalszych decyzji. Niech uchodzi za chorego, któremu nie wolno opuszczać łóżka. Panowie spotkaliście go po drodze, bardzo źle się poczuł więc odprowadzacie go do domu. Niech pan zadba o to, aby „nasz chory” nie rozmawiał z nikim za pańskimi plecami i aby jego papiery póki co zostały nietknięte.

— Rozkaz, wasza wysokość! Ruszamy mój panie. Zrozumiał pan wszystko?

Kapitan ujął pojmanego pod ramię, po czym obaj ruszyli sprawiając wrażenie spacerowiczów. Trzej czeladnicy podążyli za nimi.

— Wspaniała przygoda, czyż nie tak Kazimierzu? — szepnął Tomasz.

— Tak, właściwie tak — odrzekł ten po cichu.

— I zatrzymany tylko jeden radca dworu! — wtrącił się Heryk. — A co tam musiało się dziać na górze? Właściwie to podłe, że kazano nam sterczeć w tej dziurze, nic przez to nie zobaczyliśmy.

— Niech artyleria stuli dzióp! To, że tkwiliśmy w tej dziurze, to pyło w porządku, zrozumiano? Co zdarzyło się na górze, tego nie musimy wiedzieć; w przeciwnym powiem wypadku, pan doktor zatroszczyłby się o to, apyśmy i my wiedzieli. A teraz mamy ropić nic więcej tylko pilnować, apy ten hultaj nie czmychnął panu kapitanowi!

* * *

W tym czasie książę i Maks zmierzali w stronę rzeki. Obaj milczeli. Okoliczność, że radca dworu von Braunsfeld okazał się być jednym ze spiskowców nie skłaniała do rozmowy. Przy brzegu stało sporo wolnych łodzi. Wybrali jedną i wsiedli. Maks wiosłował, zaś książę trzymał ster, kierowali się ku przeciwnemu brzegowi. Tam wysiedli i ruszyli do ogrodu hrabiego. Z

tym pałacu, z łatwością przeskoczyli mur i zakradali się do miejsca, gdzie Maks spodziewał się spotkać swego ojca.

Kiedy doszli do schodów, zaszeleściło cicho z tyłu i wyszedł kowal. Poznał księcia i pozdrowił go z największym szacunkiem.

— Czy ktoś przechodził tędy ojciec? — spytał Maks.

— Tak, niedawno minął mnie jakiś niewysoki człowiek, który wysiadł z łodzi i udał się do pałacu.

— To był Natter, wasza wysokość! Musimy się pośpieszyć!

— Naprzód! Brandauer, ty zostajesz tutaj! Jeśli Maks i ja nie wrócimy za godzinę, albo nie damy do tego czasu żadnego sygnału, ruszysz czym prędzej do mego zamku i tam na wartowni przekazesz oficerowi mój rozkaz: „bez chwili zwłoki zająć pałac hrabiego”. Tutaj masz mój pierścień i nim się wylegitymujesz. W tym, przejściu najłatwiej będzie nas znaleźć, gdyby coś się nam przydarzyło.

Młody Brandauer podniósł okno i wszedł do środka; książę podążył za nim. Maks ujął go za rękę i poprowadził ostrożnie naprzód. Przeszli przez ukryte drzwi do tajemnego korytarza i dotarli do biblioteki. W środku było ciemno, ale wpadający przez wysokie okno promień światła wystarczył na tyle, aby dało się rozpoznać większe przedmioty. Z gabinetu było słychać dwa głosy.

— Jest jeszcze tutaj — szepnął Maks. — Gdyby któryś z nich zamierzał tu wejść, to nasza kryjówka jest pod stołem.

Podeszli na palcach do kotary i rozsunęli ją nieco. Teraz mogli słyszeć każde słowo. Hrabia siedział na sofie zaś naprzeciw niego zajął miejsce Natter.

— Panie hrabio i jak tam układają się pańskie sprawy z księżniczką Astą? — spytał Natter. Twarz starego Hohenegga spochmurniała.

— Niestety w tej materii nic się nie zmieniło. Książę wyjechał, a jego siostra wydaje się trzymać bardziej z naszym władcą niż z nami.

— A czy wie o tajnym przymierzu?

— Nie.

— I pozwolono jej samej decydować?

— Na wszelki wypadek zostanie żoną mego syna. Przecież musiała wiedzieć w jakim celu przyjeżdża do Norlandii. Zresztą zamierza tu być jeszcze tylko trzy dni.

— Taka sytuacja jest mi bardzo na rękę.

— A to dlaczego?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze, moje przygotowania zostały całkowicie ukończone, a po drugie, wiele wskazuje na to, że nie jesteśmy już bezpieczni. Czyjeś nieznane, ale przenikliwe oczy starają się zajrzeć nam w karty. To, że nie udało mi się wytropić Cyganki — o czym pan już wie — to nie jedyne niepowodzenie. Dlatego ciągle jeszcze musimy się obawiać tej osoby. Natomiast wszystko inne jest gotowe tak, że już dziś moje miny mogą zacząć wybuchać. W bibliotece radcy dworu von Braunsfelda, a więc w miejscu najbardziej chyba bezpiecznym, leży tysiące odezw i ulotek. Cała ludność została pozyskana i jest po naszej stronie; mam więc nadzieję, że i pan może pochwalić się tym samym odnośnie wojska.

— Istotnie, mogę. Wojsko tylko pozornie nie jest gotowe do walki; wystarczy wszakże mój telegraficzny rozkaz, aby znalazło się natychmiast pod bronią i przeszło na moją stronę. Ci z wyższych oficerów, których nie jestem pewien zostaną błyskawicznie aresztowani, a na ich miejsce przyjdą niżsi rangą. Taki awans jest najlepszym środkiem na pozyskanie lojalności korpusu oficerskiego. Moi ludzie pracują intensywnie i śmiem twierdzić, że wszystkie tryby i kółeczka tego mechanizmu zazębią się ze sobą doskonale, gdy włożę doń klucz, aby go uruchomić.

— A marynarka wojenna?

— Admiralicja jest mi oddana. Zresztą zatroszczyłem się o to, żeby norlandzka flota była we właściwym dla nas momencie nieobecna, to znaczy, aby pływała w tym czasie rozproszona po wszystkich morzach świata. Süderlandzkie okręty wezmą więc Ollermünde nie napotykając na najmniejszy opór.

— Dowodził będzie nimi Nurwan Pasza?

— Tak. Ponadto Süderlandczycy zgromadzili się już potajemnie w górach, nad granicą. Gdy tylko dam sygnał, w ciągu trzech dni będziemy mieli u nas pięć tysięcy „nieprzyjaciół”, którzy połączą się z naszymi wojskami. Natomiast moi najwięksi wrogowie, stary Falkenau na lądzie i młody Falkenau na morzu, zostaną unieszkodliwieni.

— A kiedy zamierza dać pan sygnał do powstania? Przyznam, że moi ludzie nie chcą już dłużej czekać.

— Natychmiast po odjeździe księżniczki.

— Czyli po upływie trzech dni?

— Mniej więcej.

— A czy księcia pozostawi pan przy życiu?

— Sądzi pan, że to ja miałbym go zabić? Chociaż prawdą jest, że obalony władca pozostaje niebezpieczny tak długo jak żyje.

— Mógłby przecież, dajmy na to, wpaść w ręce zrewoltowanego i rozwścieczonego tłumu.

— Możliwe. Musimy być dobrej myśli.

— Rękoma ludu musiałby jednak ktoś pokierować.

— To może być trudne.

— Wszystko zależy od tego, czy praca zostanie dobrze wykonana. No, ale praca domaga się zawsze zapłaty.

— Zna mnie pan przecież.

— Dobrze! W takim razie będzie miał pan hrabia okazję skłonić do takiej dobrej pracy wszystkie ręce jakimi teraz dysponuję. Oto kontrakty, które zostały przygotowane przeze mnie do podpisania.

— Proszę je dać!

Hrabia brał papier za papierem, czytał każdy dokładnie i opatrywał podpisem. Następnie wyciągnął z małej szkatułki pieczęć i przykładał ją do każdego z tych dokumentów.

— Taaak — odezwał się Natter z uśmiechem i uklonił nisko. — Oto dokumenty podpisane i przypieczętowane już przez nowego księcia. Teraz niech pan rozkazuje, ja nie cofnę się przed niczym!

— Wasza wysokość! — szepnął Maks — Na nas już czas.

— Wracajmy, wiem już wystarczająco wiele — zabrzmiała odpowiedź. Ruszyli z powrotem i niebawem znaleźli się w ogrodzie. Stary Brandauer był już mocno zdenerwowany i ucieszył się bardzo, widząc ich całych i zdrowych.

— Szybko do łodzi, zanim nadejdzie spiskowiec! — rozkazał książę. Sforsowali mur i błyskawicznie dotarli nad rzekę. Teraz Maks siadł przy sterze, a jego ojciec złapał za wiosła.

— Dokąd teraz, wasza wysokość? — spytał doktor.

— Do mieszkania Nattera!

Maks nic nie odpowiedział. Sprawy zaszły już tak daleko, że należało się zająć tym człowiekiem i dokumentami, które posiadał.

Przepłynęli przez Oller na drugi brzeg i wkrótce stanęli przed gospodą zacnej Barbary Seidenmüller. W oberży jeszcze się świeciło. Maks wszedł do środka sam. Wiele stolików było nadał zajętych, a w najbliższym kącie siedziała trójka czeladników, którzy na jego widok podnieśli się z szacunkiem.

— Jak poszło? — spytał.

— Wedle rozkazu, panie doktorze, wszystko w porządku!

— Każcie sobie podać piwo i papierosy, na mój rachunek! Gdzie jest właścicielka? •

— Tam, wychodzi właśnie z kuchni.

Maks poprosił ją na bok.

— Czy pan Ambroży Natter ciągle jeszcze mieszka u pani?

— Tak.

— A czy zabiera ze sobą swój klucz, gdy wychodzi?

— Tak.

— Zatem nie mogłaby pani się dostać do jego pokoju?

— Mam klucze zapasowe.

— Proszę, niech je pani weźmie!

Maks podążył wraz z oberżystką przez kuchnię do jasno oświetlonej sieni, w której znajdowały się klucze.

— Ach, dobry wieczór, panie Brandauer! — pozdrowiła zacna kobieta kowala, gdy go ujrziała. — I także panu, mój panie... och, czy to możliwe? To przecież...

— Cicho, pani Seidenmüller! — przerwał książe. — Niech nam pani szybko otworzy!

Pospieszyła schodami do góry i otworzyła pokój

— Ale muszę najpierw zaświecić...

— Nie trzeba. Nikt nie śmie wiedzieć, że tu jesteśmy. Rozumie pani?

— Bardzo dobrze, wasza wysokość.

— Zaraz przyjdzie Natter. Niech pani zaczeka na niego w sieni i powie mu, że kilku panów musi z nim pomówić o dzisiejszej sprawie. Teraz niech pani już idzie!

Właścicielka gospody posłuchała i ledwie zeszła na dół, gdy ujrziała postać rentiera.

— Dobry wieczór. Czy nie pytał ktoś o mnie?

— Owszem, trzech panów.

— Jak się nazywają?

— Tego nie wiem. Musiałam ich zaprowadzić do pańskiego pokoju.

— Jak to, przecież zamykałem gdy wychodziłem.

— Ci panowie bardzo nalegali, chcieli bowiem uniknąć pokazywania się na dole. Mam przekazać, że chcieliby rozmawiać o jakiejś dzisiejszej sprawie.

— Aha, w takim razie są mile widziani — powiedział Natter, po czym udał się na górę i wszedł do ciemnego pokoju.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór — odpowiedział chór złożony z trzech głosów.

— Skąd? — spiskowiec zadał pytanie, chcąc upewnić się, że znalazł się wśród swoich.

— Z pola walki — odparł Maks.

— Dokąd?

— Ku zwycięstwu.

— Witajcie zatem i pozwólcie, że zapalę światło.

Kiedy był zajęty lampą, Maks przemknął ku wejściu i zagroził je sobą, natomiast jego ojciec stanął w drzwiach do sąsiedniego pokoju. Księżę tymczasem siedział spokojnie przy stole.

Natter zapalił światło. W jego blasku ukazało się oblicze władcy Norlandii.

— Co was zatem sprowadza przyja...

Przerwał osłupiały, gdy ujrzał, kto przed nim siedzi. Rzut oka na dwóch pozostałych upewnił go ostatecznie, że ci ludzie nie przybyli z przyjacielską wizytą.

— Przeraził się pan? — spytał księżę niewzruszonym głosem. — Czego?

Zapytany zdążył przyjść do siebie.

— Wasza wysokość, to ta wysoka ranga wizyty wprawiła mnie w takie osłupienie.

— Hm! Niech pan da spokój tej dziecinadzie! Nie przyszliśmy wysłuchiwać tu bajek jak się pan nazywa?

— Ambroży Natter.

— I jest pan?

— Rentierem.

— Może pan to udowodnić?

— Oczywiście. Czy mam pokazać waszej wysokości odpowiednie papiery?

— To niekonieczne. Jest pan jednym ze zwolenników oświecenia. Czy nie wie pan, że przynależność do tego stowarzyszenia podlega surowej karze?

— Wasza wysokość, jakem...

— Łajdaku, tylko mi tu nie przysięgaj! Natychmiast udowodnię to co powiedziałem. Niech pan wyciągnie ze swej bocznej kieszeni i poda mi dokumenty, które przed chwilą podpisał hrabia Hohenegg, a podpisał je już jako „nowy księżę”, że powtórzę słowa, których pan odważył się użyć.

Spiskowiec zbladł jak ściana.

— Wasza wysokość, nie mam dokumentów, które...

— Milczeć! Proszę je wyciągnąć, albo każę pana związać!

Dopiero teraz Natter sięgnął do kieszeni. Pobladł jeszcze bardziej, ale jego ciemne oczy błyszczały. Stał odwrócony plecami do drzwi wejściowych i nie zauważył, że Maks podkraść się do niego z tyłu.

— Dobrze, wyciągnę to i zaraz będzie po wszystkim! Śmierć ciemierzcom!

Zamiast dokumentów wy dobył z kieszeni rewolwer i przymierzył się do strzału. Ale cios pięści Maksa powalił go na ziemię, wytrącając broń z ręki. Książę siedział nieruchomo, z pomocą doskoczył stary Brandauer i w ciągu minuty zamachowiec został solidnie skrepowany.

— Papiery! — rozkazał książę.

Maks wyciągnął je i podał. Książę zaczął czytać.

— Zamordowanie księcia, dokonanie przewrotu, zdrada stanu i intrygi dotyczące następstwa tronu! Położyć tego człowieka tam i przetrząsnąć starannie cały pokój!

Brandauer szukał przede wszystkim tajnych skrytek. Meble należące do właścicielki oberży nie posiadały niczego takiego. Okazało się natomiast, że kufer podróżny rentiera zawiera podwójne dno, a tam cały stos zaszyfrowanych dokumentów.

Pojmany przyglądał się rewizji z największym spokojem, nie odzywając się ani słowem. Teraz jednak zaśmiał się szyderczo:

— To są akta całego spisku, wasza wysokość! Proszę spróbować je przeczytać!

Maks rzucił okiem na jeden z dokumentów.

— Czy da się to rozszyfrować? — spytał książę.

— Poradzę sobie.

— Phi! — zaśmiał się Natter. — Kowalów synek może sobie na tym co najwyżej połamać zęby!

Maks odwrócił twarz ku związanemu.

— Twoja bezczelność łobuzie dorównuje prawie twej ignorancji, ale nie musisz się niczym martwić, gdyż znam już to pismo, a klucz do jego odczytania mam w torbie. Przypominasz sobie ten wieczór u hrabiego Hohenegg, kiedy to zobowiązałeś się odnaleźć Cyganekę by odebrać jej pewne papiery? Stałem wówczas za kotarą biblioteki i słyszałem każde słowo. Chcę ci jeszcze wyznać, że już wcześniej złożyłem tajną wizytę u przenajświętszego hrabiego i to wtedy wpadł mi w ręce jego szyfr.

— Szipcell!

— Dziwnie brzmi to słowo w ustach człowieka, którego całym życiem rządzą wyłącznie podstęp i perfidia. Posłuchaj dalej! To ja byłem tym, który odkrył wasze tajne spotkania w klasztornych ruinach i także ja podsłuchałem was dzisiaj wieczorem w pałacu hrabiego. Znam każde słowo, jakie zostało tam wypowiedziane, wiem nawet, że to ty podjąłeś się zamordowania jego wysokości, i że każde kółeczko spiskowej maszyny zacznie działać na dany przez hrabiego znak. I to również do mnie należą owe przenikliwe oczy, o których mówiłeś. Twój szyfr zaś nie wymaga zbyt wielkiej przenikliwości, by się z nim uporać. Czy mam odczytać na głos, to, co jest w tych papierach, wasza wysokość?

— Nie. Czekają nas jeszcze wiele pracy. Ty zostaniesz tutaj i nie pozwolisz więźniowi na spotkanie z kimkolwiek. Tym sposobem poznamy być może jeszcze innych naszych wrogów. Jednocześnie będziesz miał czas na to, by rozszyfrować dokumenty i przepisać je na nowo w zrozumiałym języku. Natomiast ty, Brandauer postarasz się o kryty powóz, którym sam będziesz powoził! Załadujesz doń dyskretnie tego człowieka i przywieziesz go w samo południe pod dom dla obłąkanych! Spytasz następnie o mnie! Ja już tam będę czekał. Naturalnie, nikt nie śmie dowiedzieć się, co tu się stało! Dobrej nocy!

Książę wyszedł. Podobnie uczynił stary Brandauer, jedynie Maks pozostał z więźniem. Włożył mu do ust knebel i zaciągnął do kąta, skąd mógł go ciągle obserwować. Potem zaczął rozszyfrowywać dokumenty.

* * *

Następnego ranka do pałacu hrabiego przybył sługa księcia i przekazał grafowi napisany własnoręcznie przez jego wysokość list. Było to przyjacielskie zaproszenie do odbycia wspólnej przejażdżki.

— Proszę powiedzieć najjaśniejszemu panu, że natychmiast będę gotów!

Hrabia włożył nieco zbyt obszerny mundur, kazał przewieźć się przez Oller i udał się do zaniku, gdzie na schodach został przyjęty przez promieniejącego serdecznością księcia.

— Dzień dobry, drogi kuzynie! Czy nie przeszkodziłem w jakichś ważnych sprawach?

— Jestem zawsze do pańskiej dyspozycji, wasza wysokość.

— Ranek jest piękny, a ja poczułem się nieco zmęczony, pomyślałem więc o małej wycieczce? Czy nie zechciałbyś się przyłączyć do mnie?

— To zaproszenie jest dla mnie zaszczytem.

— Chodźmy zatem.

Książę ujął hrabiego pod rękę i poszli na zamkowy dziedziniec, gdzie dwa karosze zaprzęgnięte do lśniącego powozu przebiegały niecierpliwie kopytami. Wsiedli do środka.

— Jedziemy!

Stangret podniósł rękę i konie ruszyły; powóz toczył się ulicami stolicy. Obaj mężczyźni przez dłuższy czas milczeli, w duszy hrabiego narastało z wolna niemiłe uczucie. Droga, którą jechali prowadziła bowiem do zakładu psychiatrycznego, gdzie rozegrały się wcześniej przykre wydarzenia, o których nie rozmawiał jeszcze z księciem. Miałoby więc dojść do tego właśnie dziś? Musiał się upewnić, dlatego rzekł:

— Czy mógłbym zapytać, waszą wysokość jak długo ma potrwać przejażdżka?

— Tak długo, aż karosze pocują się zmęczone; za długo przebywały w stajni i powinny się porządnie nabiegać. A pan wolałby już wracać?

— Szczerze mówiąc czeka mnie jeszcze ważna konferencja.

— Obawiam się, że trzeba będzie ją przełożyć, drogi hrabio, gdyż ja również mam na sercu pewną sprawę, której nie sposób uznać za błahostkę i potrzebuję pańskiej rady.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, wasza wysokość.

— Zna pan moje bezgraniczne zaufanie do pańskiej osoby; dzięki temu zresztą nie muszę zajmować się wszystkim wyłącznie sam, tyle tylko, że w pewnych kwestiach jestem gorzej zorientowany od pana. Właśnie nadaje się stosowna okazja, by zechciał pan wyjaśnić mi co nieco w pewnej sprawie. Otóż jak układają się nasze stosunki z Süderlandią?

— Pod każdym względem mają przyjacielski charakter.

— Słyszy się bowiem ostatnio o tajnej koncentracji ich wojsk, która jakoby odbywa się na naszej granicy?

— To tylko zwyczajne manewry, wasza wysokość

— Ach tak. A czy wie pan może jaki jest powód przybycia do Süderlandii Nurwana Paszy?

— Niezwykle prozaiczny, kłopoty zdrowotne.

— Mówi się jednak, że ma objąć dowództwo nad tamtejszą marynarką wojenną?

— Sułtan nie oddałby im swego kapudyna paszy.

— A jeśli istotnie tak uczyni?

— To niemożliwe! Zresztą poinformuję się w tej sprawie natychmiast.

— Księżniczka Asta powiedziała mi, że zamierza opuścić Norlandię w przeciągu trzech dni.

— Wielka szkoda!

— To zabawne, ale ta urocza dama stała się mi ostatnio bardzo bliska. Będę czuł się trochę samotny i dlatego zavezwałem barona Wiktora von Falkenau, wydaje mi się bowiem, że potrzeba mi towarzystwa. A jak długo ma przebywać na urlopie jego syn?

— To bezterminowy urlop.

— Młodego barona także chciałbym zobaczyć. Proszę go ściągnąć tutaj!

Twarz hrabiego nie okazywała żadnych uczuć, chociaż trudno było mu zachować spokój. Cóż miała znaczyć ta osobliwa rozmowa? Dlaczego książę mówił tylko o sprawach, które w obecnej sytuacji śmiało można było zostawić na boku?

Znów zapadło milczenie przerwane dopiero w momencie, gdy mijali kryty powóz, na którego koźle siedział nadworny kowal.

— Zna pan tego człowieka, drogi hrabio? — spytał książę.

— Naturalnie! To kowal Brandauer.

— Odważny i wiemy poddany! Niewielu jest takich. Jego syn to również człowiek o nieskazitelnej uczciwości. Wziąłem go pod swoją szczególną opiekę i sędzę, że czeka go wielka przyszłość.

Był to celny cios i hrabia bardzo go odczuł, ale musiał milczeć. Po pewnym czasie nad miasteczkiem zaczęły wyrastać dachy i wieżyczki Państwowego Zakładu dla Psychiczenie Chorych.

— Czy miałby pan coś przeciwko temu, aby odwiedzić dom dla obłąkanych, drogi hrabio? Chciałbym choć raz zaskoczyć dyrekcję. Czy i pan by na to przystał?

— Oczywiście.

— Kierownictwa tego rodzaju instytucji nie sposób nigdy poddać dostatecznej kontroli, o czym pan dobrze wie. Zresztą dyrekcja jest tymczasowa i w zasadzie moglibyśmy tę sprawę od razu załatwić.

Powóz zatrzymał się przed bramą zakładu. Dostrzeżono jego przyjazd i poznano pasażerów. Dwaj lekarze — ci sami, którzy dawniej byli asystentami — stali gotowi powitać dostojnych gości, po czym, zaprowadzono ich do gabinetu dyrektora, tam przybyłym wręczono księgi ewidencyjne, utrzymywane we wzorowym porządku.

— Zanim udamy się na obchód — powiedział książę — chciałbym poczynić pewną uwagę. Lada chwila przybędzie tu kowal Brandauer, aby dostarczyć kogoś — jak mi się wydaje — nieuleczalnie chorego, kogo wy panowie potraktować musicie z najwyższą surowością. Natychmiast, gdy się tu zjawi należy umieścić go w numerze pierwszym i założyć mu kaftan bezpieczeństwa. Gdy to nastąpi, proszę nas powiadomić!

— Jak wasza wysokość rozkaże — powiedział jeden z lekarzy. — Pozwolę sobie jednak zauważyć, że „numer pierwszy” to jedna z naszych największych cel i przeznaczona jest dla dwóch chorych.

— Wiem o tym. I dlatego wkrótce dołączy tam drugi pacjent.

Jeden gest lekarza wystarczył, by w recepcji pojawiło się kilku strażników mających zająć się przyjęciem nowego pacjenta. Teraz książę zwrócił się do hrabiego.

— Jak już mówiłem chodzi o szaleńca najgorszego rodzaju. Dowiedziałem się, że pan przypadkowo zna tego człowieka.

— Jak brzmi jego nazwisko, wasza wysokość?

— Ambroży Natter.

Hrabia cały drgnął, ale w momencie zdołał się opanować.

— Wasza wysokość, nie znam żadnego Nattera.

— A niejakiego Mericourta?

— Także nie.

— Czyżby mój świadek się pomylił? Przedstawię panu zatem chorego. Być może wtedy przypomni pan go sobie.

Akurat zadzwoniono przy bramie wejściowej. Książę wyciągnął notes, napisał kilka słów, a kartkę podał lekarzom.

— Moi panowie, ten rozkaz należy rozumieć dosłownie i wykonać go z całą bezwzględnością.

Gdy lekarze rzucili okiem na treść polecenia, ogarnęło ich przerażenie.

— Czy to możliwe, wasza wysokość? — spytał jeden z nich.

— Tak, to możliwe i co więcej rozkazuję wam uczynić to, pod groźbą popadnięcia w niełaskę!

— Będziemy posłuszni, wasza wysokość. Chory, na którego czekamy przybył. Możemy więc udać się do „numeru pierwszego”.

W drodze do tej części zakładu, gdzie przetrzymywano ciężko chorych, hrabiego naszły trwożne myśli. Co to wszystko miało znaczyć? Czyżby książę dowiedział się o spisku i w związku z tym unieszkodliwił Nattera? A może bawił się z nim, niczym kot z myszką? A jeśli był to tylko strzał na ślepo, po to, żeby go zdezorientować i zmusić do popełnienia błędu? Musi się mieć na baczności, by nie wpaść w jakąś pułapkę! W końcu nie jest przecież człowiekiem, który uważa swą pozycję za straconą już przy pierwszym ataku nieprzyjaciela.

W pobliżu „numeru pierwszego” dobiegi ich głośny krzyk.

— Już związany? — spytał książę.

— Tak, strażnicy dokładnie wypełnili rozkaz.

— Więc chodźmy, panowie!

Drzwi do celi były otwarte. Czterech silnych strażników stało obok krzesła, na którym siedział mocno skrupowany, dopiero co przyjęty do zakładu, chory. Drugie krzesło znajdujące się naprzeciw, było puste. Oba umocowane żelaznymi klamrami do muru. Wartownicy, gdy tylko ujrzeli dostojnych gości cofnęli się, aby zrobić miejsce.

— Panie hrabio, czy ten człowiek jest panu znany?

Tego Hoheneeg się nie spodziewał. Sądził, że książę dowiedział się czegoś przypadkiem i chciał go tylko postraszyć, ale nigdy by nie przypuszczał, że będący centralną postacią całego przedsięwzięcia Natter, wpadnie w zastawione sidła. Dlatego, gdy ujrzął twarz skrupowanego rentiera przeszło go uczucie trwogi, sprawiając iż zmieszał się na ułamek sekundy.

— Mer... ach... nie, wasza wysokość, w ogóle go nie znam.

— Ależ tak, to jest właśnie ów Mericourt, którego nazwisko chciał pan przed chwilą wymówić.

— A cóż on takiego uczynił, wasza wysokość?

Hrabia pojął, że księżę już od dawna musiał wiedzieć o wszystkim, i że rozstrzygnięcie nie nastąpi w otwartej bitwie lecz przeciwnie, ów decydujący pojedynek rozegra się tu, w mrocznych murach zakładu dla obłąkanych. O swą własną osobę nie obawiał się zupełnie, uważał, że prawo, któremu podlegają wszyscy ludzie, jego wcale nie dotyczy. Zapewne dlatego nie spostrzegł, że lekarze za jego plecami szepczą potajemnie ze strażnikami. Przybrał wyzywającą postawę i gdy zadał już pytanie uczynił krok do tyłu i spojrzął na księcia. Ten uśmiechnął się smutno i rzekł ze spokojem w głosie:

— Pożałowania godny człowiek, ogarnięty zbrodnictwami wyobrażeniami nieszczęśnik, chcący detronizować księciów i wynosić na ich miejsca hrabiów.

— Czy zostało to dowiedzione, wasza wysokość?

— Całkowicie i wystarczająco.

— Na podstawie niezawodnych, lekarskich świadectw?

— Na podstawie równie wiarygodnych jak dajmy na to te, które dotyczą pana von Wallratha i Cyganki Lilgi.

— Wasza wysokość, zwierzchnictwo nad tym zakładem należy do mnie.

— A kto stoi nad panem?

— Nikt.

— Czyżbym przypadkowo natrafił również i u pana na ślad owej nieszczęsnej dolegliwości umysłowej?

— Coś takiego na pewno mi nie grozi. Jestem jak najbardziej trzeźwo myśl...

— Trzeźwo myślącym? A ja mogę udowodnić, że w ostatnim czasie znajdował się pan pod wpływem tego zgubnego w skutkach zaślepienia.

— Ach! Wasza wysokość mówi w taki sposób i to przed tymi ludźmi! Ale jeżeli już, to chcę panu powiedzieć, że to zaślepienie stanie się niebawem powszechne i ogarnie cały kraj! Doprowadzi do kryzysu i przesilenia, okaże się wtedy, iż obłąd tego rzekomo chorego nie jest niczym innym jak tylko mającym swe uzasadnienie, dążeniem do tego, aby uczynić Norlandię szczęśliwą!

— Pięknie! Mówi pan o szczęściu Norlandii? Stworzonym wedle tego co tu napisano?

Wyciągnął z torby dokumenty, które hrabia podpisał poprzedniego dnia. Uśmiechając się podsunął je Hoheneggowi pod nos. Ten poznawszy co to jest, uczynił szybki ruch chcąc je

pochwyć. Książę był jednak na to przygotowany, schował błyskawicznie rękę z dokumentami za siebie. Wtedy hrabia szarpnął go za ramię.

— Te papiery należą do mnie! Oddawaj mi je!

— Panie hrabio, niech się pan zastanowi kogo ma pan przed sobą?

— W tej chwili tylko złodzieja, który odważył się sięgnąć po moją własność. Oddawaj mi to, albo...

— Albo co? Panie hrabio owa nieszczęsna dolegliwość, o której mówiłem, staje się coraz bardziej widoczna. Czy naprawdę mam uznać pana za umyślowo chorego?

— Oddaj moje dokumenty!

Hrabia złapał księcia, lecz ten spokojnie rzekł:

— Moi panowie, sami widzicie, że ten człowiek jest niespełna rozumu; nazywa osobę panującą w tym kraju złodziejem, a nawet porywa się na nią. Czyńcie swą powinność, oddaję go w wasze ręce!

W jednej chwili hrabia został pochwycony. Bronił się wprawdzie z całych sił, ale na nic mu się to nie zdało. Został obezwładniony i przywiązany do krzesła, tak iż znalazł się twarzą w twarz ze swoim zausznikiem. Jednak mówić nie mógł, zakneblowano mu usta.

Na dany przez księcia znak wszyscy prócz niego i dwóch pojmanych opuścili celę.

— A teraz panie hrabio, będzie musiał mnie pan wysłuchać, oczywiście nie przeszkadzając mi. Z racji swego urodzenia należy pan do najwyższej warstwy naszego społeczeństwa, ale muszę stwierdzić, że to co reprezentuje pan sobą z punktu widzenia moralności, każe pana widzieć wśród ludzi nie tyle najniższej, co najgorszej proveniencji. Brzydzi mnie wyliczanie wszystkich win i zbrodni, pragnę jednak podkreślić, że czując się zarówno wobec pana jak i całego mego ludu tym, który otrzymał władzę z rąk Bożej Opatrzności, winien jestem przestrzegać boskiej zasady sprawiedliwości iż każdy bez względu na swe pochodzenie musi odpokutować za popełnione przez siebie grzechy. Ten dom ludzkiego nieszczęścia służył panu za salę tortur, w której kazał pan dręczyć swe ofiary, aż rzeczywiście popadały w obłęd. Teraz będzie on miejscem pańskiej pokuty, w którym każda spędzona chwila musi stać się taką męką na jaką pańskie, nieludzkie serce skazywało niewinnych. I niech pan nie myśli, że wymknie się pan z mych rak! Usunąłem stąd pańskie kreatury, a obecni urzędnicy są mi całkowicie oddani. Podobnie jak pan nie dowiedział się dokąd trafiły owe zupełnie bezwolne wobec pana typy, tak nikt nie będzie nawet przypuszczał, gdzie się pan znajduje. Pańska polityczna nikczemność wyszła na jaw. Odtąd będzie pan tylko numerem, choć być może pozwolę kiedyś na to, by odzyskał pan swą prawdziwą tożsamość.

Książę opuścił celę, którą niezwłocznie zamknięto i udał się wraz z lekarzami do ich gabinetu.

— Moi panowie — zwrócił się do nich — cieszę się, iż mogę wyrazić panom me uznanie. W sytuacji jaka obecnie istnieje kierownictwo zakładu musi przejść w czyjeś ręce. Decyzję w tej sprawie podejmę, gdy tylko zapoznam się z przebiegiem waszej pracy, niemniej wypłacane wam będą pensje równe, podobnie jak i wy panowie, pod względem służbowym pozostaniecie sobie równi. Co do dzisiejszego zdarzenia to ma być ono utrzymane w najgłębszej tajemnicy. Hrabia winien jest popełnienia najróżniejszych zbrodni, o czym dowiecie się później, tymczasem pozostanie tu jako chory, jego towarzysza zaś należy przenieść do innej, pojedynczej celi, po to aby nie próbowali wspólnie jakiś nowych przedsięwzięć. Urzędnik, który wyjawiliby miejsce pobytu hrabiego, zostanie zdrajcą stanu. Dalsze rozkazy będziecie panowie otrzymywali ode mnie bądź od doktora Brandauera, którego macie obecnie uważać za swego przełożonego. Żegnam panów!

Opuścił zakład, wsiadł do swego powozu, pomknął galopem w stronę miasta i jeszcze przed rogiem dopędził kowala. Przesiadł się do powozu swego przyjaciela i rozkazał jechać do gospody Barbary Seidenmüller. Gdy wysiadł przed oberżą, w pobliżu nie było nikogo, nikt więc nie wiedział, gdzie książę teraz przebywa. Wszedł wraz z kowalem na górę, gdzie zastali Maksa porządkującego dokumenty. Ten, gdy ich ujrzął podniósł się i uklonił.

— Gotowe? — spytał książę.

— Właśnie przed chwilą skończyłem, wasza wysokość

— Czy udało się rozszyfrować całość?

— Tak.

— I co zawierają papiery?

— Szczęśliwym trafem wszystko to, co powinniśmy wiedzieć, a przede wszystkim szczegółową listę spiskowców, którzy przy wybuchu powstania mają odegrać najważniejszą rolę. Znajduje się tam wiele szanowanych nazwisk, zarówno oficerów jak i cywilów.

— Przejdźmy do sąsiedniego pokoju na wypadek, gdyby Nattera miał ktoś odwiedzić i tam przeczytasz nam treść tych dokumentów!

— A czy wasza wysokość nie wolałby udać się do zamku...?

— Nie, nie można tracić czasu, każda minuta jest droga. Zresztą nie wiem, czy mógłbym pójść prosto na zamek, zdaje się bowiem, że obowiązek wzywa mnie najpierw w inne miejsce. Także ty musisz pozostać tutaj, aby przygotować się na ewentualne odwiedziny, któregoś ze zwolenników oświecenia.

— A co powinienem uczynić, gdyby istotnie przybył tu jakiś spiskowiec?

— Pojmać go i ukryć gdzieś.

Weszli do pokoju obok, gdzie Maks zaczął prezentować zawartość dokumentów. Spiskowcy mieli wielkie zaufanie do swego szyfru, gdyż szczegółowo rozpisywali się o trwających od wielu lat przygotowaniach do powstania. A wszystko po to, by móc później przedstawić swe zasługi w jak najlepszym świetle. Nie było za to tajnej korespondencji dyplomatycznej prowadzonej przez hrabiego z obcymi rządami.

— Gdybym tylko dostał takich w swoje ręce — rozgniewał się książę, — to podałbym ich nazwiska do wiadomości publicznej, a wszystkich tych zagranicznych dyplomatów napiętnował za to, że pertraktują ze zdrajcami.

— Co zatem postanowił wasza wysokość, po zapoznaniu się z treścią tych dokumentów?

— Aresztować natychmiast wszystkich spiskowców. W ten sposób pozbawiona swych głów hydra wpadnie w moje ręce.

— Wszakże przy tak znacznej liczbie zamachowców łatwo zdarzyć się może jakieś niedopatrzenie, a może i zdrada?

— Aresztowań dokonają tylko najwierniejsi ludzie!

— A gdyby mimo wszystko znalazł się pomiędzy nimi jeden, na którym wasza wysokość by się zawiódł? Dość by aresztowaniu wymknął się jeden z nich, który chcąc się ratować ani chybi rzuciłby iskrę na beczkę prochu, a ta wypełniona jest po brzegi.

— Mam więc tych ludzi pozostawić na wolności?

— Ależ nie, wasza wysokość. Muszą zostać unieszkodliwieni i to jak najprędzej, ale w taki sposób, żeby nikomu z nich nie udało się ujść.

— Znasz taki sposób?

— Złapiemy ich sami, prawie wszystkich i to za jednym, zamachem.

— Ach, rozumiem! To znaczy, że musielibyśmy doprowadzić do zebrania ich w jednym miejscu?

— Właśnie to miałem na myśli.

— W takim razie gdzie?

— W miejscu ich stałych spotkań, w ruinach klasztoru.

— To wyśmienity plan, pod warunkiem, że da się go przeprowadzić.

— To jest możliwe, wasza wysokość. Natter popełnił wielką nieostrożność, pozostawiając dostęp do swej korespondencji. Dzięki temu mogłem poznać jego styl i zorientować się, że wszyscy figurujący w jego papierach, bywali na spotkaniach wielokrotnie. Zatelegrafujemy do nich, aby stawili się jutro o północy. Przyjdą na pewno. Miejsce zostanie otoczone przez

żołnierzy, którymi kapitan Helbig znający już okolicę będzie potrafił odpowiednio pokierować, a my będziemy mieli pewność, że żaden z nich się nie wymknie.

— A tutejsi?

— Jest ich pięciu i ich aresztowanie po uwięzieniu tamtych nie sprawi żadnej trudności.

— Dobrze, niech tak będzie! Pisz zatem „zaproszenie”! Ale zadbaj o to, aby nikt nie pokrzyżował nam szyków. Ty, Branaduer idź do Helbiga i zobacz jak się mają sprawy z radcą von Braunsfeldem! A ty, Maks, skoro tylko skończysz, udasz się ze mną na zamek! Mam jeszcze wiele spraw do rozważenia i potrzebuję twej rady.

PRZED ROZSTRZYgniĘCIEM

Było to następnego dnia po uwięzieniu Nattera i Hohenegga. Książę zebrał w tajnych komnatach grupę wiernych mu ludzi, która radziła teraz pod przewodnictwem jego i młodego Brandauera nad obecną sytuacją. Podjęto nadzwyczajne środki ostrożności. Przywódcy spisku znajdowali się co prawda pod kluczem, ale przygotowywane powstanie miało tylu zwolenników, że byle nieostrożność mogła przechylić szalę zwycięstwa na stronę zamachowców.

Najważniejsze było, że żadna wiadomość o wczorajszych wydarzeniach nie ujrzała światła dziennego. Książę natomiast po swym powrocie do stolicy wysłał do pałacu Hohenegga posłańca z meldunkiem, iż hrabia musiał niespodziewanie udać się w podróż, z której wróci po kilku dniach. Dyskretnie, tak aby nie budzić podejrzeń spiskowców obserwowano również pałac, Liczono się z tym, że część służby została wtajemniczona w plany swego pana. Nie można więc było wykluczyć, iż gdyby ktoś z nich nabrał podejrzeń, starałby się różnymi sposobami ostrzec zagrożonych.

Na razie podjęte środki ostrożności okazywały się skuteczne. Nikt w Fürstenbergu, poza osobami biorącymi udział w opisywanych wydarzeniach, nie miał najmniejszego pojęcia o tym co zaszło.

Nastała już noc, gdy służący zameldował księciu, że jakiś dwóch mężczyzn prosi o rozmowę.

— Co to za jedni?

— Twierdzą, że swe nazwiska mogą wyjawiać tylko waszej wysokości.

— A jak wyglądają?

— Dość pospolicie. Są mocno zarośnięci i noszą zwyczajne, robocze ubrania.

— Niech ich wprowadzi! Maks!

Ten będąc w sąsiednim pokoju pojawił się natychmiast.

— Jakiś dwóch, nie chcących podać swych nazwisk, prosi o posłuchanie. Zawołałem cię, aby czuć się bezpieczniej.

Niespodziewani goście weszli do komnaty. Ukłonili się, ale jakoś inaczej niż czynią to prości ludzie.

— Czego panowie sobie życzą? — spytał książę.

W tej samej chwili młodszy mężczyzna ściągnął swą brodę i perukę, a jego towarzysz zrobił to samo.

— Artur! — krzyknął Maks.

— Baron Falkenau! — zawtórował mu książę.

Obaj rzucili się ku przybyszom, witając ich serdecznie.

— Przybywacie w samą porę i o wiele szybciej niż myślałem. Panie komandorze musiał pan chyba po otrzymaniu mojego telegramu przylecieć na skrzydłach, bo inaczej to niemożliwe, aby tu już być.

— Wasza wysokość wysłał mi telegram? — spytał zaskoczony Artur. — Nic o tym nie wiem. Jeśli nie zatrzymano go na granicy, to przyjdzie po moim wyjeździe.

— Kiedy pan opuścił Karlshafen?

— Wczoraj rano.

— Zatem istotnie nie mógł pan otrzymać mego telegramu, gdyż został on wysłany dopiero wczoraj w południe. Ale dlaczego to przebranie?

— Nie wiedząc jak się tu sprawy mają, chcieliśmy trzymać się z dala od Hohenegga i zachować nasze przybycie w całkowitej tajemnicy.

— Doskonale! — przytaknął książę. — Aczkolwiek wasza ostrożność była w zasadzie zbyteczna. Od wczoraj hrabia przebywa w dobrze strzeżonym miejscu. Szczegóły zostaną podane panom później, gdyż nie mamy teraz czasu na żadne dłuższe dyskusje. Komandorze, ostatnio przebywał pan trochę w Karlshafen. Czy zna pan tamtejsze umocnienia i fortyfikacje?

— Bardzo dokładnie. Sporządziłem nawet ich plan.

— Brawo! Słyszałem, że Süderlandzka flota zebrała się tam obecnie, szykując się do jakiejś groźnej akcji?

— Planowano coś takiego. Ale w tej chwili w tamtejszym porcie nie ma ani jednego okrętu wojennego. Cała flota wypłynęła.

— Wypłynęła? Daleko?

Artur opowiedział szczegółowo księciu to, co było mu wiadome na temat Süderlandzkiej marynarki wojennej, a potem przedstawił mu okoliczności, które zmusiły go do natychmiastowego opuszczenia wczoraj rano Karshafen.

Książę wysłuchał uważnie, a potem spytał:

— Odważyłby się pan zaatakować Karlshafen od strony morza?

— Gdyby wasza wysokość zdecydował się powierzyć w me ręce odpowiednią liczbę okrętów, to tak.

— Poczyniliśmy już w tym względzie przygotowania. Hrabia zamierzał całą flotę rozproszyć, zdecydował się na to po wejściu w układy z Süderlandczykami. Szczęśliwym

trafem zdążyłem mu w tym przeszkodzić. Ile czasu potrzebowałby pan aby dostać się na wyspę Bartholomä?

— Gdybym natychmiast złapał jakiś pociąg pospieszny, byłbym za dwie godziny w Ollermünde, a stamtąd dopłynąłbym na wyspę moim jachtem w ciągu mniej więcej czterech godzin.

— Pańskim jachtem? Musi to być jakaś nadzwyczajna łódź.

— Tak to prawda. Czy mogę spytać dlaczego wasza wysokość wysłała mnie na Bartholmā?

— Gdyż tam znajduje się punkt zborny naszej floty. Zdecydowałem bowiem powierzyć panu przeprowadzenie ataku na Karlshafen, a również uczynić pana naczelnym dowódcą całej naszej marynarki wojennej. Niezbędne wyjaśnienia w tej sprawie otrzyma pan w pokoju obok.

— Posłusznie dziękuję, wasza wysokość!

— Jest pan wprawdzie młody, ale mimo to uważam pana za zdolnego stawić czoła słynnemu Nurwanowi Paszy. Jeśli powiedzie się uderzenie jakie zamierzamy zadać dzisiejszej nocy, wtedy natychmiast wydaję rozkaz, aby ładowały się na okręty wojska, które mają wylądować w Karlshafen. Ich dowództwo zaś powierzam pańskiemu ojcu, baronowi Falkeneu.

— Wasza wysokość — odezwał się radośnie stary baron, chcąc wyrazić swą wdzięczność, ale księżę przerwał mu.

— Drogi baronie, wiem przecież, że mogę na panu polegać. Jest pan jedynym oficerem, który nadaje się na to stanowisko. Wybraliśmy — zwrócił się ponownie do komandora — wyspę Bartholmā, gdyż leży ona z dala od uczęszczanych szlaków. Chodziło o to, aby nie można było jej tak łatwo odkryć. Gdyby bowiem rzeczywiście miało dojść do wojny, czemu przez stłumienie rewolucji mam nadzieję zapobiec, to nie chciałbym aby winę za jej wybuch nawet w najmniejszym stopniu ponosiła Norlandia. Dlatego flota pozostanie u wybrzeży wyspy tak długo, aż Süderlandia nie określi całkowicie swego stanowiska. Czy pan mnie zrozumiał komandorze?

— Oczywiście, wasza wysokość, ja natomiast z mojej strony uczynię wszystko, aby nie zawieść zaufania.

— Przejdźmy tam!

Udali się do sąsiedniego pokoju, który służył obecnie za centrum dowodzenia. Po kwadransie obaj baronowie Falkenau opuścili go. Po chwili drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem wyszedł stamtąd Maks, który wybierał się do ruin klasztoru, by aresztować zamachowców.

Pierwotnie całym przedsięwzięciem miał kierować kapitan Emil Helbig. Jednak później otrzymał rozkaz, aby tej samej nocy uwięzić mieszkających w stolicy, pozostałych uczestników

spisku i w tej sytuacji dowództwo nad akcją mającą zadać decydujący cios zwolennikom oświecenia, przejął Maks.

Zaraz za miastem skręcił w drogę, która prowadziła do lasu. Zaledwie zdążył doń wejść, gdy usłyszał szczęk odbezpieczanej broni.

— Kto tam?

— Przyjaciel. Niech pan zaprowadzi mnie do swego dowódcy!

— Proszę za mną!

Doszli w głąb lasu, gdzie miał swe stanowisko dowodzący rozmieszczonymi tu oddziałami wojska.

— Ten człowiek domagał się, aby przyprowadzić go do pana porucznika — zameldował wartownik.

— Kim pan jest? — zwrócił się do Maksa.

— Doktor Brandauer.

— Cieszę się bardzo, że mogę pana poznać. Czy już czas?

— Jeszcze nie. Czy przeszukał pan dokładnie teren?

— Tak.

— I co pan postanowił?

— Czekać na pańskie rozkazy.

— W porządku! Moment przybycia spiskowców zbliża się. Musimy pozwolić spokojnie przedostać się im przez ruiny. Niech pan wyznaczy kilku pewnych ludzi; razem z nimi będę obserwował zebranie. W odpowiedniej chwili powiadomię pana, aby otoczył pan ruiny swymi
Im Czy macie ostrą amunicję?

— Tak.

— Kto będzie stawiał opór zostanie zastrzelony. Bardzo proszę broni palnej używać tylko w ostateczności! Musimy unikać najmniejszej hałasu. Gdyby któremuś z zamachowców udało się przebić przez tyralierę, to tych dwóch ludzi, między którymi przeszedł winno ruszyć za nim, starając się go pochwycić, tymczasem pozostali muszą niezwłocznie uzupełnić brakujące ogniwa otaczającego ruiny łańcucha. Za godzinę pojawi się księżyc, a jego światło będzie dla nas wielką pomocą. A teraz proszę o wspomnianych ludzi, panie poruczniku!

— Ilu panu potrzeba?

— Tylko dwóch, którzy w odpowiednim momencie wrócą do pana, przynosząc wiadomości z góry.

Opuściwszy w towarzystwie żołnierzy las, ruszył szybko, z zachowaniem ostrożności, w kierunku ruin. Gdy tam dotarli przystanęli za krzakami, w tym samym miejscu, w którym pochwycony został radca dworu.

Odgłos idących w górę kroków, powiedział im, że nadchodzą pierwsi spiskowcy. Wkrótce pojawiło się ich więcej i po godzinie Maks mógł stwierdzić, że zwabieni tu podstępem wywrotowcy stawili się w komplecie. Studnia okazała się oczywiście zbyt mała, aby móc ich wszystkich pomieścić, zebranie odbywało się więc na świeżym powietrzu, pomiędzy szczątkami ruin. Nadeszła właściwa chwila. Maks wysłał więc obu żołnierzy z powrotem i czekał.

Po dziesięciu minutach jeden z nich wrócił prowadząc ze sobą porucznika.

— Wszystko gotowe? — spytał Maks.

— Tak!

— Dobrze, zaraz udam się do zebranych i sprowadzę ich tutaj.

— Rany boskie! To przecież tak jakby wejść w paszczę lwa.

— Niezupełnie. Jestem w posiadaniu pewnej rzeczy, która zapewni mi bezpieczeństwo.

Niech pan podeśle tu więcej ludzi!

— Naprawdę chce pan...?

— Oczywiście! Tak to przygotuję, że nasi wrogowie będą schodzić na dół pojedynczo, a każdego z nich będzie dzieliła od następnego odległość pięćdziesięciu do sześćdziesięciu kroków. Pan ma tylko, czuwać aby unieszkodliwienie kolejnych spiskowców odbywało się bezszelestnie. Podczas gdy wiązać się będzie i zabierać stąd jednego, pańscy ludzie muszą być już gotowi na przyjęcie następnego. Kiedy przybyć mają powozy, którymi pojmani zostaną wywiezieni?

— Mniej więcej w ciągu pół godziny. Mają czekać na skraju lasu.

— Ruszam zatem i za kilku minut będę tu z powrotem.

— Jeśli jednak się pan nie pojawi, dam rozkaz do szturmu.

— Zaatakujecie dopiero, gdy usłyszycie pan mój strzał! To będzie znaczyło, że jestem w niebezpieczeństwie.

Maks ruszył w kierunku szczytu. Na górze, w miejscu do którego dochodziła prowadząca z dołu droga, padło pytanie:

— Skąd?

— Z pola walki.

— Dokąd?

— Ku zwycięstwu!

— Możesz iść!

Poszedł dalej i w świetle łagodnie wschodzącego księżyca spostrzegł zebranych, którzy bądź to zasiedli na miękkiej trawie, bądź przechadzali się pomiędzy resztkami murów. Kiedy go ujrzano, kilka osób skierowało się w jego stronę.

— Jesteś jednym z nas?

— Tak.

— A skąd przychodzisz?

— Od naszego mistrza.

— Aha! A dlaczego on jeszcze nie przybył?

— Zatrzymało go coś ważnego i wysłał mnie tutaj, abym o tym zameldował. Panowie, proszę zechciejcie podejść bliżej, tak abyście mogli mnie słyszeć!

Spiskowcy utworzyli półkole, w środku którego stał Maks.

— Moi bracia — rozpoczął — zostaliście tu wezwani, aby dowiedzieć się, że nowe niespodziewane okoliczności jakie się właśnie wyłoniły sprawiają, że wzniesiony w górę młot musi nareszcie uderzyć. Człowiek, którego wszyscy znamy, a którego dziś jeszcze będę nazywał Natterem, zamierza odbyć z wami generalną naradę, podczas której każdemu z was zostanie przydzielone zadanie. Mistrz chciał, aby odbyła się ona tutaj w ruinach, i byłby tu już od dawna, gdyby nie wyniknęła bardzo istotna przeszkoda. Otóż charakter naszego dzisiejszego zebrania wymaga sporządzenia ważnych, pisemnych dokumentów, do czego potrzeba dobrze oświetlonego pomieszczenia. Skoro jednak panowie zebrali się już tutaj, to pan Natter prosi, abyście zechcieli przejść do sali zabaw, znajdującej się niedaleko od drogi do gospody. Wszyscy panowie ją znają. Jej właściciel jest człowiekiem dyskretnym i zatroszczy się o to, żeby nikt nas nie zaskoczył.

— Czy mistrz już tam jest? — spytał ktoś.

— Naturalnie; prosi także panów, abyście opuszczali ruiny pojedynczo, tak aby zachować bezpieczne odstępy. A teraz proszę o wystąpienie naprzód panów wojskowych.

Ci uczynili to bez żadnych ceregieli.

— Wiem na podstawie listy, że jest panów osiemnastu i widzę, że nikogo nie brakuje. Panom mam zakomunikować specjalną prośbę, a mianowicie, abyście nie udawali się do wspomnianej sali, lecz zechcieli pozostać tutaj. Zejdą następnie panowie do studni, gdzie ma przybyć pewna, niezwykle wysoko postawiona osoba, której nazwiska nie podaję i przekazać panom taktyczne oraz strategiczne założenia dotyczące naszego przedsięwzięcia. Czy mogę w takim razie zameldować, że panowie są gotowi?

— Tak.

— To wszystko co miałem panom do przekazania. Proszę jeszcze raz o zachowanie należytych odległości! Idę, zobaczymy się później.

Opuścił zgromadzonych spiskowców i zaczął schodzić w dół.

— Kto tu? — dobiegło go ciche pytanie.

— Brandauer.

— Bogu niech będą dzięki! Czy zdołał ich pan wykiwać?

— Tak. Załatwiłem również wojskowych, a tych trzeba obawiać się najbardziej, noszą przecież przy sobie broń. Mają czekać na kogoś ważnego w studni, a tam dopadniemy ich z całą pewnością.

— Wspaniale! A pozostali?

— Będą schodzić pojedynczo zachowując określony odstęp. Czy pańskie przygotowania są ukończone?

— Wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Każdy ze spiskowców zostanie „załatwiony” dokładnie i skrupulatnie.

— Cicho! Nadchodzi pierwszy!

Czyjaś postać zbliżała się wolno drogą, przeszła obok nich i naraz zniknęła gdzieś bezszelestnie. Potem druga, trzecia, piąta, dziesiąta, wszystkie nadchodziły, mijały ich i znikaly, równie tajemniczo i równie cicho. W końcu los ten spotkał ostatniego ze schodzących, nie licząc wartownika.

— Wszyscy? — spytał porucznik.

— Tak. Został jedynie ten, który stoi tam na straży. Jest pan pewien, że pańscy ludzie nie mają jakichś kłopotów?

— Tak. W przeciwnym wypadku by mi o tym zameldowano.

— A teraz proszę, aby przydzielił mi pan podoficera i dziesięciu ludzi! Porucznik odszedł kilka kroków i wydał stosowne polecenie. Prawie zaraz pojawił się jedenastoosobowy oddział.

— Panie podoficerze, będzie mi pan towarzyszył! Pańscy ludzie niech zostawią broń i podążają na nami, ale ukradkiem. Chodzi tylko o to, aby pomogli mi przysypać pewną studnię — zarządził Maks.

Ruszyli na szczyt. U samej góry ten sam głos zadał znane pytanie, a Maks udzielił dobrze znanej odpowiedzi.

— Czyjego dostojność nadejdzie zaraz? — spytał strażnik. — Ja również bowiem udaję się na zebranie do sali zabaw.

— Oto jego dostojność — odpowiedział Maks, wskazując na swego towarzysza. — Proszę już iść, tymczasem ja stanę na warcie. Czy ci, którzy tu zostali zeszli już do studni?

— Tak, wszyscy.

— No to możemy zaraz zaczynać!

Ledwie to powiedział, złapał strażnika lewą ręką za gardło i rozkazał żołnierzom:

— Związać go i zakneblować!

Trwało to tylko chwilę, potem ruszyli cicho za doktorem. Lina, po której schodziło się na dno studni zwisała swobodnie w dół. Maks wyciągnął ją do góry.

— No, teraz ich mamy, nie wyjdą na górę. Dla większej pewności zakryjemy otwór, a wtedy już o żadnej ucieczce nie będzie mowy. O, tu leżą kamienie. Przenoście je panowie!

Kilka kamiennych płyt zostało położone na studziennym otworze, na nie przyszły inne, aż powstał rodzaj piramidy, której w żaden sposób nie można było usunąć od środka. Wojskowi uczestnicy spisku zostali również schwytani i to bez najmniejszej próby oporu.

* * *

Krótko przed zdarzeniem, w bezpośredniej bliskości stolicy stało się coś, czego ani książę, ani Maks Brandauer zupełnie się nie spodziewali.

W Państwowym Zakładzie dla Psychicznie Chorych, siedział przy kolacji wraz ze swoją żoną jeden z tamtejszych kluczników. Wyglądało jednak na to, że bardziej zajęci byli swymi myślami niż jedzeniem.

— Czy zgadzasz się ze mną? — spytała kobieta.

— Oczywiście.

— To straszne.

— Tak, straszne. Hrabia w kaftanie bezpieczeństwa!

— I do tego nie wiadomo z jakiego powodu.

— A zostawiał przecież zawsze taki suty napiwek.

— No, a ten Brandauer to nigdy nic nie dawał.

— Książę zresztą też.

— Hrabia zapłaciłby wiele, bardzo wiele, żeby tylko być wolnym.

— Naturalnie.

— A my jesteśmy biedni.

— I to mimo tego, że pracuję tu już tak długo. Od dwudziestu lat gramy także na loterii i nie wygraliśmy dotąd złamanego feniga. W ogóle człowiek nie ma szczęścia!

— Każdemu trafia się kiedyś szczęście. Cała rzecz polega na tym, żeby umieć po nie sięgnąć.

— Ale czy miałem taką okazję?

— Wcześniej nie, za to masz ją dziś!

— Gdzie i kiedy?

— Och, ty głuptasie!

— Zaraz! O to ci chodzi. Ale to wielce ryzykowna sprawa.

— Wcale nie. Przecież ty właśnie posiadasz klucze.

— Święta racja! Mogę wszędzie wejść.

— No więc! Za chwilę strażnik z korytarza na pierwszym piętrze będzie szedł na kolację. Wtedy możesz zacząć działać. Wiadomo, że nikt już tu więcej nie przyjdzie.

— Tego to akurat nie da się przewidzieć. W ostatnim czasie zdarzyło się tu tyle niesamowitych rzeczy, że już niczego nie można być pewnym. Obaj lekarze są przecież na nogach.

— Stanę na warcie i ostrzegę cię, jeśli zauważę coś podejrzanego.

— Hm, dobrze. Być może sprawa jest o wiele prostsza niż mi się zdaje. Przecież hrabia przebywa w celi sam.

— No widzisz! Potrzeba do tego tylko trochę odwagi.

— Właściwie to można spróbować. Ale w takim razie, ile powinienem zażądać?

— Pięć tysięcy talarów!

— To mi się nie podoba! Jeżeli odważyłem się na coś takiego, to muszę otrzymać tyle, żebym mógł sobie potem żyć wygodnie z procentów.

— No to ile?

— Dwadzieścia tysięcy!

— Och, to za dużo!

— Nie. Hrabia na pewno się zgodzi. Jest bogaty i wyłoży żadaną sumę, jeśli przyjdzie mu wybierać między wolnością, a pobytem w domu wariatów.

— Zatem spróbuj!

— Otworzę mu boczną furtkę i wszystko tak przygotuję, żeby nie padło na mnie najmniejsze nawet podejrzenie. Ale jak hrabia mi zapłaci?

— To już musisz z nim ustalić.

— Muszę jeszcze całą sprawę rozważyć.

Oparł się o poręcz krzesła medytując nad owym zuchwałym planem, dopóki nie pojawił się wspomniany strażnik.

— Kluczniku, nich pan przejmie na jakieś pół godziny mój korytarz!

— Zgoda!

Ruszył po schodach na górę. Kiedy się już upewnił, że strażnik się oddalił, a żona stanęła na „posterunku”, otworzył celę hrabiego, wszedł do środka i rozwiązał go.

— Panie hrabio!

— Kto... co to?

— To ja, klucznik.

— Ach, on! Czego chce?

— Uratować pana!

Hrabia skoczył na równe nogi. Słowo „uratować” przywróciło mu w jednej chwili całą energię i chęć działania.

— Chce to uczynić? Kiedy?

— Dziś w nocy. Pan zawsze był dla mnie taki dobry i hojny, że postanowiłem zaryzykować.

— Człowieku, jeśli on mówi prawdę, to ja wynagrodzę go isticie po królewsku. Niech mi teraz powie, ile żąda?

— A ile pan hrabia byłby gotów dać?

— Dwadzieścia pięć tysięcy talarów, jeszcze dzisiaj, z ręki do ręki.

— Czy to prawda, łaskawy panie? — spytał klucznik radośnie zaskoczony wysokością sumy.

— Daję mu moje słowo honoru.

— No, a gdzie i jak miałbym dostać należność?

— Gotówką, u mnie w pałacu.

— To niemożliwe. Musiałbym udać się razem z panem, a to by mnie zdradziło.

— Niech się o nic nie martwi. O jego bezpieczeństwo zatroszczę się osobiście. Czy ma żonę?

— Tak.

— Dobrze. Niech więc wystara się o jakiś powóz dla trzech osób i żonę zabiera ze sobą! Natychmiast po naszym przyjeździe do Fürstenbergu otrzyma pieniądze, a jutro rano gdy moja ucieczka zostanie odkrytej będzie już, z mojej rekomendacji w drodze do Süderlandii.

— Trzeba abym omówił to z moją kobietą, panie hrabio. Ale teraz muszę...

— Chwileczkę, jeszcze coś! Jak wygląda obecnie sytuacja w stolicy?

Klucznik przyjrzał mu się zdziwiony.

— Co właściwie łaskawy pan ma na myśli?

— No czy od wczoraj rana nic szczególnego się nie zdarzyło? Pytam, czy miały miejsca jakieś aresztowania?

— Aresztowania? Aż tyle to ja nie wiem. Wprawdzie włamano się do piekarza, ale do tej pory nie natrafiono na ślad włamywacza.

Hrabia gapił się na klucznika z wyrazem bezgranicznego zdumienia.

— I to mają być wszystkie nowiny ze stolicy? ‘

— Tak, mniej więcej. Także przy Ledergasse jakaś zbrodnicza ręka wybiła okno wystawowe...

— Człowieku! Te sprawy są mi zupełnie obojętne. Pytam czy nie słyszał czegoś o ministrze wojny, albo... albo... o szefie policji?

— Nie.

Hrabia w stanie wielkiego podniecenia przemierzał całą wzdłuż i wszerz. To wszystko było w najwyższym stopniu zastanawiające! Nie dokonano jeszcze żadnych aresztowań!? Wygląda więc to tak, jakby nie wiadomo nic o reszcie spiskowców. Minister wojny i szef policji znajdują się nadal na wolności! To by znaczyło, że nic jeszcze straconego, przeciwnie, wszystko jest do wygrania, gdyby tylko udało się nawiązać z nimi kontakt i przekazać im umówione sygnały. Cóż to byłby za triumf, gdyby udało mu się ostatecznie pokonać tych, którzy sądzą, że już go unieszkodliwili. Ta myśl opanowała go bez reszty.

— Człowieku! — zwrócił się hrabia do klucznika. — Niech on to rozważy, ale szybko. Muszę być wolny i to jeszcze dziś! W tym wypadku jestem gotów podnieść stawkę do trzydziestu pięciu tysięcy talarów. Niech idzie teraz i omówi to ze swoją żoną! I niech przyniesie mi tu dziś wieczorem kilka blankietów telegraficznych!

— Dobrze — zgodził się ogarnięty chciwością klucznik. — Spróbuję to załatwić. Ale teraz muszę pana zwięzać.

— Tylko nie tak mocno jak przedtem!

— Nie da się inaczej, gdyż zaraz by to zauważono.

Hrabia pojął, że nic tu nie wskóra, siadł więc posłusznie na krzesło pozwalając się skrepować. Klucznik wyszedł na korytarz i czekał tam dopóki nie zluzował go będący na kolacji strażnik.

Następnie przedstawił żonie propozycję z jaką wystąpił wobec niego hrabia. Kobieta była zachwycona, gdy usłyszała jaką sumę może otrzymać, bezzwłocznie też wzięła się za przygotowania do tajemnego, wyjazdu.

Hrabia tymczasem dał się ponieść nadmiernie rozbudzonym nadziejom i oczekiwaniom. Byłyby one z całą pewnością dużo skromniejsze, gdyby wiedział, że wszystko, ale to wszystko

zostało odkryte. Nie mógł jednak podejrzewać, iż Maks Brandauer jest w posiadaniu klucza, dzięki któremu udało mu się rozszyfrować całą korespondencję Nattera. Ten zapewne już się tego domyślał, ale kiedy widzieli się w celi, obaj byli zakneblowani. Zwolennik oświecenia nie mógł przekazać swemu wysoko postawionemu mocodawcy najmniejszej nawet wiadomości. Przez chwilę hrabia wahał się czy zabrać swego popiecznika ze sobą, ale w końcu powiedział sobie, że Natter i tak zostanie za kilka godzin uwolniony, a tymczasem każda minuta jest drogocenna. W taki to sposób los Nattera został przesądzony na wiele długich lat.

Zbliżała się północ, gdy otworzyła się boczna furtka w otaczającym dom dla obłąkanych murze i wymknęły się stamtąd trzy postacie, kobieta i dwóch mężczyzn. Byli to uciekinierzy, którym szczęście dopisało.

Kiedy dotarli do powozu, woźnica stał przy koniach. Hrabia zbliżył się do niego.

— Poznaję mnie?

Spytany wyraźnie poznał z kim rozmawia.

— Oczywiście, toć to łaskawy pan!

— Niech zawiezie mnie na pocztę! Ale co koń wyskoczy!

Stangret zdziwił się, czego też hrabia może chcieć o tej porze na poczcie, ale nic nie rzekł. Po pięciu minutach powóz zatrzymał się przed urzędem pocztowym, zaś mający służbę urzędnik został wyrwany ze snu. Nazwisko hrabiego szybko przywołało go do porządku i już po chwili telegraf wystukiwał podawane mu teksty depeesz. Adres jednej z nich zawierał nazwisko księcia Süderlandii.

Po nadaniu telegramów Hohenegg, który osobiście tego doglądał, oparł się wygodnie o poduszki we wnętrzu mknącego na spotkanie stolicy powozu i odetchnął głęboko. Trzy mile odległości pokonane zostały w dwie godziny. Ledwie z ciemności zaczęły wyłaniać się pierwsze latarnie, hrabia wychylił się w napięciu z okna powozu, aby obserwować toczące się na ulicach miasta życie. Ale chociaż wodził badawczo oczyma dookoła, nie potrafił odkryć niczego co mogłoby potwierdzić, iż wydarzenia toczą się zgodnie z jego oczekiwaniami. Tylko kilku zapóźnionych hulaków kroczyło mniej lub bardziej pewnym krokiem starając się dotrzeć do swych domostw. Dziwne! Depesze musiały przecież znajdować się już od pewnego czasu w rękach spiskowców, więc gdyby przedsięwzięli natychmiast uzgodnione kroki, to ich skutki musiałyby być widoczne. Jakiś przejmujący niepokój ogarnął hrabiego i nie ustąpił nawet wtedy, gdy powóz zajechał przed jego pałac. W ani jednym oknie nie świeciło się światło. Cały budynek leżał pogrążony w głębokiej ciszy, która miała dla hrabiego coś z ponurej grozy.

Hohenegg podenerwowany nacisnął na dzwonek. Odźwierny był wielce zdziwiony widząc swego pana. Hrabia nie zauważył tego wcale, tylko ruszył szybko do swych komnat prowadząc

ze sobą klucznika i jego żonę. Gdy się przebrał, otworzył jedną z szuflad swego biurka i wyciągnął stamtąd gruby plik banknotów. Odliczył z niego część, położył na stół, po czym zwrócił się do klucznika:

— Niech przeliczy, jest tu trzydzieści pięć tysięcy talarów! — Klucznik liczył drżącymi rękoma, a oczy jego żony płonęły z pożądania na widok sumy, jaką mieli razem z mężem otrzymać.

— Zgadza się? — spytał hrabia.

— Zgadza się! — odrzekł mężczyzna. — Łaskawy panie, dziękuję z całego serca za...

— No już dobrze! Wyświadczył mi przysługę, a ja mu za nią zapłaciłem. Teraz jesteśmy kwita.

— No a rekomendacja...

— ...nie dostanie jej teraz do rąk. Mógłby przecież popełnić jakiś błąd i dałby się pochwycić, zanim przekroczy granicę, a wtedy ja byłbym skompromitowany. Tu jest adres pewnego człowieka, do którego będzie mógł się zwrócić, gdy tylko szczęśliwie dotrze do Süderlandii; już tamten zatroszczy się o niego w moim imieniu.

Napisał kilka słów na kartce papieru i podał ją klucznikowi.

— Powóz czeka jeszcze na dole i najlepsze co on mógłby teraz zrobić, to ulotnić się stąd czym prędzej. Pieniądzy ma przecież dosyć, nie musi się więcej troszczyć o swoją przyszłość. No, niech mu się dobrze wiedzie!

Gdy się oddalili hrabia zaczął przemierzać w gorączkowym napięciu swe komnaty. Co chwila podchodził do okna, starając się dojrzeć oznaki jakichś rozruchów na ulicach, ale na próżno. Mijały minuty, potem kwadranse i zrobiła się już trzecia rano, a on nie doczekał się żadnego spiskowca czy posłańca. Mały zegar na ozdobnym stoliczku wskazał godzinę czwartą. Hohenegg nie mógł już dłużej znieść drążącego go niepokoju i zadzwonił po służącego. Pojawił się zaspany kamerdyner, jednak natychmiast gdy tylko ujrzał swego pana, przebudził się.

— Ubierz się, ale szybko! Musisz udać się natychmiast z wiadomością do ministra wojny.

Służący zniknął bez słowa i po dwóch minutach był z powrotem. Hrabia zdążył tymczasem skreślić kilka zdań.

— Przekaż to ministrowi wojny i nie wracaj wcześniej zanim nie otrzymasz odpowiedzi! Przy okazji zważaj nieco na to, co się dzieje na ulicach, zameldujesz mi potem co widziałeś! Nie zapominaj, że czekam na twój powrót!

Służący bez słowa ruszył w drogę. Minęło dobre pół godziny zanim w przedpokoju dały się słyszeć kroki. Hohenegg pełen napięcia oczekiwał nadejścia kamerdynera.

— I co?

— Łaskawy panie, nie mogłem przekazać wiadomości.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że jego ekscelencja, minister wojny został aresztowany o północy.

Hrabia poczuł, iż ziemia usunęła mu się spod nóg. Musiał złapać się krzesła, na które osunął się bezwiednie. Takiego obrotu sprawy nie spodziewał się. Całe ogromne napięcie uszło z niego za jednym zamachem.

— Opowiadaj! — zdołał wydusić z siebie po dłuższej chwili.

— Łaskawy pan polecił mi zwracać uwagę na to co się dzieje na ulicach. Idąc w tamtą stronę nie dostrzegłem jednak nic niezwykłego. Gdy znalazłem się w pobliżu domu ministra wojny zobaczyłem krążącego tam wartownika. Czyli wszystko po dawnemu. Zbliżyłem się do żołnierza chcąc go wyminąć. Ale ten zatrzymał mnie mierząc do mnie z karabinu i spytał:

— Dokąd?

— Do ministra wojny.

— Od północy nie ma go tutaj. Został aresztowany.

Przeraziłem się okropnie, ale szybko się opamiętałem i rzekłem:

— Tak, wiem o tym, ale ja nie do niego, tylko do jego zastępcy. Mam przyprowadzić go do księcia, na zamek.

— Jego również tu nie ma. Udał się do szefa policji, aby go aresztować, a stamtąd miał pójść w tej samej sprawie, jeszcze do kilku innych osób.

Gdy tylko to usłyszałem, wróciłem od razu, aby zdać panu relację. Hrabia po tym co usłyszał zerwał się z krzesła i tupnął nogą.

— Za późno! Och, gdyby udało mi się ujść godzinę wcześniej, wszystko ułożyłoby się inaczej. Czy nie nabrałeś żadnych podejrzeń kiedy nie wróciłem z przejażdżki, na której byłem z księciem?

— Podejrzeń? Jego wysokość przysłał posłańca z wiadomością, że pan hrabia musiał nagle wyjechać.

— Głupcze! Czyż nie widzisz, że moja podróż była oszustwem ze strony księcia po to, aby moi przyjaciele nie zaczęli się czegoś domyślać? Nie, nie wszystko jeszcze stracone. Tutaj wprawdzie poniosłem porażkę, ale to tylko chwilowe niepowodzenie! Wrócę tu znowu, a wtedy... wtedy...

Ze złością zacisnął dłonie, a po chwili już spokojniejszy mówił dalej:

— Każ natychmiast zaprzęgać! Szybko! Muszę w tej chwili wyjechać, a ty będziesz mi towarzyszył! Za dziesięć minut powóz ma czekać na dole! Najpierw jedziemy do księżniczki Asty.

— Do księżniczki? Ależ łaskawy panie, o tak wczesnej porze?

— Nic nie szkodzi! Księżniczka musi uciekać wraz ze mną, grozi jej niebezpieczeństwo, jeśli pozostanie tu choćby godzinę dłużej. Nie pytaj teraz o nic więcej, tylko rób co ci kazałem!

* * *

Nowy dyrektor zakładu dla obłąkanych wstał dużo wcześniej niż zazwyczaj. Odpowiedzialność jaka spoczywała na nim, nie pozwalała mu wylegiwać się już dłużej, postanowił dokonać obchodu wszystkich cel.

Rozpoczął od celi hrabiego i jakież było jego przerażenie, kiedy ujrzał, że jest pusta. Natychmiast kazał zbudzić swych kolegów i wezwać cały personel. Po sprawdzeniu okazało się, że brakuje klucznika. Pukano do niego, ale bez skutku, po czym nie namyślając się wiele wyłamano drzwi. W opuszczonym mieszkaniu znaleziono wyraźnie dowody, że wczoraj trwały tam przygotowania do pospiesznego wyjazdu. Dalsze śledztwo wykazało, że uciekinierzy wymknęli się z zakładu boczną furtką. To nasunęło myśl, iż uciekł również Natter. Szczęśliwym trafem przypuszczenie to nie znalazło potwierdzenia.

— Na miłość boską, co mamy robić? — spytał jeden z lekarzy.

— Ilu jest tutaj stangretów do wynajęcia? — dowiadywał się nowy dyrektor.

— Czterech.

— Zatem należy ich odwiedzić. Jeżeli będziemy wiedzieli, z którym z nich tamci podróżowali, ustalimy również drogę ucieczki. Ja muszę natychmiast udać się do stolicy. Proszę zamówić mi powóz! Wcześniej jednak trzeba zatelegrafować.

— Do kogo?

— Do księcia i doktora Brandauera. Wygląda na to, że hrabia pojechał do Fürstenbergu i jeśli powiadomimy ich o tym to możliwe, że da się go jeszcze ująć, przecież opuścił zakład nie tak dawno.

Dyrektor wrócił do swego pokoju, aby przygotować się do wyjazdu; nim jednak zdążył to uczynić wszedł do niego jeden z posłańców.

— Już z powrotem?

— Tak. Niestety, nie udało mi się załatwić powozu dla pana doktora.

— Dlaczego?

— Stangret, do którego zostałem wysłany jest nieobecny. Jego powóz został wynajęty wczoraj wieczorem przez klucznika.

— Dokąd ruszyli?

— Do stolicy.

— No tak! Niech zanieś natychmiast depesze na pocztę!

Napisał po kilka słów na każdym z blankietów i służący zabrał je ze sobą. Tymczasem pojawił się inny z meldunkiem, iż powóz zajechał przed bramę. Po upływie paru minut dyrektor odjechał do stolicy, podczas gdy jego pracownicy zajęli się poszukiwaniem dalszych śladów ucieczki.

* * *

Na zamku księcia trwała wielka narada. Władca postanowił dać swemu ludowi nową konstytucję. Pojął wreszcie, że zawinił wobec obywateli Norlandii, po pierwsze dlatego iż władzę, która została mu dana, przekazał w niegodne ręce, po wtóre, gdyż uroił sobie, iż otrzymał ją tylko od Boga i na to, aby ją sprawować, nie potrzebuje zgody swych poddanych. Zrozumiawszy, że nie sposób skutecznie dalej rządzić, bez częściowego choćby zerwania z tradycją, książę jako człowiek szlachetny i pełen dobrej woli nie zawahał się przed uczynieniem tego kroku.

Aresztowanie spiskowców odbyło się bez najmniejszych incydentów, dzięki czemu wybuch rewolucji udało się stłumić w zarodku. Wszelako w miejsce buntu, który wyrósł miał z inspiracji pychy, egoizmu i chciwości, ustanowić należało coś lepszego, coś co mogłoby przynieść ludowi większą korzyść i pożytek. Dlatego książę i jego radcy debatowali nad konstytucją, której projekt ukończony został przez Maksa już dawno temu, chociaż jego ojciec chrzestny nic o tym nie wiedział.

Naradę przerwało wejście do gabinetu służącego księcia.

— W przedpokoju czeka jakiś człowiek, który chciałby rozmawiać z doktorem Brandauerem.

— Jak się nazywa? — spytał Maks.

— Mówi, że Tomasz Schubert.

— Już idę... wasza wysokość proszę pozwolić...

— Ty zostań Maksie. Tomasz przyniósł zapewne jakąś ważną wiadomość więc może tu wejść.

Służący oddalił się, a do pokoju wkroczył Tomasz, za którym natychmiast zamknęły się drzwi. Ukłonił się obecnym głęboko, po czym przyjął wyprężoną wojskową postawę.

— Czy wasza wysokość zezwoli mi na rozmowę z moim młodym panem?

— Niech mówi!

— Panie doktorze, przyszła do pana depesza.

— Masz ją ze sobą? — spytał Maks.

— Oto ona. Majster nie chciał do niej zaglądać, po nie pyła skierowana do niego.

Maks otworzył telegram i przeczytał.

— W porządku, możesz odejść. Powiedz ojcu, że wrócę późno. Czeladnik wykonał zamaszysty ukłon i zniknął za drzwiami. Maks zwrócił się do księcia.

— Czy wasza wysokość pozwoli, abym przeczytał wszystkim depeszę?

— Czytaj, proszę!

— Brzmi bardzo niepokojąco:

Karczma Walderburg

Maks Brandauerl

Nadchodzi nieprzyjaciel. Przełęcz obsadzone są przez moich ludzi, nie może więc przejść. Gdybyśmy mieli tu do jutra kilka armat, przetrzymalibyśmy go jeszcze parę dni. Niech pan pomówi szybko o tym z księciem.

Lilga

— Czy to nie jest zastanawiające, wasza wysokość?

— W najwyższym stopniu. Potrafisz to wyjaśnić?

— Być może. Wasza wysokość wie, że od dłuższego czasu na naszej lądowej granicy z Süderlandią kwitnie przemyt, ale jakie są tego rozmiary i ilu ludzi się tym zajmuje, o tym wie tylko ktoś wtajemniczony. Sądzę, że się zbytnio nie pomylę, jeśli oszacuję na kilkaset liczbę przemytników, którzy po mistrzowsku potrafią posługiwać się bronią i mimo, że uprawiają ten zakazany zawód, dochowują wierności swemu księciu. Wydaje się, że Lilga dzięki swemu koczowniczemu trybowi życia zna niejednego i cieszy się wśród nich niemalym autorytetem. Dlatego mogła skrzyknąć ich w obliczu zbliżającego się wroga.

— Ale te słowa „nadchodzi nieprzyjaciel”, co przez to rozumiesz?

— Wasza wysokość, to zdanie pozostaje dla mnie zagadką.

— Zastanówmy się wszakże, czy to możliwe! Bez wypowiedzenia wojny i wcześniejszej wymiany not dyplomatycznych!

Obecni doradcy również nie potrafili tego wyjaśnić.

— Chociaż wiadomość brzmi nieprawdopodobnie — ciągnął dalej Maks — ośmielam się radzić waszej wysokości, aby jej nie lekceważyć. Jestem przekonany, że Lilga posiada lepszą znajomość tajnych, politycznych planów i stosunków niż niejeden mąż stanu, i że dokładnie wie co robi. Jestem skłonny obstawać przy tym, aby wasza wysokość zgodził się spełnić jej życzenia.

— Powiniennem zatem postawić moich żołnierzy po jednej stronie ze szmuglerami?

— Przecież żołnierze nie muszą wiedzieć kim są ich towarzysze. Zresztą w ogóle nie zostało powiedziane, że mamy do czynienia z przemytnikami. A czy rząd hiszpański nie posłużył się przeciw Napoleonowi rozbójnikami i kontrabandzistami? A zresztą, wasza wysokość zechce mi wybaczyć, co czyni człowieka szmuglerem?

— Chcesz powiedzieć, że prawo albo zła polityka gospodarcza? Śmiały zarzut Maksie i całkowicie zgodny z tym co twierdzi twój ojciec. Jednak nie gniewam się na ciebie, postanowiłem bowiem znieść pobierane na granicy cła. No, a kogo proponujesz jeśli chodzi o tę wyprawę w góry?

— Uważam, że odpowiedni były kapitan Helbig.

— Mam taki sam pogląd. Wyślę więc po niego i...

Księżę przerwał, gdyż znowu pojawił się służący.

— Wasza wysokość, kapitan Helbig prosi o posłuchanie.

— *Lupus in fabula!* O wilku mowa — krzyknął zadowolony księżę. — Zawołać go!

Helbig wszedł niosąc otwarty telegram. Ukłonił się księciu i uściśnął dłoń Maksowi, po czym rzeki:

— Wasza wysokość, kiedy zgodnie z rozkazem jaki otrzymałem, spiskowcy zostali aresztowani, a ja przekonałem się, że o żadnej ucieczce z ich strony nie może być mowy, poszedłem sprawdzić wystawione posterunki. Gdy przybyłem do domu szefa policji, dowiedziałem się od wartownika, że krótko po aresztowaniu, przyniesiono telegram. Sprawa wydała mi się godna uwagi, ale z depechy niczego nie mogłem odczytać, gdyż jest zaszyfrowana. Od kogo mógł przyjść ten telegram? Naturalnie, że od kogoś ze spiskowców? Ale kim on jest? Zналиśmy przecież nazwiska wszystkich uczestników, a na dodatek przebywają już oni w areszcie. Czyżbyśmy kogoś przeoczyli? Nie zastanawiałem się długo i przyszedłem z telegramem tutaj, gdzie miałem nadzieję spotkać doktora Brandauera, który zna klucz szyfru.

— Bardzo dobrze pan uczynił, drogi kapitanie — stwierdził Maks. — Proszę mi go pokazać! Doktor nabył już pewną sprawność w rozszyfrowywaniu tych dokumentów, przeczytał więc bez większego trudu. Na jego twarzy odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

— To nie do wiary, proszę posłuchać, wasza wysokość:

Panie naczelniku policji

Godzina próby wybiła. Precz z tyranem! Tylko szybko i to jeszcze tej nocy! Potem będzie za późno!

Hrabia Hohenegg

— Niemożliwe! — krzyknął przerażony książę.

— Ja też tak sądziłem, wasza wysokość. Ale telegram jest autentyczny.

— Gdzie został nadany?

Maks spojrzał na nagłówek depeszy.

— W Bergstein.

— Bergstein?

— Tak, nie ma co do tego żadnej wątpliwości, hrabia uciekł.

— Ale jak?

— Wasza wysokość wydaje mi się, że nie ma sensu abyśmy zaprzęтали sobie tym głowy, z raportu dyrektora dowiemy się wszystkiego. Ważniejsze jest, czy uda nam się schwytać go ponownie?

— Wierzysz w to?

— Dlaczego nie? Hohenegg doszedł widocznie do przekonania, iż spiskowcy otrzymali telegram we właściwym czasie i powstanie może jeszcze dojść do skutku. Przy takim założeniu, najlepsze co mógł uczynić to udać się, natychmiast po ucieczce do stolicy, aby bc na miejscu, gdy rebelia wybuchnie.

— Do tego potrzeba odwagi, której...

— ...której hrabiemu Hohenegg z całą pewnością nie brakuje. Na wszelki wypadek powinniśmy się liczyć z możliwością spotkania jego osoby w stolicy. Nie mamy czasu do stracenia, jeśli on zauważy, że rzucona iskra nie wzniciła pożaru, natychmiast opuści miasto. Wasza wysokość, proszę o dziesięciu ludzi. Tylu wystarczy, aby aresztować hrabiego, o ile rzecz jasna jeszcze się tutaj znajduje.

— Oczywiście, że ci ich przydzielę Dla pana, kapitanie Helbig, mam inną misję... Zaraz, jeszcze chwileczkę, o której ten telegram został nadany?

— Piętnaście minut po północy — odparł Maks.

Książę przypatrywał się wszystkim obecnym, aż wreszcie rzekł wolno i z naciskiem:

— Piętnaście minut po północy! Moi panowie to prawdziwy cud, że hrabia odzyskał swą wolność o godzinę za późno! Ta jedna godzina zapobiegła wielu nieszczęściom. Niebu niech będą dzięki!

* * *

Było krótko po wpół do piątej, gdy Maks wraz z dziesięcioma żołnierzami skręcił w ulicę, przy której znajdował się pałac hrabiego. Przed bramą stał powóz zaprzęgnięty w dwa ogniste rumaki, które uderzały niespokojnie kopytami. Brandauera dzieliło od celu jakieś sto kroków, gdy ujrzał jak z pałacu wyszło dwóch ludzi i wsiadło do powozu. W jednym z nich rozpoznał hrabiego. Konie ruszyły z kopyta i powóz z wielką szybkością zbliżał się do Maksa. Doktor zdziwił się, iż powóz kieruje się w stronę centrum. W jednej chwili podjął decyzję. Kilkoma susami dopadł powozu i wskoczył na znajdujące się z tyłu miejsce. Nawet stangret tego nie zauważył. Maks dał znać ręką żołnierzom, aby pospieszyli za nimi, ale za następnym zakrętem stracił ich z oczu.

Jazda nie trwała zbyt długo. Pasażer na gapę zdumiał się, gdy powóz stanął przed pałacem, którym do swej dyspozycji otrzymała księżniczka Asta. Czego hrabia mógł od niej chcieć? Szybko, zanim jeszcze stangret zdążył zejść z kozła zeskoczył na ziemię i skrył się za wejściem do następnego budynku. Hrabia wysiadł i zniknął w kolumnowej bramie pałacu.

Maks odczekał dziesięć minut, ponieważ tyle zapewne potrzebowała księżniczka, aby móc przyjąć wizytę o tak wczesnej porze. Następnie opuścił swą kryjówkę, postawił kołnierz płaszcza, naciągnął mocno na czoło kapelusz i ruszył ku bramie.

Na schodach drogę zastąpił mu portier.

— Dokąd pan się udaje? Jeszcze za wcześnie na składanie wizyt.

Maks wyciągnął z torby książeczkę przepustkę.

— Proszę, niech pan spojrzy na ten dokument! Nie sądzę, aby odmówił pan pełnomocnikowi najjaśniejszego pana.

Odźwierny natychmiast stał się uprzejmy.

— Proszę o wybaczenie! Tego nie mogłem wiedzieć. Pańskie przybycie łączy się zapewne z przybyciem hrabiego Hohenegg?

— Naturalnie. Mam mu do przekazania bardzo ważną wiadomość. Dokąd pan go zaprowadził?

— Do salonu jej wysokości.

— A gdzie on się znajduje?

— Na pierwszym piętrze, drugie drzwi na prawo. Czy mam tam iść z łaskawym panem?

— Dziękuję, teraz już trafię.

Szybko ruszył schodami do góry. Gdy dotarł pod wskazane drzwi, przystanął i zaczął nasłuchiwać. Ze środka dochodziły dźwięki stłumionych głosów. Jeden z nich należał do kobiety. Nacisnął cicho klamkę, drzwi uchyliły się, teraz słyszał wyraźnie każde słowo.

— A więc dobrze, wasza wysokość, będę szczery. Musi pani niezwłocznie opuścić wraz ze mną miasto, a może nawet i kraj, gdyż jeszcze dzisiaj wojska pani ojca przekroczą granicę Norlandii...

— Mówi pan jak jakiś wróżbita, panie hrabio. Co mogłoby skłonić mego ojca do takiego...

— Gwarantuję pani, że niezwykle ważne przyczyny, wasza wysokość!

— W takim razie wezwalby mnie z powrotem, aby nie narażać na niebezpieczeństwo.

— Początkowo tak miało być, jednak wydarzenia nastąpiły nagle i wezwanie pani w odpowiednim czasie stało się niemożliwe. Jeszcze dzisiaj norlandzki lud powstanie, aby ogłosić hrabiego Hohenegga księciem...

— Co? — krzyknęła przerażona.

— Pani ojciec wyda swoim wojskom rozkaz wkroczenia tu, w celu wsparcia nadziei naszego ludu...

— Och, domyślam się!

— Obecny książę przestanie sprawować swą władzę jeszcze dzisiaj wieczorem. Zaś od jutra losy Norlandii znajdą się już w innych rękach.

— To znaczy w pańskich?

— Tak.

Zostało to wypowiedziane z pewnością, której jednak hrabia w głębi serca nie czuł. Liczył wszakże na to, że depesze, które wysłał do swych zauszników poza stolicę, dotarły do nich, i że jeszcze dziś powstanie rozprzestrzeni się na cały kraj za wyjątkiem stolicy, gdzie mimo wszystko pozostał przywódca zwycięskich rebeliantów. Gdyby tylko wiedział, że i jego zaufani ludzie na prowincji, także znajdują się w areszcie...

— Hrabio! — zawołała księżniczka. — Teraz wszystko rozumiem. Proszę mi odpowiedzieć! Czy pańskie polityczne kalkulacje dotyczyły również i mojej osoby?

— Wasza wysokość, wyznaję, że to był najmilszy memu sercu plan, aby związek jej wysokości z moim synem...

— Proszę milczeć! — przerwała mu księżniczka ostrym tonem. — Pański syn nigdy nie zdobył mojej sympatii. Co się zaś tyczy pana, hrabio, to o ile wcześniej pańska postawa budziła mój szacunek, to teraz dostrzegam, że posiada pan najnikczemniejszy charakter jaki kiedykolwiek spotkałam. Pan jest zdrajcą! I błotem, które przyłgnęło do pana rzuca pan we mnie. Bowiem, za tak wspaniałe przyjęcie, jakie mnie tutaj spotkało, moi krajanie odpłacą się i to z pańskiego powodu, straszną niewdzięczności Panie hrabio, pogardzam panem! Proszę natychmiast zejść z mych oczu albo każę zawołać służbę!

Ta wojownicza odpowiedź księżniczki odebrała na chwilę hrabię mowę. Za to potem jego głos zabrzmiał złowrogim, ochryłym tonem:

— To pani ostatnie słowo, księżniczko?

— Tak!

— W takim razie powiem również i ja swoje! Musimy zwyciężyć i zwyciężymy. Wtedy zaś przekona się pani, iż otrzymałem ustne i pisemne zapewnienia ze strony pani ojca, że zostanie pani małżonką mego syna, Także pani, jak uczyniło to setki innych kobiet rodu, będzie musiała ugiąć się pod jarzmem polityki.

— Nigdy!

— Proszę zostawmy tymczasem tę kwestię bez odpowiedzi! Pytam panią po raz ostatni, czy zamierza pani i to niezwłocznie opuścić miasto?

— Nie, zostaję. Chcę dowieść, iż z pańską zdradą nic mnie nie łączy. A teraz niech pan idzie! Nie mam dla pana więcej czasu.

Maks posłyszał hałas, tak jakby hrabia zamierzał zbliżyć się do księżniczki. Natychmiast otworzył drzwi i wszedł do salonu. Ukłonił się głęboko damie, po czym rzekł do hrabiego:

— Zechce pan wybaczyć, hrabio, że wtrącam się do pańskiej rozmowy!

Zaskoczony Hohenegg odwrócił się i grymas strachu przebiegł mu po twarzy. Opanował się jednak szybko.

— Czego pan tutaj chce? Jak pan tu wszedł?

— W taki sam sposób jak i pan, hrabio.

— Precz stąd łajdaku!

— Póki co zostaję, gdyż mam z panem do pomówienia, proszę wszakże, aby zechciał pan wyrażać się w przyzwoity sposób. Niech pan posłucha, hrabio! Powiedział pan, że armia Süderlandzka jeszcze dziś wkroczy do Norlandii, a ja mówię, że zostanie powstrzymana. Twierdził pan, że jeszcze dzisiaj lud wystąpi przeciw swemu władcy, ja twierdzę, że nie dojdzie

tu do żadnego powstania, zaś wszystkie osoby, które brał pan pod uwagę w swych kalkulacjach, zostały aresztowane. Na podstawie powyższego, powinien pan dojść do wniosku, że dziś wieczorem książę nie zostanie obalony i nie spełnią się pańskie oczekiwania. Panie hrabio, jest pan moim więźniem!

Hrabia osłupiały stał w miejscu, zrobił się purpurowy.

— Też coś! Pan, właśnie pan chce mnie pojmać? Śmieszne!

— Wkrótce się okaże, czy moje słowa rzeczywiście należy uważać za śmieszne — stwierdził spokojnie Maks. — Niech pan mnie nie ocenia tak nisko, hrabio! To ja byłem właśnie tym, który wpadł na ślad pańskiego spisku. I także ja rozszyfrowałem dokumenty należące do uczestników. Znamy nazwiska pańskich popleczników; i wszyscy oni zostali tej nocy aresztowani. Jego dostojność przybył za późno, a ja stoję przed panem, aby udzielić panu rady, która, biorąc pod uwagę aktualną sytuację, może panu dopomóc.

— Ach, pan... pan chce mi udzielić rady?

— Tak, ja! I najlepiej pan zrobi, jeśli pan jej posłucha. Obaj Hoheneggowie będą skończeni, jeśli nie pogodzą się z tym faktem, że ich plany spaliły na panewce.

— Czy aby rzeczywiście? — uśmiechnął się szyderczo hrabia. — No, a rada, której chce mi pan udzielić?

— Najlepszym wyjściem dla pana będzie oddać się w moje ręce.

— I co pan ze mną uczyni?

— Przekażę pana księciu, on zadecyduje o pańskim losie.

— Co za wspaniałomyślność i łaskawość! A jeśli się nie poddam?

— Będzie pan musiał ponieść konsekwencje tego czynu.

— W takim razie je poniosę.

Szybkim, zdecydowanym krokiem wyminął Maksa. Doktor mógłby go wprawdzie złapać, ale zrezygnował z tego, ze względu na księżniczkę. Prócz tego był przekonany, że i tak się nie wymknie. Towarzyszący mu wojskowi zapewne dotarli już do pałacu, więc hrabia musiał wpaść prosto w ich ręce. Ograniczył się więc tylko do tego, aby wybiec szybko za uciekającym. Okazało się jednak, iż się przeliczył. Żołnierze bowiem stracili z oczu pędzący powóz i potrzebowali wiele czasu, aby ponownie wpaść na jego ślad. Gdy Maks wyszedł przed bramę zdążył zobaczyć jak uciekający wehikuł skręcił w następną uliczkę. W tej samej chwili nadbiegli żołnierze.

Gdy tylko podoficer złożył meldunek, doktor rozkazał:

— Szybko za tym powozem! Wezwać wszystkie posterunki! Sto talarów dla tego, kto złapie hrabiego!

Żołnierze ruszyli w pościg, zaś Maks wrócił do księżniczki, aby udzielić jej koniecznych wyjaśnień.

— Proszę, niech pan siada — powiedziała.

— Dziękuję, jaśnie pani.

— Pan się nazywa Maks Brandauer?

— Tak.

— Jego wysokość, książę obcuje często z pana rodziną?

— Jestem szczęśliwy, że mogę to potwierdzić.

— W każdym razie obecnie działa pan z jego polecenia?

— To prawda. Wasza wysokość, proszę pozwolić mi przedstawić sobie całą sytuację. Wprawdzie wojska Süderlandii maszerują już przeciwko nam, ale wiem, że mogę mieć do pani zaufanie.

— Tak. Zresztą nie opuszczę wcześniej Norlandii, zanim ten nieszczęsny zatarg nie zakończy się.

— Tak się złożyło, że słyszałem ostatnią część pani rozmowy z hrabią i nie potrafiłbym, mając w pamięci pani słowa, powstrzymać się od wyrażenia podziwu dla pani szlachetnego charakteru. Wszakże miałem coś wyjaśnić.

Zaczął od opisu intryg i sekretnych działań, których ofiarą stać się miała właśnie ona. Pewne rzeczy przemilczał, ale i tak księżniczka otrzymała pełny obraz całości.

— Dziękuję panu — powiedziała, gdy skończył. — Niechący odkrył pan przede mną swą prawość i wierność. Pozwoli pan więc odwzajemnić słowa głębokiego szacunku, które wypowiedział pan wcześniej i pozostać przy nadziei, że widzę dzisiaj pana przy sobie nie po raz ostatni.

Zarumieniła się lekko przy tych słowach, a dłoń, którą do niego wyciągnęła pozostała odrobinę dłużej niż to było konieczne w jego ręce. To dotknięcie sprawiło, że Maks poczuł się szczęśliwy. Mógłby teraz wyznać, że całym sercem należy do niej, ale rozważnie odrzekł:

— Jeżeli wasza wysokość odprawi mnie stąd z rozkazem, że mam znów pojawić się przed nią, to wypełnię go z wielką gorliwością.

— Niech pan odwiedza mnie tak często jak często wyda się to panu potrzebne, albo sympatyczne. Będzie pan zawsze mile widziany. Dziękuję, że mnie pan uwolnił od obecności tego człowieka. Do widzenia!

Maks wrócił do domu, aby choć przez kilka godzin odpocząć po nocnych trudach. Nie spał długo, gdy obudziło go pukanie i w pokoju pojawiła się wielka sylwetka Tomasza.

— Panie doktorze, jakiś jegomość chciałpy z panem rozmawiać.

— Kto to taki?

— Nigdy go jeszcze nie widziałem.

— Nie mógł jeszcze trochę poczekać? Zaraz przyjdę.

— Wedle rozkazu, panie doktorze!

Maks wdział szybko ubranie i zszedł na dół. Od razu poznał swego gościa. Był nim nowy dyrektor Zakładu dla Psychicznie Chorych, który dopiero co przybył do stolicy i uznał, że najlepiej będzie jeśli uda się najpierw do Brandauera.

Przywitał się i Maks widząc w jego oczach niepokój, odezwał się pierwszy:

— Panie doktorze domyślam się powodu pańskiej wizyty. Niech mi pan zatem opowie jak to się zdarzyło!

Dyrektor rozpoczął wyjaśnienia. Było widać, że idzie mu to z trudem, a gdy skończył, doktor rzekł:

— Panie dyrektorze nie mamy teraz czasu, aby wchodzić w bliższe szczegóły, proszę przygotować na jutro dokładny raport i dostarczyć go księciu albo mnie!

— Oczywiście, uczynię to. Obawiam się, że przez to niezawinione z naszej strony wydarzenie, jego wysokość, a także pan, panie doktorze, straciliście do nas...

— Niech pan będzie spokojny — przerwał mu Maks. — Jestem przekonany, że pan wypełnił swój obowiązek. Zaufanie do pana i do pańskich kolegów nie zostało jak dotąd podważone.

— Dziękuję panu — odparł już mniej zatroskany. — Czy sądzi pan, że uda się jeszcze hrabiego pochwycić?

— Mam taką nadzieję. Zresztą zaraz się o tym przekonamy. Właśnie w tym momencie wszedł Tomasz wraz z podoficerem dowodzącym żołnierzami, których Maks wysłał w pościg za hrabią.

— Już? Ma pan tego człowieka? Spytany zasalutował.

— Wedle rozkazu, panie doktorze, niestety nie mamy go.

Zrobił przy tym tak nieszczęśliwą minę, że Maks mimo woli musiał się uśmiechnąć. Prawdopodobnie ten człowiek mniej był zmartwiony udaną ucieczką więźnia niż faktem, iż trzeba było pożegnać się z obiecanyimi stu talarami. Tomasz nie mógł powstrzymać się i powiedział:

— I jeszcze powiedzą nicponie „wedle rozkazu”. Wedle rozkazu pyłopy wtedy gdypy złapali i tu przyprowadzili. Nie ma w tym narodzie ani talentu, ani fasonu, ani ręki, ani nogi. Mnie to py on nie uciekł.

Maks rzecz jasna, też był niezadowolony, jednak część winy za nieudany pościg przypisywał sobie. Gdyby nie zaczynał wcześniej z hrabią rozmowy, tylko od razu go pojmał, to udaremniłby mu ucieczkę. Jednak miał przekonanie, że uda się go jeszcze złapać. Zwrócił się do podoficera:

— W porządku, pan wypełnił swój obowiązek i nie mam do pana pretensji. A teraz proszę pilnować pałacu hrabiiego, nikt nie może tam ani wejść, ani wyjść. Nie potrwa to długo, zadbam bowiem, abyście zostali szybko zluzowani.

Podoficer odszedł a wraz z nim dyrektor szpitala.

Maks pospieszył do księcia, aby opowiedzieć mu o przebiegu nieudanego przedsięwzięcia. Gdy przemierzał przedpokój, otwarte się drzwi salonu i wyszedł z niego jakiś oficer, był to Süderlandzki poseł.

Maks mógł bez meldowania wchodzić o każdej porze do swego chrzestnego. Również i teraz nie zawahał się i skorzystał z tego przywileju. Ale gdy przekroczył próg, zawrócił. Księżę wbrew przypuszczeniom nie był sam, u jego boku znajdowała się księżniczka von Süderland. Już miał przeprosić i wycofać się, gdy księżę nakazał mu pozostać. Jego wysokość trzymał w ręku pismo, które wręczył doktorowi.

— Przeczytaj Maksie, tylko się nie zdziw!

Ten uklonił się księżniczce z wielkim szacunkiem i zajął się tekstem. Jego treść musiała być zabawna, gdyż Maks mimo obecności tak znakomitych osób, nie potrafił się powstrzymać i parsknął śmiechem.

Księżę zwrócił się teraz do Asty i spytał:

— Czy jej wysokość dostała telegram wzywający ją do opuszczenia Norlandii?

— Nie, wasza wysokość.

— Dziwne. W każdym razie po tamtej stronie nie spodziewano się tak szybkiego rozwoju wydarzeń. Nie znam jeszcze stanowiska jakie pani zajęła, ale moja sympatia do jej wysokości nie pozwala mi zataić przed nią treści tego listu. Jej wysokość, pani ojciec, pisze w nim, że ubolewa ogromnie, iż w całym moim kraju wybuchły zamieszki, wskutek czego mój tron, moja władza a także moja własna osoba znalazły się w wielkim niebezpieczeństwie. W tej sytuacji uważa za swój obowiązek, przyjść mi z sąsiedzką pomocą i w związku z tym wydał rozkaz, aby jeden z korpusów jego armii, który przeprowadza manewry blisko naszej granicy, przekroczył ją i stłumił powstanie siłą. Księżniczko, czy mogę panią prosić o opinię na ten temat?

Asta zaczerwieniła się, a jej oczy stały się wilgotne tak jak dzieje się to często pod wpływem bólu albo gniewu.

— Wasza wysokość jestem córką mego ojca, ale nazwę to wszystko właściwym słowem; wstyd! To wielki, niezwykle wielki wstyd jakim okrywa czcigodną głowę mego ojca, znenawidzony Hohenegg. Domagam się kary dla złoczyńców, wasza wysokość!

— Pani żądanie w zasadzie już zostało spełnione. Jednak zechce pani wziąć pod uwagę, że to nie tylko hrabia ponosi tu winę.

— Czuję co pan chce powiedzieć, wasza wysokość i dlatego proszę aby pan traktował mnie odtąd jako zakładniczkę.

Usłyszawszy to książę podszedł do niej i ujął za dłoń. Jego głos zabrzmiał łagodnie i przyjaźnie:

— Moje drogie dziecko, pani nie zasłużyła na najmniejsze słowo nagany. Jest pani wolna. Jeśli chce pani wrócić do swej ojczyzny to natychmiast tak się stanie. Jeżeli jednak chciałaby pani zaskarbić sobie wdzięczność mego ludu, a także swego, to niech pani zostanie, oczywiście niejako zakładniczką, lecz przeciwnie jako życzliwa pośredniczka między mną a pani ojcem!

— Wasza wysokość, zostaję! Co mam teraz czynić?

— Proszę wysłać niezwłocznie dwie depesze, jedną do ojca, drugą do dowódcy wojsk, znajdujących się już na naszej granicy.

— Kto nimi dowodzi?

— Następca tronu, pani brat.

— Och! Zatem nie czekajmy ani chwili! Proszę, wasza wysokość, niech pan dyktuje!

— Ja nie bardzo potrafię. Maks może to napisać! Zna styl w jakim formuje się takie depesze. Najważniejsze, aby udało się ich przekonać. Moja decyzja bowiem już zapadła i odpowiednie kroki zostały podjęte. Niech pani zatelegrafuje, że nigdzie nie ma najmniejszego śladu rzekomej rewolucji, i że w związku z tym nie chcąc narazić się na śmieszność należy natychmiast zatrzymać wojska. Jutro rano ogłoszę nową konstytucję i jeszcze tego samego dnia ruszę z częścią wojska ku granicy, aby tam przeciwstawić się ewentualnemu natarciu Süderlandczyków. Tymczasem reszta armii, na czele której postawiłem barona Falkenau, zostanie zaokrętowana, po to by zagrozić nieprzyjacielowi od morza. Widzi pani, wasza wysokość, z jaką otwartością wszystko pani wyznaję; jestem bowiem przekonany, że zasługuje pani na zaufanie. Dałby Bóg, aby ten nieszczęsny zatarg udało się zakończyć w porę i bez zbytniego rozlewu krwi!

— Dałby Bóg! — powtórzył Maks.

— Dałby Bóg! — westchnęła księżniczka, a w jej oczach pojawiły się łzy.

* * *

Wieczorem tego samego dnia doktor Brandauer udał się do pałacu hrabiego Hohenegg, aby w papierach zbiega poszukać ewentualnych dowodów współwiny jego syna. W rezultacie Maks odkrył nowe, ciężko obciążające ojca dokumenty, nie było za to niczego, co mogłoby wskazywać, iż ze spiskiem łączyło coś syna. Wyglądało to właściwie tak, jakby Hohenegg celowo wyłączył go z całej gry, aby na wypadek niepowodzenia młody graf nie poniósł żadnych konsekwencji.

Dokonał za to zupełnie innego odkrycia, które wprawiło go w wielkie zadowolenie. Oto wśród papierów hrabiego znajdował się oryginał pewnego tajnego przymierza, jakie książę Süderlandii zawarł przed laty z jedną z zagranicznych potęg. Dokument ten zniknął potem w niewyjaśniony sposób z biurka tajnego radcy księcia, barona von Gollwitz. Cała sprawa nabrała wielkiego rozgłosu. Z przymierza nic nie wyszło, zaś baron, na którego padło podejrzenie, nie mogąc wykazać niewinności popadł w niełaskę. Teraz ten fatalny dokument odnalazł się przypadkiem u hrabiego Hohenegg. Lecz było coś, co sprawie tej nadawało jeszcze większej donio słości. Otóż do wspomnianego oryginału dopięto kartkę, na której widniało nazwisko rzeczywistego złodzieja i wielkość sumy jaką otrzymał on od hrabiego za tę kradzież. Tajny radca księcia był zatem niewinny i Maks z satysfakcją wyobrażał sobie ile radości wywoła w rodzinie poszkodowanego, odkrycie prawdziwego stanu rzeczy.

Nie przypuszczał nawet jak ważną rolę odegra w przyszłości ten odnaleziony na nowo i pozornie nie mający już teraz żadnej wartości papier.

WYZNANIE CYGANKI

Działo się to następnej nocy na jednej z owych nielicznych i przecinających góry między Norlandią i Süderlandią przełęczy, która znajduje się powyżej miasteczka Waldenburg. Droga, która tamtędy prowadzi, wchodzi stromymi zakrętami aż do samej góry i opada następnie tak samo w dół. Liczący ponad dwie godziny drogi wąwóz tworzy naturalny punkt obrony, dlatego w wypadku wojny między obu krajami, każdy z nich musi starać się przede wszystkim o zdobycie tego miejsca.

Była już noc i zza górskich grzbietów wyłoniła się właśnie okrągła tarcza księżyca. Srebrzyste światło ukazywało wojenną scenerię. Na szczycie przełęczy paliło się wiele ognisk, wokół których obozowały niezwykle postacie. Nie nosiły mundurów, lecz stroje ubogich mieszkańców gór, zaś zatknięte za pasem noże i krótkie myśliwskie strzelby wskazywały wyraźnie, iż ludzie ci nie żywią specjalnie przyjaznych zamiarów wobec tych, którzy mieli się tu pojawić.

W blasku księżyca i ognia można było zauważyć liczne i ogromne zasieki. Składały się ze ściętych i zrzuconych na obie strony przełęczy potężnych świerków i jodeł, które leżąc w nieładzie tworzyły trudne do usunięcia przeszkody. Ich trwałość wzmacniały zepchnięte z góry i przemieszane z drzewami skalne bloki.

Przy jednym z ognisk siedział właściciel karczmy spod Waldenburga. Jego towarzysze zachowywali się niezmiernie cicho, czym zdecydowanie wyróżniali się od innych obozujących, prowadzących głośne i ożywione rozmowy. Małomówność ta miała swą wyraźną przyczynę, niedaleko ogniska leżała na posłaniu z pachnącego siana, starannie owinięta płaszczem kobieca postać, której snu nie mógł zakłócić gwar rozmów. Była to Lilga.

— Jesteś tego pewien? — szepnął do właściciela karczmy, siedzący obok mężczyzna. — Trudno w to uwierzyć.

— Dowiedziałem się tego właśnie od niej, że Süderlandczycy pojawią się tu jeszcze dzisiejszej nocy, ona zaś wie o wszystkim.

— Ale jaka właściwie miałyby być przyczyna wojny?

— O to musisz pytać wielmożnych panów, to oni decydują o pokoju i o wojnie. My zaś za to płacimy.

— No, a czy będziemy na tyle silni, żeby zatrzymać tu całą armię?

— Głupcze! Kto może przejść przez takie zapory? A mamy ich pięć. Zresztą obiecano nam armaty.

Od północnej strony dały się słyszeć szybkie kroki. Mężczyźni poznali przybysza, którym okazał się Cygan Horgi.

— Czy Lilga jeszcze śpi? — spytał karczmarza.

— Tak. Nie przeszkadzaj jej, nie spała przecież dwie noce. Nadejście gościa zbudziło jednak Lilgę. Odrzuciła płaszcz i przybrała na wpół siedzącą pozycję.

— Długo cię nie było Horgi! — powiedziała na wstępie.

— Nie mogłem przyjść wcześniej, *vajdzino*. Zatrzymali mnie u siebie, chcąc by prowadził ich tu ktoś pewny i dobrze znający drogę.

— A więc zjawią się tutaj?

— Tak.

— W jakiej sile?

— Ośmiu dział. Osiem następnych przybędzie z tamtej strony, kolejną. Dowodzi nimi jakiś porucznik.

— A naszymi kto?

— Kapitan Helbig.

— No to w porządku.

Zerwała się na równe nogi, a siedzący przy ognisku mogli zauważyć, że te wiadomości bardzo ją uradowały. Horgi zaś mówił dalej:

— Kapitan wyprzedził swoich i powinien zaraz tu być.

I rzeczywiście w tej samej chwili usłyszeli zbliżający się tętent koni, po czym ukazała się grupa jeźdźców, ze wspomnianym oficerem na czele. Zeskoczył z konia i podszedł do Lilgi. Przyglądał się z wielką ciekawością postaci Cyganki, o której słyszał tyle niezwykłych rzeczy.

— Czy pani nazywa się Lilga i jest cygańską *vajdziną*?

— Zgadza się.

— Księżę przysłał nas do pomocy. Mam nadzieję, że pani się nie pomyliła, informując o nadejściu Süderlandczyków.

— Królowa Boinjarów dobrze wie co czyni i mówi — zabrzmiała dumna odpowiedź. — I oświadczam, że Süderlandczycy zjawią się tu w ciągu godziny.

— Czy doszło już do jakichś starć z nimi?

— Nie. Ich szpiedzy nie docierają aż tutaj, my natomiast nie pokazujemy się na dole.

— Bardzo dobrze! Zaskoczmy ich więc całkowicie.

Z miną znawcy przyjrzał się ustawionej zaporze.

— Ile ich wzniesiono?

— Piec.

— A czy pozostałe też się na coś nadadzą?

— Niech się pan nie martwi! Mam wśród swoich ludzi kilku byłych artylerzystów. Umocnienia przygotowane ich rękami są doskonałe.

— W porządku, chciałbym je obejrzyć. Proszę mi dać jednego człowieka!

— Sama pana poprowadzę.

Weszli oboje w znajdującą się w umocnieniach ukośną lukę. Gdy po pewnym czasie kapitan wrócił ze swą towarzyszką, rozkazał rozsunąć zaporę, aby mogły przedostać się tamtędy działa.

— Czy znajduje się tu w pobliżu jeszcze jakaś inna droga, którą można przejść przez góry?

— Tak, ale jest bardzo uciążliwa i znają ją tylko przemytnicy.

— To nic, że uciążliwa! Tamci też mogą o niej wiedzieć.

— Nie wydaje mi się. Na wszelki wypadek obsadziłam ją swoimi ludźmi.

— To mądre posunięcie. Z pani jest prawdziwy dowódca, Lilgo! Teraz doszedł ich głuchy odgłos, to zbliżały się działa. Kapitan Helbig przejął ponownie komendę i poprowadził je naprzód.

Wszystkie zapory ustawione zostały w najwłaściwszych miejscach. Ta położona najniżej, znajdowała się w punkcie, z którego wychodząca z doliny i wspinająca się półkolami droga była doskonale widoczna. Patrząc natomiast stamtąd nie dało się spostrzec na przełęczy żadnych umocnień. Sama fortyfikacja była tak mocna, że Helbig nie miał wątpliwości, co i tego, że wszystkie działa należy ustawić właśnie tam.

Trwało jeszcze przygotowanie artyleryjskich stanowisk, gdy prowadzącą z dołu drogą nadszedł spieszenie jakiś człowiek.

— Kto? — spytał stojący przy fortyfikacji wartownik.

— Czemba.

— To nasz zwiadowca, panie kapitanie — wyjaśnił pilnujący umocnień.

Czemba przeszedł przez nie i zobaczył artylerię.

— Och jak to dobrze, że są tu działa. Nadchodzą Süderlandczycy!

— Ilu ich jest?

— Istna armia, idą bowiem całą szerokością drogi. Prowadzą ich tamtejsi szmuglerzy.

— Jak blisko są?

— Za dziesięć minut będą w dolinie.

— Ci, którzy walczą na ochotnika, wystąp!

Na to wezwanie stanęło przed kapitanem z górą pięćdziesięciu przemytników.

— Słuchajcie, z częścią z was muszę się udać na zwiady. Nie chcę podejmować żadnych działań, nie upewniwszy się, że są absolutnie konieczne. Kto idzie ze mną?

— Wszyscy! — krzyknęli ochotnicy.

— Brawo! Tylko sprawcie mi się dobrze! Naprzód!

Ruszyli, kapitan kroczył na czele. Odpiął swoją szpadę, zdjął mundur i hełm, a pożyczył od jednego ze szmuglerów kapelusz, kaftan i krótką myśliwską strzelbę. Zeszli ze szczytu aż do miejsca, w którym przełęcz bardzo ostro skręca. Ze względu na zamiary Helbiga wydawało się, że to najdogodniejszy punkt. Tym bardziej, że ktoś przenikliwy i przewidujący rzucił jakieś pięćdziesiąt kroków niżej, w poprzek drogi ogromną jodłę.

Stąd, gdzie się zatrzymali widać już było połyskujące hełmy nadchodzącej armii, zaś ledwie wyczuwalny tętent zdradzał, iż na czele znajduje się kawaleria.

— Zostańcie tutaj i miejcie broń gotową do strzału! — rozkazał kapitan, po czym ruszył dalej, aż do obalonej jodły.

Ukrył się za nią i wkrótce dostrzegł grupę oficerów, którzy prowadzeni przez dwóch ludzi, jechali na przedzie.

— Stać! — krzyknął, gdy znaleźli się dostatecznie blisko. — Kto tam?

Stanęli i było widać, że się naradzają, wreszcie rozległ się głos:

— Przyjaciel, dobry przyjaciel. A kim ty jesteś?

— Uczciwym Norlandczykiem. Od kiedy to wkracza się na obce terytorium bez wcześniejszych pertraktacji bądź wypowiedzenia wojny?

— Zuchwalcze! Zejdź nam z drogi, bo w przeciwnym razie wykurzymy cię stamtąd!

— Reprezentuję mego księcia. Wasze wtargnięcie jest niezgodne z międzynarodowym prawem. Zawracajcie więc, a jeśli nie, to dowiedziecie się kto kogo stąd wykurzy! Ten kraj i ta droga należą do nas. Żegnam!

Kapitan ruszył wolno z powrotem. Po pewnym czasie udało się słyszeć jak tamci usuwają jodłę na bok.

— Czy potraficie ich dostrzec? — spytał Helbig.

— Tak jest! — zabrzmiała odpowiedź. — Dla takich jak my, noc jest jak dzień.

— No to dajcie ogień ale strzelajcie na zmianę, po dziesięciu!

Zabrzmiały pierwsze wystrzały. Z tamtej strony odpowiedziały krzyki i jęki. Potem oddała salwę następna dziesiątka, i jeszcze jedna. Kiedy skończyli ostatni, pierwsi ponownie mieli załadowane strzelby. Takiego przyjęcia nieprzyjaciel zupełnie się nie spodziewał; nie wiedział również kogo ma przed sobą i dlatego postanowił zaczekać do świtu. Süderlandczycy nie uważali bowiem, aby to opóźnienie mogło w czymś zaszkodzić. Ich zdaniem w Norlandii nikt nie był gotów do wojny, gdyż wszyscy zajęci byli tłumieniem powstania.

Godzinę później zaczęło z wolna jaśnieć nad szczytami, a dolinę spowijały jeszcze ciemności. Kapitan stał na jednym z drzew i spoglądał w dół. Mgła kłębiła się tam i unosiła niczym niespokojne morze. Zrobiło się już na tyle widno, że armatnie kule mogły trafić do celu. Działa kapitana Helbiga mogły trzymać pod ostrzałem cały ten odcinek drogi. Ich ogień miałby dla nieprzyjaciela straszliwe skutki; kto bowiem znalazłby się pomiędzy doliną a uzbrojonym w armaty szansem, nie miałby gdzie uciekać. Dlatego lufy sześciu dział skierowane zostały w dół, zaś dwóch pozostałych ku ostatniemu zakrętowi drogi.

Nagle od strony przednich straży rozległ się gwałtowny ogień karabinów. Nieprzyjaciel uznał, że ma przed sobą miejscowych górali i przystąpił do zdecydowanego natarcia. Pilnujące pierwszej linii oddziały musiały się, nie ponosząc na szczęście przy tym żadnych strat, wycofać. Zaledwie tylko udało się skryć za szansem, gdy u szczytu pojawili się pierwsi nieprzyjacielscy strzelcy. Chociaż widok umocnień wywołał w ich szeregach konsternację, ruszyli do ataku. Helbig rozkazał aby pozwolić im podejść jak najbliżej i wtedy kazał odkryć zamaskowane działa, a nad szansem ukazał się sztandar z norlandzkim orłem.

— Ognia! — krzyknął kapitan.

Osiem armat wystrzeliło jednocześnie. Grad kartaczy rozerwał na strzepy Süderlandzkich strzelców. Z dołu, z doliny dobiegło obrońców przełęczą jedno wielkie wycie; był to niechybny znak, że armatnie kule dopełniły swego okrutnego obowiązku.

Zaczęła się wojna!

* * *

Następnego ranka w całej Norlandii uderzono w dzwony. Lotem błyskawicy rozeszła się po kraju wiadomość, że księżę zdymisjonował obecny rząd, zniechęcił radcy i ministrowie musieli odejść, zaś lud otrzymać ma nową konstytucję. Cały naród miał przysłać na dwór wybranych przez siebie przedstawicieli, aby tam mogli nad nią radzić. Maks Brandauer stał się szeroko znany jako ten, który doprowadził do tych niezwykłych zmian. Manifest księcia rozwieszony był wszędzie i pod nazwiskiem władcy Norlandii figurował również podpis tajnego radcy, doktora Maksa Brandauera.

W całym kraju nie odezwał się ani jeden nieprzychylny temu głos. A kiedy dowiedziano się jakie niebezpieczeństwo groziło krajowi i jakich to środków trzeba było użyć, by je zażegnać, to podniosła się powszechna fala oburzenia. Ogarnęła nawet tych, którzy wcześniej sami maczali palce w mających doprowadzić do wybuchu rewolucji intrygach.

Po południu pojawił się drugi manifest, w którym książę zawiadamiał o dokonanej przez Süderlandię agresji i wzywał swych poddanych pod broń. Wiadomość ta rozbudziła patriotyczne uczucia Norlandczyków. Wszyscy zdolni do noszenia broni spieszyli pod sztandary i jeszcze tego samego dnia, z różnych stron kraju zaczęły napływać do stolicy depeze, w których proszono o zgodę na tworzenie ochotniczych regimentów.

* * *

Następnego przedpołudnia z portu na wyspie Bartholmä wypłynęła kierując się na południe, licząca siedem żagli norlandzka flota wojenna. Temu wydarzeniu towarzyszyła pewna niecodzienna okoliczność. Otóż dowódca floty znajdował się tym razem nie na okręcie liniowym, lecz na niezwykle smukłej fregacie, nadzwyczajnej klasy żaglowcu.

Wyglądało na to, jakby kapitanowie poszczególnych okrętów otrzymali indywidualne zadania, bowiem fregata stale płynęła daleko z przodu i wzajemne kontaktowanie się nie było możliwe. W końcu przepadła gdzieś za horyzontem, a pozostałe okręty oddaliły się bardzo od siebie i tworzyły teraz szeroko rozciągniętą linię. Wiadomo jednak było, że żaden nieprzyjacielski okręt na pewno nie zdoła się im wymknąć.

Tymczasem fregata płynęła dalej. Za jej sterem stał barczysty mężczyzna, którego mina świadczyła o zadowoleniu z przebiegu rejsu. Obok niego stał niewysoki marynarz we frygijskiej czapce. Obaj gawędzili w najlepsze.

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów, to dopiero radość pływać takim okrętem! Czyż nie tak, Karavey?

— Pewnie, jestem tylko ciekaw czego ten Falkenau chce?

— Już ja dobrze wiem.

— Tak?

— Popatrz tylko, w ciągu jednej nocy awansował z kapitana na dowódcę floty i chce się teraz okazać tego godnym. Pierwszego Süderlandczyka, którego spotkamy chce wziąć właśnie on i byłoby mu głupio, gdyby dokonał tego ktoś inny z naszej eskadry.

— Też bym chciał, aby mu się udało.

W tej samej chwili z tylnego pokładu dobiegło wołanie:

— Hej tam sterniku, cztery rumby na zachód!

— W porządku komandorze, już się robi! — odpowiedział Schubert i natarł z całą siłą na ster, a następnie przysłonił lewą ręką oczy i spojrzął w kierunku na zawietrzną.

— Cztery rumby na zachód, a więc jeszcze bardziej oddalamy się od floty. Musiał coś dostrzec po tamtej stronie.

— Też tak myślę. Nie widzisz tam jakiegoś żagla?

— Jasne, że widzę! I mówię ci, że on już wie z kim będzie miał do czynienia.

— Naturalnie. W takim razie muszę rozejrzeć się za jakimś przyzwoitym drągiem, bo za bardzo mi tu pachnie armatnim prochem i bijatyką.

Artur ani przez chwilę nie spuszczał oka z żagla. Naraz odwrócił się gwałtownie i rzekł do kapitana fregaty:

— Kapitanie, ma pan zamiar iść po tę zdobycz?

— O ile nie oddalimy się przy tym zbytnio od naszej floty.

— Przecież dościgniemy ją potem.

— A ten to co za jeden?

— To Süderlandzki okręt liniowy. Znam go bardzo dobrze; nazywa się „Posejdon”, jest stary i niezbyt ruchliwy.

— Ale i tak mu nie dorównujemy!

— To prawda, że jest większy i ma więcej załogi oraz dział: mimo tego załatwimy się z nim raz dwa.

— Czy ten „Posejdon” nie pływał wcześniej w rejonie Antyli?

— Tak i w złym dla siebie czasie powrócił stamtąd. Ahoj sterniku, jeszcze dwa rumby więcej!

— W porządku komandorze!

— No kapitanie; to była moja ostatnia komenda! Teraz rozkazuje już pan!

Fregata ruszyła ostro kursem Süderlandzkiego liniowca. Przy tej prędkości powinna była dojść go w ciągu kwadransa.

— Bądźcie gotowi chłopcy! Zaraz zrobi się tu gorąco — krzyknął kapitan.

Wziął lunetę i jeszcze raz zaczął obserwować horyzont. Kiedy zwrócił się do Artura w jego głosie zabrzmiało zdumienie.

— Do wszystkich diabłów komandorze, tam przecież jest jeszcze jeden żagiel, a za nim... do licha, jeszcze jeden.

— Gdzie? Przecież musiałbym je zobaczyć!

— Płyną w jednej linii dokładnie za „Posejdonem”, dlatego dopiero teraz da się je zauważyć.

Artur wziął lunetę do ręki.

— To także Süderlandczyk. Trójmasztowiec mocnej budowy. Miejmy nadzieję, że ten trzeci nie jest taki sam.

— Czy nie byłoby lepiej zawrócić, komandorze?

— I narazić się na pośmiewisko? „Posejdon” będzie nasz, a z resztą się zobaczy.

Dziesięć minut później zbliżyli się do liniowca na odległość głosu i mogli jednocześnie przekonać się, że drugi z okrętów też jest liniowcem, trzeci zaś fregatą i oba należą do Süderlandzkiej floty.

Tymczasem na „Posejdonie” podniesiono banderę.

— Komandorze — zwrócił się do Artura kapitan — porywamy się na niemożliwe!

— Chce pan przekazać mi dowództwo nad okrętem?

— Chętnie to uczynię..

Kapitan mimo, iż był dzielnym człowiekiem odczuł ulgę, mogąc zrzucić siebie brzemię tak wielkiej odpowiedzialności.

— Ahoj, wy tam! — zabrzmiało teraz z liniowca. — Co to za okręt?

— Fregata „Jastrząb”, komador von Falkenau.

— Ach, Artur von Falkenau?

— Tak.

— Dokąd się kierujecie?

— Ku... „Posejdonowi”!

— Czyżbyśmy mieli wojnę między Norlandią a Süderlandią?

— Tak. Süderlandia napadła na nas. Poddajcie się!

— Jak to? Przecież jeszcze nie toniemy! Odpływajcie stąd, ale już!

— Nie zbliżajcie się do nas! Halo, tam na dole, dajcie im po burcie! Oba okręty płynęły bardzo blisko siebie. Na fregacie otwarły się dwa rzędy armatnich okienek i huknęły wystrzały. „Posejdon” zadrżał cały pod gradem kul, które uderzyły powyżej i poniżej jego linii wodnej. Nie był przygotowany na taką walkę, teraz jednak i z jego z luków działowych wychyliły się lufy.

— Halo, kapitanie — odezwał się Artur — kadłub obiliśmy mu już dobrze. Niech pan skoczy na dół i powie chłopcom, żeby walili teraz w pokład! Ahoj, Schubert, schodź na zawietrzną! Zatopić wroga!

Rozkaz Artura przyniósł taki skutek, że fregata wykonała gwałtowny skręt i salwa z liniowca pokłoniwszy się gwiazdom, przepadła w morskiej głębinie.

— Brawo! Jeszcze jeden zwrot, Schubert, jeszcze jeden! Podnieście żagiel na przednim maszcie! Ognia!

Głośny krzyk przerażenia dobiegł od drugiej burty Süderlandczyka. To runął główny maszt, a gdy starano się go odciągnąć, „Posejdon” dostał jeszcze jedną salwę ze wszystkich dział, po której ten ciężki okręt został prawie unieruchomiony. Mimo tego nie ściągnięto bandery, bowiem idące na pomoc dwa pozostałe okręty były już blisko.

— Zostawmy Matuzalema, niech teraz płynie, jest już nasz! — krzyknął Artur. — Poruczniku, zakręcamy! Idziemy drugiemu naprzeciw! Schubert, kładź ją na bok!

Sternik uwiesił się steru, zaś żaglomistrz tak wybornie poradził sobie ze swoim zadaniem, iż fregata zatoczywszy jedynie krótki łuk wyszła naprzeciw drugiego liniowca.

— Komandorze — wtrącił kapitan, — może wystarczy? Kiedy zaatakujemy tego, ich fregata wejdzie nam na nawietrzną.

— Zdążymy jeszcze złapać wiatr. Hajże Martinie!

— W porządku komandorze! — odkrzyknął ogniomistrz.

— Pięćdziesiąt talarów dla ciebie, jeśli poczęstujesz go ogniem!

— Zaraz będą zarobione.

Mężczyzna przyklęknął przed swoim działem, aby je załadować.

— Hola! — rozległ się krzyk z bocianiego gniazda. — A tam, to co?

Artur popatrzył w kierunku wskazanym ręką marynarza i ujrzał rzeczywiście coś niezwykłego. W odległości najwyżej półtorej mili znajdował się płynący w tę stronę okręt o czarnych żaglach. Jego maszty aż się uginały pod naporem siły z jaką wiatr uderzał w czarne żagle, zaś prędkość okrętu była wprost bajeczna. Mogło się wydawać jakby gnała go przed siebie jakaś niewidzialna moc. Także sternik już go dostrzegł, przyłożył rękę do ust i krzyknął:

— Ahoj, komandorze, Czarny Kapitan!

Po drugiej stronie na okręcie liniowym rozległ się taki sam okrzyk.

— Nic nie szkodzi! — zawołał Artur. — Naprzód, na Süderlandczyka! Martinie, uwaga!

Fregata znalazła się tuż obok liniowca i ogniomistrz wystrzelił. Jego kula trafiła w przedni pokład i kabinę sterową roztrzaskując ją na kawałki.

— Brawo! Ogień na sterburtę!

Pozostałe działa fregaty huknęły zgodnym tonem. Dowódca süderlandzkiego okrętu był tak przejęty zniszczonym sterem, że przegapił odpowiedni moment, by dać rozkaz do strzelania. Kiedy więc tamci dali ognia, norlandzka fregata zdążyła ich już minąć.

— Trzymaj kurs, Schubert! — rozkazał Artur.

Chciał zobaczyć, co sprowadziło Czarnego Kapitana na te wody. Süderlandzka fregata także zbliżyła się i wszystkie cztery okręty mogły obserwować „Tygrysa”. Wydawało się, iż pirat ryzykuje ogromnie podchodząc tak blisko do czterech okrętów wojennych.

Ten w ogóle nie zwracał uwagi na „Jastrzębia”, tylko zbliżał się wprost do liniowca, którego Artur poczęstował właśnie jeszcze jedną salwą. „Tygrys” był już blisko tamtego, kiedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki opadły na nim wszystkie żagle. Mimo tego płynął z taką samą prędkością jak i poprzednio. Dobrze było widać jego gołe maszty. Artur zastanawiał się jaka siła pozwala mu dalej płynąć. Miejsce przy sterze było puste, na pokładzie również nie dało się zauważyć nikogo i tylko na bomie kliwera stała jakaś olbrzymia, cała odziana na czarno postać, trzymając w swej prawicy zakrzywioną, turecką szablę.

Na wszystkich czterech okrętach było chyba niewielu takich, którym serce nie zabiłoby z wrażenia.

W tej samej chwili, w której „Tygrys” znalazł się pomiędzy „Jastrzębiem” a liniowcem, „Czarny” podniósł szablę do góry i okręt zadrzał trzykrotnie. Trzy straszliwe salwy z jego wnętrza strzaskały kadłub ludowca, pirat zaś zdążył go minąć. Nie popłynął jednak dalej, tylko zatoczył łuk kierując się w stronę Süderlandzkiej fregaty. A kiedy skręcał wyraźnie było widać, że woda pod jego kilem została nagle jakby pochłonięta przez jakieś niewidzialne, morskie monstrum. I właśnie wtedy poszła na „Tygrysie” w górę flaga norlandzka.

— Hurra, hurra! — rozległo się ze wszystkich gardeł, jakie tylko znajdowały się na „Jastrzębiu”

Nawet Artur przyłączył się do tego chóru. Nigdy nie przypuszczał, że trafi na takiego sojusznika.

— Skręcaj ku sterburcie, Schubert! — rozkazał. — Musimy ją puścić na dno!

„Jastrząb” wykonał zwrot. W tym akurat momencie Süderlandzka fregata ściągnęła swoją flagę i wywiesiła białą. Poddała się bez najmniejszego oporu i było to słuszne; w przeciwnym bowiem razie czekała ją zguba. Dwa liniowce nie były w stanie już jej pomóc. One także opuściły swe flagi.

„Tygrys” zakręcił ponownie i zbliżył się do „Jastrzębia”, sygnalizując aby ten stanął w dryf.

— Kapitanie, niech pan go posłucha, ponownie przekazuję panu dowodzenie! — rzekł Artur. — Chciałbym się mu teraz przyjrzeć.

Poszedł na nadburcie i tam znalazł sobie miejsce, z którego był niewidoczny na „Tygrysie”. Oba okręty kołysały się teraz naprzeciw siebie.

— „Jastrząb”, ahój! Kto jest tam kapitanem? — krzyknął „Czarny” zdążywszy już przeczytać nazwę.

— Kapitan Baldauf wraz z komandorem Falkenau na pokładzie!

— Arturem von Falkenau?

— Tak.

— Niech go pan poprosi aby przybył niezwłocznie do mnie, na pokład?

— Jak to? Na pokład pirata?

— Nie pirata, tylko norlandzkiego okrętu wojennego!

— Co pan zamierza uczynić, komandorze? — spytał kapitan.

— Udam się tam.

— Ilu ludzi eskorty, panu potrzeba?

— Tylko dwóch wioślarzy w małej łodzi.

Łódź została opuszczona na wodę i po dwóch minutach Artur wspiął się po opuszczonej linie na pokład „Tygrysa”.

Nie było tu nikogo. „Czarny” zszedł z kliwera, zbliżył się do niego i stanął jak wryty.

— Frick! Frick Wilmers!

— Ach, skąd pan zna to nazwisko?

— Kim pan jest?

— Nazywam się Artur von Falkeneu i od wczoraj jestem komandorem.

„Czarny” spoglądał przenikliwie w oczy Artura; nagle wszystko stało się jasne, gdy mówił w jego głosie zabrzmiały figlarne nutki:

— Proszę za mną!

Ruszył pierwszy w stronę tylnego pokładu.

— Proszę tymczasem wejść tu do kajuty! Wydam na dole kilka rozkazów i zaraz wracam.

Artur posłuchał. Drzwi zamknęły się za nim, a on stanął przed młodą damą, ubraną w orientalne szaty.

— Sulejka!

Ona podniosła się gdy wszedł.

— Frick Wilmers! — krzyknęła zaskoczona, spostrzegła wszakże mundur z dystynkcjami.

— Co to jest? Och... komandor?

— Tak i nie nazywa się on Frick Wilmers lecz Artur Falkenau. Zmieszana bez reszty, klasnęła w dłonie.

— Czy to możliwe? Mój... mój wybawca?

— Ten sam, którego obiecał przyprowadzić pani Frick Wilmers. Wybacz mi pani ten mały żart?

Stała przed nim cała sploniona, a jej głos zadrżał lekko, gdy spytała:

— Ale dlaczego takie dziwne incognito?

— Chciałem być szczęśliwy mogąc służyć pani i spełniać każdy jej rozkaz, Sulejko.

Jej uroda i to zaskoczenie, którego nie potrafiła ukryć, działały na niego wprost upajająco. Uchwycił obie jej dłonie i mówił dalej:

— Sulejko, jestem teraz kapudynem paszą, tak jak mi tego życzyłaś w rozmowie z matką Horn. Gniewasz się, że mi o tym powiedziała?

Zarumieniła się jeszcze bardziej. On zaś nie potrafił się już powstrzymać i objął ją, by pocałować.

— Sulejko myślałem o tobie, odkąd wyciągnąłem cię z Nilu. Powiedz mi, czy teraz mógłbym już zostać z tobą na całe życie?

Nic nie mówiąc oparła swoją głowę na jego piersi.

— Och, jakże mam ci dziękować, ty słodka, wspaniała istoto! Przyciągnął ją mocniej do siebie i całował bez opamiętania.

— Ach, komandorze — zawołał ktoś z tyłu za nim. — Widzę, że pan się tu wcale nie nudzi. Artur odwrócił się. To był „Czarny”, który wszedł cicho do środka.

— Ekscelencjo!

— O, poznał mnie pan? No dobrze, dość już tych tajemnic! — zdjął ciemną maskę, która do tej pory zasłaniała mu twarz. — Witamy na „Tygrysie”!

— Na tym strasznym „pirackim okręcie”! — powiedział z uśmiechem Artur.

— A czy pan sam nie jest piratem, który przybył, zobaczył i zwyciężył? Zaś co do tego „pirackiego okrętu” o pomylił się pan. Czarny Kapitan to jedynie bohater plotek i pogłosek. Padyszach nie najmuje do swej floty korsarzy. Tylko ten jeden raz, gdy wystąpiłem we własnej sprawie, zmuszony byłem wrócić do dawnej bandery. Flagi sułtana nie miałem prawa wykorzystywać, podobnie zresztą jak i süderlandzkiej, pertraktacje bowiem dotyczące objęcia przeze mnie dowództwa nad marynarką wojenną Süderlandii zostały zerwane. Przyplłynąłem jako Czarny Kapitan, czekając sytuacji, w której mógłby oddać mój okręt w służbę Norlandii. A potem sam pan już widział co się stało. Ale o tym wszystkim później! Nie mamy teraz czasu na zbyt długie rokowania. Płynie pan do Karlshafen?

— Tak, a moja flota jest już przede mną.

— Czy mogę się przyłączyć?

— Jako kto?

— Tymczasem jako jeden z podległych panu kapitanów. A „Tygrysa” oddaję panu jako okręt flagowy.

— Zgoda! — krzyknął uradowany Artur. — Taki nabytek jest więcej wart niż cała flota. No, a pańskie zobowiązania wobec Süderlandii?

— Nie mam takich! Ale, ale komandorze, istny z pana diabeł! Poważyc się samemu na trzy okręty wojenne! Bierze je pan ze sobą jako łup?

— Naturalnie!

— Będę mógł panu pomóc; mogę jednego z nich wziąć na hol.

— Korzysta pan również z siły parowej?

— Odgadł pan!

— No tak, teraz rozumiem. Zamiast koła albo śruby napędowej ma pan pompę, a do tego kocioł i parę.

— Zgadza się. A wszystko inne to też nie żadne czary. Kiedy już załatwimy to co trzeba, obejrzy pan sobie wszystko. A teraz proszę chodźmy na pokład! Oczywiście będę panu towarzyszył, służąc pomocą w czasie pańskiej wizytacji tych trzech zdobycznych okrętów.

Kiedy znaleźli się znów na pokładzie, Artur spostrzegł tam całe mnóstwo odzianych we wschodnie stroje ludzi. Jeden z nich wyszedł im naprzeciw. Nurwan Pasza przedstawił go:

— Mój pierwszy porucznik, Sawab. Dowodzi „Tygrysem”, kiedy mnie nie ma na pokładzie.

Ta krótka prezentacja wydała się zupełnie nie w smak chełpliwemu porucznikowi. Prawie z naganą spojrzął na swego przełożonego, po czym niezwykle biegle dopowiedział Arturowi resztę swego *dossier*:

— Czasem dowodzę „Tygrysem” i każdy kto mnie zna, wie, że potrafię to robić. A to dlatego, że jestem Hadzi Sawab Ben Hadzi Kafur el Kerimi Ibn Hadzi Schehab el Kadiri Ibn Hadzi Ghanem en Nur.

* * *

Minął tydzień, wiele przez ten czas się zdążyło. Wybrani przez norlandzki lud przedstawiciele zjechali już do Fürstenbergu i obradowali nad projektem konstytucji. Karlshafen było w rękach Norlandczyków, zaś generał Falkenau ze swoją, wysadzoną na ląd armią, znajdował się w stolicy Süderlandii. Północna część tego kraju zajęta była przez współdziałające ze sobą oddziały cywilnych i wojskowych rebeliantów. W środku pomiędzy nimi a korpusem generała Falkeneu uwięzły otoczone regimenty süderlandzkiego następcy tronu oraz szukająca ratunku książęca rodzina. Jedynie hrabia Hohenegg przepadł gdzieś bez śladu. Inaczej rzecz miała się z klucznikiem z zakładu dla obłąkanych i jego żoną, którzy pomogli grafowi w ucieczce. Ci bowiem, próbując przekroczyć granicę, zostali pochwyteni, a

następnie odesłani z powrotem do Fürstenbergu. Znalezione przy nich pieniądze uległy konfiskacie.

Książę Norlandii siedział przy biurku i trzymał w ręce otwarty list. Niedaleko niego siedział Maks.

— A zatem księżniczka Asta przysłała cię z prośbą do mnie, by również i ona mogła podzielić nieszczęsny los rodziców.

— Tak, a ja chciałbym tę prośbę poprzeć, wasza wysokość.

— No cóż, twemu wstawiennictwu nie mogę odmówić. Wszakże posłuchaj mnie Maksie, zawdzięczam ci bardzo wiele, a może nawet i wszystko, a księcia zaś z tytułu sprawowanej przezeń władzy stać na to, aby wynagrodzić zasługi. Odpowiesz mi szczerze na pewne pytanie?

— Oczywiście — odparł skromnie Maks.

— Kochasz księżniczkę?

— Wasza wysokość, nie potrafię się wprost oprzeć temu co mówi serce, jednak muszę się podporządkować temu co każe rozum. I zdobędę się na to.

— A może nie będziesz musiał. No, a co na to Asta?

— Z niczym się przede mną nie zdradziła, ale wiem, że nie jestem jej obojętny.

— W porządku. Chcesz odwiedzić ją do ojca? — Ja?

— Tak, ty i ja, my obaj. Twój plan, który przedstawiłem dokładnie generałowi Falkenau powiódł się. Nasze wojska otaczają teraz regimenty następcy tronu i oddziały Süderlandzkich rebeliantów, jesteśmy więc panami sytuacji. W tym liście Falkenau pisze, że książę Süderlandii gotów jest rozpocząć pertraktacje. Warunki zawarcia pokoju już z tobą omówiłem, mogę się udać teraz w twoim towarzystwie do naszych wojsk. Księżniczkę Astę zabierzemy ze sobą. Byłoby wielce pożądane spotkać tam młodego Falkenau i tego tajemniczego Nurwana paszę. Jeśli zatelegrafujesz natychmiast do nich, do Karlshafen, to powinni w ciągu dwóch dni dotrzeć na miejsce spotkania.

— Zaraz to uczynię, wasza wysokość.

— A czy znalazłbyś trochę czasu na załatwienie jeszcze jednej sprawy?

— A co to za sprawa?

— Słyszałem, że odwiedzasz codziennie księżniczkę?

— Tak, to prawda.

— A ona zachodzi i to nawet często do twoich rodziców?

— Istotnie. Rozmawia z moją matką całymi godzinami.

— W takim razie byłaby okazja, aby przekazać jej to pismo. Zawiera radosną dla niej niespodziankę.

— Dzięki, wasza wysokość! Ta kochana i szlachetna osoba rzeczywiście potrzebuje jakieś radosnej nowiny.

— Zatem otrzymają. Co się zaś tyczy naszej podróży, to nie pojedziemy pociągiem lecz powozami. Wystarczą dwa, jeden dla mnie i twojego ojca drugi zaś dla Asty, ciebie i twojej matki.

— Co, wasza wysokość rozkazuje, aby rodzice też...?

— Oczywiście! Twój ojciec jest moim wiernym przyjacielem; chcę żeby cieszył się razem ze mną ze zwycięstwa. Powiedziałeś mi jaką sympatią cieszy się u Asty twoja matka, a ja muszę zatroszczyć się o kogoś, kto by księżniczce towarzyszył. Odnośnie służby to ja się nie mam co martwić, ale ty? Co powiedziałbyś, gdyby tak zabrać waszego Tomasza?

— Och, będzie zachwycony.

— No to wszystko załatwione. Do widzenia, Maksie!

— Z Bogiem, wasza wysokość!

Serdecznie uścisnęli sobie ręce Doktorowi z wielkiego wzruszenia i wdzięczności stanęły łzy w oczach. Księżę spostrzegł to, położył rękę na jego ramieniu, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło.

— Maksie, Bóg nie dał mi dzieci, ale gdybym mógł wybrać sobie syna, to byłbyś nim ty. Pozostań mi wierny, tak jak byłeś zawsze!

Powiedziawszy to odwrócił się. Także w jego oczach zabłysło coś, czego nie chciał jednak okazać.

Maks wysłał depezę, a następnie udał się do księżniczki.

— Witam, panie tajny radco! — przyjęła go tymi słowami. — Czy nie pomyłę się mówiąc, że dowiedział się pan czegoś radosnego?

— Po czym pani tak sądzi?

— Można to wyczytać z pańskiej twarzy.

— Czyżby było wypisane na niej aż tyle, wasza wysokość?

— Aż tyle to nie, ale pańskie oblicze jest szczerze i otwarte, czego nie widać u dyplomaty, o ile chciał pan się nim okazać.

— Och, dziękuję. Dowiedziałem się czegoś radosnego, ale dotyczy to jej wysokości.

— Ach!

— Księżę polecił mi, abym powiadomił panią, iż postanowił udać się w podróż do pani ojca, zabierając ze sobą również panią i mnie. Księżę pojedzie w towarzystwie mego ojca i w związku z tym pyta panią, czy zechciałaby w czasie tej podróży mieć przy sobie moją matkę?

— Z wielką przyjemnością, panie tajny radco.

— Dziękuję! Śmiem przypuszczać, iż o podjęciu rokowań z pani ojcem zdecydowały jakieś niezwykle względy. Być może znajdzie pani coś na ten temat w tym liście, jego wysokość polecił mi przekazać go pani.

Otworzyła przesyłkę i jednym tchem przeczytała. Jej piękna twarz przybrała osobliwy wygląd.

— To pismo, panie tajny radco zawiera prośbę jego wysokości, abym przekazała panu te dwa dokumenty. Ja je już przeczytałam. Proszę oto one!

Maks zaczął czytać. Gdy skończył miał wilgotne oczy, a wargi drżały mu ze wzruszenia.

— A zatem, panie hrabio? — spytała Asta.

— Nie mogę tego przyjąć! Nie zasłużyłem na tyle dobroci i miłości!

— Ależ tak! A ja czuję się taka szczęśliwa, że jako pierwsza mogę złożyć panu gratulacje.

Wyciągnęła ku niemu ręce, on zaś ujął jej dłonie i zatrzymał w swoich. Pierwszy z dokumentów mówił o tym, iż książę nadał mu tytuł „hrabiego von Brandau”, drugi, że przekazany mu zostaje w dowód uznania i wdzięczności zamieszkiwany obecnie przez księżniczkę pałac wraz z całym jego wyposażeniem.

Długo tak siedzieli trzymając się za ręce, aż wreszcie księżniczka przewala ciszę.

— Czy mogę zwrócić panu uwagę na jedno słówko, które zastanowiło mnie w liście księcia, hrabio?

— Proszę!

— Jego wysokość podkreśla słowo „tymczasem”. Ma książę więc nadzieję, że i w przyszłości będzie mógł okazywać panu swą łaskawość. Niech mi pan wierzy, że nikt nie życzy tego panu bardziej niż ja!

Wstała walcząc z ogarniającym ją wzruszeniem i podeszła do okna. On zaś pozostał na swym miejscu i trwał tak, aż nagle zerwał się gwałtownie i zbliżył do niej.

— Księżno.

Nic nie odpowiedziała.

— Asto!

Odwróciła się, miała błyszczące, wilgotne oczy.

— Maksie!

Padli sobie bez słowa w ramiona, ale jej drżące ciało powiedziało mu jak ciężko było jej zmagać się aż do tej chwili z uczuciem, które od dawna żywiła do niego.

* * *

Na polanie, przed chatką Tirbana skoszono wysoką trawę, aby zrobić miejsce dla rzędu kosztownych namiotów, które rozbito tutaj z myślą o księciach Norlandii i Süderlandii oraz ich świtach.

Pertraktacje, na które przybył również dowódca süderlandzkich rebeliantów były w pełnym toku i szybko zbliżały się pokojowe zakończenia. Główne żądanie rebeliantów, ustanowienie konstytucji, podobnej do tej jaką otrzymała Norlandia zostało spełnione i pozostały w zasadzie do ustalenia tylko drobne kwestie.

Jednego wieczora polana została oświetlona światłem stu pochodni, zaś obaj władcy zasiedli wspólnie do biesiady. Na skraju poręby, gdzie biwakowały świty, znajdowali się również bracia Schubertowie. W środku między nimi siedział Karavey.

— No i co? — zwrócił się do nich z dumą obecny też tutaj właściciel karczmy przemytników. — Miałem rację, gdy mówiłem wtedy, że ten Wilmers to młody Falkenau?

— Phi! Mógłbym powiedzieć coś zupełnie podobnego, z czego ty śmiałyś się jeszcze bardziej niż ja wtedy — wtrącił Karavey.

— Na przykład co takiego?

— No to co myślisz o tym, że ja uważam Brandauera za syna księcia, Falkenaua za Brandauera, a Nurwana Paszę za Hohenegga?

— Do stu tysięcy grzmotów i piorunów! — krzyknął na to sternik. — Zwariowałeś chłopie!

— Tak, właściwie to tak, jak powiedziały Kazimierz — dołączył się Tomasz. — Na mój piedny rozum, toś ty zwariował jeszcze bardziej niż Henryk i Kazimierz!

— Co? Oni też zwariowali? — spytał jego brat.

— No pewno, upzdurali sobie, że mają szansę u mojej Parpary, a tymczasem ona będzie moja!

— Ach! Naprawdę?

— Naprawdę! W wieczór przed moim wyjazdem zgodziliśmy się o poje co do tego. Popieramy się, pędę właścicielem gospody, a w sąsiednim pudynku urządzę kuźnię.

— Serdeczne gratulacje!

— Ode mnie też! — zawołał Karavey. — Dzięki! Pędzicie opaj zaproszeni! Amen!

* * *

Na skraju leżących po przeciwnej stronie polany zarośli pojawiła się krocząc wolno, kobieca postać. Maks poznał ją i zerwał się na równe nogi.

— Lilgo!

Okrzyk ten przyciągnął uwagę księcia który rzekł:

— Lilgo, chodź do nas! Zawołana zbliżyła się z pokorą.

— Wasza wysokość nie gniewa się na córkę Boinjarów, za to, że ośmieliła się...

Przerwał jej szybkim mchem ręki

— Lilgo jesteś przecież jedną z nas, wszakże to wszystko co się zdarzyło w wielkiej części jest twoim dziełem. Siadaj tu z nami!

— Pozwolicie, że Lilga będzie stała dopóki nie dokończy tego czemu poświęciła tak wiele czasu.

— A zatem?

— Bhowannie jest boginią zemsty. Rozkazała mi kiedyś abym wzięła odwet, a ja byłam jej posłuszna. Wymierzyłam już sprawiedliwość, a teraz przybyłam tu, aby wysłuchać wyroku jaki wyda na mnie wasza wysokość.

Po tym zagadkowym zdaniu, nikt nic nie powiedział a ona ciągnęła dalej:

— Jaśnie panie, czy jesteś gotów mnie wysłuchać?

— Mów!

— Pozwól zatem, że każę przynieść tu kogoś, kto tutaj być powinien, choć wkrótce przyjdzie mu stanąć przed jeszcze wyższym trybunałem!

Skinęła w stronę zarośli. W tejże chwili wyszli stamtąd Horgi, Czemba i Tirban. Dwaj pierwsi nieśli sporządzone z gałęzi nosze, a trzeci troszczył się, aby leżący na nich człowiek nie spadł na ziemię. Ustawili je w środku pomiędzy siedzącymi tam możnowładcami, po czym oddalili się. Lilga podeszła do leżącego i ściągnęła przykrywającą go chustę. Rozległ się głośny krzyk zebranych. Na noszach leżał z zakrwawioną twarzą, strasznie pokiereszowany hrabia von Hohenegg. Lilga długo stała pochylona nad nim; wreszcie wyprostowała się lecz wcześniej wyciągnęła jakiś pakiet i złożyła go na piersi ledwie dyszącego grafa. Ten stęknął głośno jakby papiery te ważyły tonę, ona zaś rozpoczęła swe wyznanie:

— Dosięła go ręka Bhowannie i odpłaciła za wszystko. Któż może teraz na niego patrzeć? Dawniej był taki piękny i wytworny, jego słowa brzmiały tak słodko i miło, że córka Boinjarów dała się im zwieść i poszła za nim. Nie dochowała wierności swemu narzeczonemu, który był o wiele szlachetniejszy od niego, a przecież i pod względem urodzenia równy mu. Był to bowiem jego starszy brat, Wilhelm!

— Lilgo! — krzyknął zdumiony Nurwan Pasza. — Czy wiesz co mówisz?

To czego dowiedział się teraz od Lilgi, zabrzmiało tak nieprawdopodobnie, że jego rozum bronił się przed uznaniem tej wiadomości za prawdziwą, jakkolwiek zagadka jego urodzenia,

nad którą się tak często głowił, wydawała się być tym sposobem rozwiązana. Ale dlaczego nie mogłoby tak właśnie być? Przypomniawszy sobie dokładnie scenę w lochu hrabiego i przerażenie tamtego, gdy na jego ramieniu ujrzał tatuaż. Katombo czytał wprost słowa padające z ust Cyganki, gdy ta mówiła dalej.

— Mówię prawdę. Tak jak ja zostałam uwiedziona przez niego, tak samo jego ojciec postąpił z moją matką. Obiecał jej małżeństwo, a potem wiarołomnie opuścił i poślubił dla ogromnego posagu dziewczynę z wysokich sfer. Moja matka postanowiła zemścić się za to. Kiedy po dwóch latach znalazła się ze swoimi w pobliżu jego pałacu, zakradła się nocą do środka; знаła w nim każdy kąt i dlatego łatwo jej przyszło wykraść małego hrabiego i zniknąć potem wraz z nim.

Katombo i reszta zebranych słuchali tych tajemnic z najwyższym zdumieniem.

— Lilgo, jak chcesz dowieść tego, że nazywam się Hohenegg?

— Ów zniekształcony przez dorastanie tatuaż na twoim ramieniu jest herbem Hoheneggów! Udało mi się również zdobyć dotyczące cię dokumenty, a ponadto moja matka na krótko przed śmiercią wyznała wszystko spisując historię twego porwania. Ale nie pytaj mnie teraz o nic więcej! Bhowannie liczy już temu człowiekowi minuty, a ja muszę się pospieszyć, aby zdążyć zanim on umrze. Hrabio Hohenegg, czy jesteś w pełni świadomości i słyszysz każde moje słowo?

— Tak — odparł z trudem spytany.

— Czy wiedziałeś, że Katombo jest twoim bratem i czy uznajesz go teraz?

— Tak.

— Idźmy więc dalej! Sprowadziłam się do hrabiego, mieszkałam tam i poznałam wszystkie jego tajemnice. On wszakże złamał swe wszystkie obietnice, a ja przyrzekłam sobie, że zemścę się na nim. Głównym celem hrabiego było zdobycie norlandzkiego tronu. Księżna przyjaźniła się wtedy z baronową Falkenau. Mieszkały obie na zamku, jedna w prawym skrzydle, a druga w lewym. Opatrzność sprawiła, że obie były przy nadziei i obie też urodziły prawie w tej samej godzinie, księżna syna, baronowa zaś córkę. Baronowa zmarła przy porodzie, baron był wtedy za granicą...

Teraz zdumienie ogarnęło z kolei generała Falkenau.

— To prawda! — krzyknął wielce wzburzony. — Przebywałem wtedy z dala od ojczyzny. Wszakże Lilgo pomyliłaś się, musiałaś się pomylić, bowiem baronowa nie urodziła córki, lecz...

Cyganka wykonała tak władczy ruch ręką, że stary baron zamilkł, ona zaś ciągnęła dalej, nie zwracając uwagi na to co powiedział.

— Hrabia nie mógł znieść tego, że księżę doczekał się następcy tronu. Przekupił więc akuszerkę, a ta zamieniła dzieci. Księżna dostała dziewczynkę, a chłopiec otrzymał mamkę, która była córką akuszerki i nic nie wiedziała o całej tej zamianie.

Gdy księżę usłyszał te słowa niewiele brakowało, aby ogarnęło go szaleństwo.

— Kobieto, czy jesteś przy zdrowych zmysłach? Potrafisz to wszystko udowodnić? To by przecież znaczyło, że komandor Falkeneu jest moim synem!

— Wasza wysokość, niech pan posłucha dalej! W tym pośpiechu nie została nawet wymieniona bielizna dzieci i mamka otrzymała tę, która oznaczona była książęcym herbem. Ta kobieta żyje jeszcze i jest żoną stangreta Beyera. Jeśli wasza wysokość zajdzie do niej w Bergstein, to znajdzie tam pewien obraz, wykonany przez jej syna.

— Rzeczywiście — przytaknął Maks. — Byłem tam pewnego razu i przypominam sobie to dokładnie, że opowiadała ona wówczas o tych sprawach. Mów dalej Lilgo!

— Dziewczynka wkrótce umarła, a potem również i księżna. Hrabia wiedział, że znam wszystkie tajemnice; nie ufał mi już wtedy i uważał, że mogłabym go zdradzić. Dlatego też nastawał na życie chłopca. Zemściłam się więc, ratując dziecko. W tym czasie odwiedzałam często żonę kowala, Brandauera. Wiedziała ona, iż posiadam dar przepowiadania przyszłości i kiedy urodziła chłopczyka, poprosiła abym mu powróżyła. Mamka, pod opiekę której oddany został potomek księcia, mieszkała wtedy obok kowala...

— Zgadza się! — zawołał stary Brandauer.

— Doszło do tego, że także i ona chciała poznać przyszłość swego przybranego syna. Powiedziałam im, że muszę być z dziećmi sama przez pół godziny w ogrodzie. Obie powierzyły mi swoje niemowlęta, ja zaś zaniosiłam je w zarośla, przebrałam im ubranka i oddając zamieniłam. Mamka otrzymała więc syna kowala, a żona kowala syna księcia. Powiedziałam hrabiemu, że następca tronu przeszedł w inne ręce. To była moja zemsta. Komu jednak go oddałam, tego hrabia nie dowiedział się nigdy, pozostało to...

Księżę nie mógł już dłużej opanować swego wzburzenia.

— Kobieto, Lilgo, czy ty nie kłamiesz?

— Niech wasza wysokość sam go spyta! Cierpienia już go złamały, wyzna wszystko. Hrabio Hohenegg, kłamałam?

— Nie — wycharczał nieszczęśnik.

— Czy przysięgasz na Boga, przed którym przyjdzie ci stanąć jeszcze dzisiaj?

— Tak.

— Wasza wysokość, słyszał pan. Maks Brandauer jest pana synem. Pańskim majstrze Brandauer, Artur von Falkenau.

Była to osobliwa chwila. Książę, który już dawno pogodził się z tym, że nie będzie miał następcy ani spadkobiercy, przyglądał się Maksowi tak, jakby już nie był pewien ani siebie ani niczego innego na ziemi. Wzrok starego Brandauera pełen wątpliwości i znaków zapytania, jakby nadworny kowal rozważał dopiero, którego spośród tych dwóch powinien sobie wybrać. Stary Falkeneu zaś rozglądał się wokół z wyrazem twarzy, który zdawał się mówić: nic, ale to zupełnie nic z tego nie rozumiem.

Pierwszy przerwał panujące milczenie pasza.

— Majstrze Brandauer, niech pan mnie wysłucha. I proszę spytać Artura, czy tak właśnie nie było. Otóż, kiedy zjawił się on na moim jachcie zawołałem do niego pańskim nazwiskiem. Był bowiem całkowicie podobny do pańskiego wizerunku sprzed lat.

W końcu panujące wśród zebranych napięcie opadło. Przedstawione dowody miały bowiem tak oczywistą i bezsporną wymowę, iż nie sposób.

— Tutaj wasza wysokość są dowody na to, że Katombo to w rzeczywistości Hohenegg. To już wszystko co miałam do powiedzenia i teraz oczekuję tylko na wyrok jaki zostanie na mnie wydany.

Książę przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę.

— Lilgo, wprawdzie w twoim opowiadaniu było dla mnie wiele niejasności, ale jednego jestem pewien, że działałaś w dobrej wierze, i że my wszyscy mamy ci wiele do zawdzięczenia. Wyrok w tej sprawie wydam później.

Ujął Maksa za rękę i podszedł do księcia i księżnej von Süderland.

— Wasze wysokości, czy uznajecie hrabiego Maksa von Brandauer za mojego syna i następcę?

— Tak! — zabrzmiały zgodnie dwa głosy.

— Mam w takim razie zaszczyt prosić dla niego o rękę waszej córki, księżniczki Asty. Ich serca bowiem spotkały się i połączyły. Zgoda waszych wysokości stanowiłaby równocześnie rozwiązanie spornych kwestii politycznych.

Rodzice ujrzeni córkę przytuloną do piersi książęcego syna i z radością wyrazili swą zgodę. Teraz z kolei Katombo ujął ręce Sulejki i Artura.

— Czy wasza wysokość pozwoli, abym mógł za szkody wyrządzone Brandauerom i Falkenauom podarować im córkę?

Książę zaśmiał się.

— Ach! To wielka niespodzianka, mój drogi Paszo! To nie mogę i ja dłużej zwlekać z moją. Niniejszym uznaję pana hrabią von Hohenegg. Otrzyma pan tym samym wszystkie tytuły, zaszczyty, godności i dobra tego rodu.

— Wasza wysokość, proszę się z tym wstrzymać! — odparł Nurwan. — Rodzina Hoheneggów jeszcze nie wymarła.

— Jak to! Ten tutaj, leży na łożu śmierci. Bóg wybaczy mu grzechy tak ja i ja to czynię. Zaś jego syna nie mogę uznać za prawowitego spadkobiercę. Ponadto zostanie on wypędzony z kraju i powinien poczytać sobie za dowód szczególnej łaski swego władcy, że przez jakiś czas Norlandia będzie odmawiać mu swej gościnności. A teraz zwracam się do ciebie Lilgo! Jakim to sposobem hrabia wpadł w twoje ręce?

— Czekałam na niego.

— Co... ty... czekałaś... na niego? Skąd zatem wiedziałaś, którądy prowadzić będzie droga jego ucieczki?

— Wiedziałam.

— Kto ci to po...

— Wasza wysokość, królowa Boinjarów nie potrzebuje czerpać swej wiedzy znikąd. Powinno zatem wystarczyć waszej wysokości to co mówię: czekałam na niego. On musiał przyjść, gdyż Bhowannie, bogini zemsty oddała go w moje ręce. I przyszedł! Uciekał wtedy ze stolicy, ale Horgi i Czemba wytropili go i ruszyli jego śladem. W końcu mógł się uratować porzucając powóz i uciekając dalej pieszo. Zmylił w nocy drogę, której nie znał, runął w przepaść kalecząc się straszliwie. Gdy przynieśli go tutaj, śmiertelne cierpienia zmusiły go do wyznania prawdy.

— I co teraz uczynisz? Będziesz matką i żoną hrabiego, do czego masz przecież prawo?

— Dziękuję, wasza wysokość! Córka Boinjarów nie ma swego stałego miejsca; ona wędruje aż do chwili, gdy Bhowannie zabierze do siebie jej duszę.

* * *

W tym samym czasie pomiędzy biwakującymi z boku świtami obu władców, nawiązały się bliższe znajomości. Kilku służących musiało zabrać zwłoki hrabiego, który rozstał się już ze światem. Nie było jednak nikogo, komu by książę nie poświęcił choć chwili uwagi czy nie powiedział jakiegoś życzliwego słowa, tak, że cała polana rozbrzmiewała radosnym gwarem.

Natomiast dwie pary: Artur i Sulejka oraz Maks i Asta cieszyły się sobą w samotności.

Druga z nich stała pod rozłożystą jodłą zajęta rozmową, która zdawała się nie mieć końca. W pewnej chwili podeszła ku nim Lilga.

— Czy pamięta pan jeszcze księżę i pani też, księżno, co wywróżyłam wam tamtego razu przed kuźnią?

— Każde słowo! — odparł Maks.

— Z wielką lekkością wywijał pan wtedy ciężkim młotem. Równie łatwo przyjdzie panu teraz dzierżyć dużo cięższe berło. Niech pan będzie władcą łaskawym, ale niech pan nie zapomina, że czasami także berłem trzeba wywijać niczym młotem! Posłuchaj w tym Lilgi, córki Boinjarów, która zaraz odejdzie stąd znowu i uczyni zasadą swego życia słowa „Berło i młot”.

Zza jodły wygramolił się i czmychnął w drugą stronę ktoś, kto siedział tam potajemnie, kurzył swoją „Ampalemę” i na dodatek wszystko słyszał. Teraz jednak zatrzymał się, uważając za wskazane powtórzyć sobie jeszcze raz, to czego się dowiedział.

— Lilga miała rację! — mruczał zadowolony do siebie. — Dawny Prandauer, a opecny księżę może przyjąć sobie taką maksymę, gdyż ma teraz perło. Ale mnie Tomaszowi Schupertowi, który nie zamienił się w żadnego księcia dostał się tylko młot. To nic, za to ja napiszę sobie na drzwiach mojej izpy taką maksymę: „Ampalema i Parpara”!